

Zygmunt Zeydler-Zborowski

Czarny mercedes

I. 6 - 24 - 24

T...ak, tak, tak... 17...tak, tak, tak 99... Nie rozumiem... tak, tak, tak...Chwileczkę... 06, 26, 86... tak, tak... 24... tak... Ile?... 25... Tak, tak... W porządku. Przyjęła Walczakowa.

Wyglądała na zmęczoną. Czarne, lśniące włosy podkreślały bladość jej twarzy. Zebrała zapisane kartki i z pewną niechęcią spojrzała na młodego mężczyznę, który od jakiegoś czasu domagał się energicznie połączenia ze Szczecinem.

Zadzwonił telefon. Dyżurny podoficer podniósł słuchawkę.

- Pogotowie milicyjne. Słucham... Pijany kierowca rozrabia przed kinem „Mazowsze”?
Tak, wiem, na Kasprzaka. Zaraz sprawdzimy. Proszę się wyłączyć.

Za chwilę znowu telefon. Bójka na rogu Targowej i Wileńskiej. Zaalarmowany radiowóz jedzie likwidować zajście. Znowu rozlega się dzwonek telefonu. Awantura w restauracji na Mokotowie. Odzywa się drugi aparat, trzeci, czwarty, piąty. Jakaś kobieta z Wolskiej uciekła przed pijanym mężem. Na Żelaznej chuligani napadli na kierowcę taksówki. W barze na Chłodnej pijak pchnął nożem kelnera. Na Wierzbnie zamordowano prostytutkę. I tak ciągle, dzień i noc. Z całego miasta biegną wołania o pomoc, o ratunek. 6 - 24 - 24.

Głos dyżurnego jest zmęczony.

- Pogotowie milicyjne. Słucham?... Załatwimy... Sprawdzimy... Proszę się wyłączyć.

Telefony wyglądają jak stado czarnych żółwi.

Wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w brązowej jesionce. Ciemna, lekko falująca czupryna, wysokie czoło, wąskie, podłużne oczy o chłodnym, badawczym spojrzeniu, prosty, trochę za szeroki nos i mocno zarysowany podbródek.

Sierżant, pilnujący telefonów, uśmiechnął się przyjaźnie.

- Czołem, Stefan. Cóż to, jeszcze siedzisz w Warszawie?

- Jadę dziś na noc do Zakopanego. Wpadłem się z wami pożegnać.

- Na długo jedziesz?

- Na dwa tygodnie. Chciałem na miesiąc, ale nie daję rady.

- Dobrze i dwa tygodnie. Odpoczniesz.

- Duży dzisiaj macie ruch?

Jakby w odpowiedzi jeden z czarnych żółwi zadzwonił alarmująco.

- Pogotowie milicyjne. Słucham? - przez chwilę panowało milczenie. Sierżant Stodolak niecierpliwie przyglądał mocno już siwiejące włosy. - Mówiłem przecież pani, że milicja się takimi sprawami nie zajmuje. Proszę się zwrócić do lekarza. I proszę nie blokować linii. Proszę się wyłączyć - energicznie odłożona słuchawka trzasnęła trochę za głośno.

- Kto to dzwonił?

- A, jakaś zwariowana babka. Histeryczka. Już drugi raz zawraca mi głowę.

- Czego chce?

Stodolak niechętnie wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Mówi, że jest zdenerwowana, niespokojna, że się czegoś boi. A my tu akurat nie mamy nic innego do roboty, tylko uspokajać nerwowe baby. Powiedziałem jej, żeby się zwróciła do lekarza.

- Byłbym z nią chętnie pomówił. Szkoda.

- Nie ma czego żałować.

Telefon odezwał się ponownie, głośno, natarczywie.

- Pogotowie milicyjne. Słucham? - sierżant przykrył dłonią mikrofon. - Ta sama. Jeśli chcesz, możesz z nią pogadać.

- Halo. Tu porucznik Downar. Słucham panią. Mówiła szybko, trochę beładnie, tak jakby się bała, żeby znowu nie odłożono słuchawki. W jej głosie wyczuwało się ogromne podniecenie.

- Panie poruczniku... ja przepraszam, że zabieram czas... ale... Doprawdy nie wiem, jak to powiedzieć... Czuję, że mi grozi niebezpieczeństwo. Nie wiem, do kogo się zwrócić, więc dlatego dzwonię. Chciałabym...

- O jakim niebezpieczeństwie pani mówi? Co się stało?

- Nie, nie, nic się nie stało, to znaczy jeszcze się nic nie stało. Ale... ale się boję, bardzo się boję. Byłabym ogromnie zobowiązana... gdyby pan zechciał do mnie przyjechać - ostatnie słowa brzmiały ciszej, błagalnie.

- Dobrze - powiedział Downar. - Przyjadę do pani. Proszę mi podać adres - wyjął pióro, zanotował i odłożył słuchawkę. Zwrócił się do Stodolaka.

- Możecie mi dać wóz? Sierżant spojrzał zdziwiony.

- Naprawdę chcesz jechać do tej histeryczki?

- Tak. Sprawdzę na miejscu, o co chodzi. Może to rzeczywiście tylko histeryczka, a może...

- Przecież podobno wyjeżdżasz.

- Do wpół do pierwszej mam czas. Zdążę odwiedzić panią inżynierową Jarzęcką. Walizkę mam już na dworcu - złożył kartkę z adresem i wsunął ją do kieszeni. - No więc jak? Podrzuci mnie ktoś na Mokotów?

- Oczywiście. Zawiezie cię Sikora. Ale dziwię się, że ci się chce zajmować takimi sprawami.

Downar uśmiechnął się. Kiedy się śmiał, jego chłodna, surowa twarz nabierała natychmiast jakiegoś ciepłego, serdecznego wyrazu. Powiedział:

- Jeżeli można uspokoić zdenerwowaną kobietę, to dlaczego tego nie zrobić?

- Zmienisz zdanie, jak zobaczysz starą wiedźmę - mruknął Stodolak.

Downar pożegnał się z kolegami i szybko zszedł na dół do samochodu.

W drodze na Mokotów ogarnęły go wątpliwości. Czy to w ogóle miało jakiś sens? Czy nie traci niepotrzebnie czasu? Stodolak najprawdopodobniej miał rację. Jakaś rozhisteryzowana baba. Nie byłby sobie zawracał głowy tą, całą sprawą, gdyby... gdyby nie ten głos, który miał w sobie coś takiego, co kazało mu pojechać. Myślał o tym, jak wygląda. Nie wierzył, żeby była stara i brzydka. Przypuszczenie Stodolaka wydawało mu się nie wiadomo dlaczego zupełnie nieprawdopodobne. A może będzie to początek jakiejś ciekawej przygody romantycznej? Uśmiechnął się. „Od razu widać, że, jadę na urlop” - pomyślał.

Sikora zahamował. Opony zaskrzypiały na ubitym śniegu.

- Czy mam zaczekać?

- Nie. Wracajcie do komendy. Cześć.

Ulica była pusta. Tylko zmarznięty pies kręcił się koło sztachet. W głębi, w ogrodzie, stała piękna willa. Kwadraty dwóch okien błyszczały słabym blaskiem.

Downar raz jeszcze sprawdził numer domu i pchnął żelazną furtkę. Zardzewiałe zawiasy zgrzytnęły nieprzyjemnie.

Trzy schodki prowadziły na mały ganek. Z chropowatej powierzchni szarej ściany wystawał czarny bakelitowy guzik.

Dzwonek rozległ się hałaśliwie w głębi pograżonego w ciszy domu. Dopiero po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i snop światła padł na kamienny ganek.

Downar uchylił kapelusza.

- Dobry wieczór. Chciałbym się widzieć z panią inżynierową Jarzęcką.

- To ja. Porucznik Downar, prawda? Dziękuję, że pan przyjechał.

Nie, ta nie była stara wiedźma. Gęste ciemnoblond włosy okalały bladą, bardzo piękną twarz. Ogromne czarne oczy miały ciepły, aksamitny blask. Wąskie wargi, z których starto szminkę, wyglądały anemicznie.

Downar wszedł do hallu i zdjął jesionkę. Przyglądała mu się uważnie.

- Proszę, może pan pozwoli do mego pokoju.

Po schodach z jasnego drzewa weszli na pierwsze piętro. Lampa z dużym abażurem rozsiewała łagodny, pomarańczowy blask. Barwne okładki książek, ustawionych na półkach, kolorowymi plamami ożywiały ciemną tonację umeblowania.

Jarzęcka wskazała gościowi fotel i przysunęła owalny, mahoniowy stolik.

- Napije się pan czegoś? Koniak? Wermut? Downar potrząsnął głową.

- Nie. Dziękuję.

Nie nalegała. Usiadła naprzeciwko niego i sięgnęła po papierosy. Zauważył, że duża kryształowa popielniczka była pełna niedopałków, na których czerwieniły się ślady po szmince.

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Downar utkwiał wzrok w ciemnych bursztynach, które znakomicie harmonizowały z elegancką popielatą sukienką. Czekał.

Nerwowym ruchem zapaliła papierosa i zmarszczyła brwi. Głęboko zaciągnęła się dymem.

- Jestem panu bardzo wdzięczna, że pan do mnie przyszedł. Zdaję sobie sprawę, że mój telefon mógł zrobić trochę dziwne wrażenie. Ale proszę mi wierzyć, że doprawdy nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Bo... bo widzi pan... żyję w odosobnieniu, mam mało znajomych i dlatego... Trudno mi tak wszystko od razu panu wytłumaczyć... Niech pan nie myśli, że jestem jakaś nienormalna... histeryczka, że coś mi się zdaje - głos miała podniecony, lekko zdyszany.

Downar słuchał uważnie. Najłżejszym nawet ruchem nie zdradził jakiegokolwiek zniecierpliwienia. Nie wiedział, co ma sądzić o zachowaniu się inżynierowej Jarzęckiej.

- Wspomniała pani, że odczuwa lęk przed groźącym niebezpieczeństwem. Czy mogłaby pani jakoś bliżej sprecyzować to niebezpieczeństwo?

Splotła dłonie i zaczęła sobie wyłamywać palce ze stawów.

- Właściwie... bardzo trudno powiedzieć coś konkretnego, ale czuję zupełnie wyraźnie; że grozi mi straszliwe niebezpieczeństwo, że coś się stanie, że... Niech mnie pan ratuje! Błagam pana, niech mnie pan ratuje.

Downar zapalił papierosa.

- Przyszedłem tutaj, żeby pani pomóc - powiedział wolno. - Ale stawia mnie pani w nieco trudnej sytuacji. Cóż mogę przedsięwziąć, jeżeli pani nie mówi mi, o co chodzi, czego się pani obawia? Proszę zrozumieć, że nie jestem w stanie zapewnić pani bezpieczeństwa, jeśli pani nie zdobędzie się na szczerą rozmowę ze mną. Przecież nie mogę bez żadnych podstaw obsadzić tego domu milicją.

Wpatrzyła się nieruchomo w jakiś punkt poza jego plecami.

- Ma pan rację - powiedziała cicho. Gwałtownym ruchem odwróciła głowę i przygryzła wargi. Wydawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Downar przysunął bliżej swój fotel i delikatnie ujął ją za rękę.

- Proszę się uspokoić. Niechże się pani nie doprowadza sama do stanu takiego rozdrażnienia. Prosiła mnie pani, żebym panią odwiedził. Przyjechałem więc i proponuję, żebyśmy sobie spokojnie o wszystkim pomówili. Przyrzekam, że wszystko, co od pani usłyszę, pozostanie między nami. Zrobię tylko to, co będzie niezbędne dla zapewnienia pani bezpieczeństwa. Proszę mi się dobrze przyjrzeć. Czy nie sądzi pani, że zasługuję na odrobinę zaufania? - głos jego brzmiał miękko, serdecznie.

Z trudem poruszyła wargami.

- Jest pan bardzo dobry. Dziękuję.

Mocniej ścisnął chłodną, wilgotną od potu dłoń.

- No więc, niech mi pani wytłumaczy, o co chodzi - powiedział energiczniej.

Wybuchnęła gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

- Nie mogę, nie mogę. Boję się... strasznie się boję! Boże! Boże!

Downar patrzył na nią bezradnie. Zastanawiał się, czy jednak nie należało wezwać lekarza.

Nagle uspokoiła się. Wyrwała dłoń z jego uścisku, wstała szybko z fotela i podbiegła do małego baru.

- Napijemy się czegoś. To nam dobrze zrobi. Postawiła na stoliku kieliszki i napełniła je pośpiesznie.

Umoczył wargi. Koniak był francuski, wysokogatunkowy.

- Czy pani tu mieszka zupełnie sama?

- Właściwie nie, ale w tej chwili jestem sama. Mąż mój wyjechał wczoraj na urlop do Zakopanego.

- I zostawił panią?

Zmieszła się. Wzięła do ręki kieliszek i przyglądała się pod światło jego zawartości.

- Tak się złożyło.

- A czy państwo nie mają gosposi?

- Owszem, mamy. Gdzieś wyszła. Przypuszczam, że pojechała na Grochów, do swojej siostry.

- Czy będzie tam nocować?

- Sądzę, że tak. Już dość późno.

Downar wyjął papierosnicę i w zamyśleniu począł obracać ją w palcach.

- To jest willa bliźniacza, prawda? Czy w tej drugiej części domu nikt nie mieszka? Nie widziałem światła w oknach.

- Mieszkał doktor Fechner. W zeszłym tygodniu wyprowadzili się. Na razie nikt tu nie mieszka.

- Czy pani nie ma jakiejś przyjaciółki, która by mogła u pani dzisiaj zanoć?

- Dzwoniłam do Olgi, Prosiłam, żeby przyjechała do mnie, ale ona leży chora na grypę.

Z nikim innym właściwie tak się nie przyjaźnię. Nie mogę przecież... Pan rozumie?

Sięgnęła po butelkę i napełniła swój kieliszek.

- Czemu pan nie pije? Ten koniak nie jest wcale taki zły.,

Uśmiechnął się.

- Koniak jest znakomity. Myślę jednak, że nie powinniśmy się upić. Trzeba na trzeźwo podjąć decyzję-

- Decyzję?

- No tak. Już dłuższą chwilę siedzę tu u pani i właściwie nie doszliśmy w naszej rozmowie do żadnych rezultatów. Mam stosunkowo niewiele czasu. Wyjeżdżam dzisiaj.

Niedługo będę musiał pożegnać panią. Więc...

Nerwowym ruchem chwyciła go za rękę. Poczul, że jej paznokcie wbijają mu się w ciało.

- Boję się nocy, okropnie boję się nocy.. Wzruszył ramionami.

- Cóż ja na to mogę poradzić? Jeśli pani nie chce wyjawic powodu tego lęku...

Zerwała się gwałtownie i przerażone spojrzenie utkwiła w drzwiach.

- Słyszysz pan? Idą! Idą!

Downar wstał i odruchowo dotknął kieszeni, w której tkwił pistolet.

- Kto idzie? Nic nie słyszę.

- Są na dole! Są już na dole! Niech mnie pan ratuje!

Niech mnie pan ratuje! Nie chcę umrzeć! Nie chcę umrzeć!

Spojrzał na nią. W szeroko otwartych oczach zobaczył obłęd.

- Proszę się uspokoić. Przy mnie nic pani nie grozi. Niech pani tu chwilę zaczeka, a ja zejdzę na dół i sprawdzę, czy rzeczywiście ktoś wszedł do mieszkania.

- Ale pan mnie tu nie zostawi samej, prawda? Pan jeszcze wróci?

- Oczywiście, że wrócę.

Energicznym krokiem podszedł do drzwi. Zawahał się. Wsunął rękę do kieszeni i mocno ujął kolbę pistoletu. Niesamowity nastrój tego samotnego domu poczynił mu się udzielać. Nacisnął klamkę.

Mocne światło trójramiennego żyrandola wypełniało pusty hall. Nie było nikogo. Ostrożnie zszedł na dół, zatrzymał się i począł nasłuchiwać. Cisza. Zajrzał do jednego pokoju, a potem do drugiego, w którym stały rajzbrety, następnie zwiedził kuchnię, łazienkę i pokój służbowy. Ani żywej duszy. Wrócił więc do hallu. Wtedy postłyszał lekki szmer przy drzwiach wejściowych. Cicho podszedł do wyłącznika. Zgasił światło. Potem wyjął pistolet, odsunął zasuwę i szybkim ruchem szarpnął za klamkę.

W progu stał ten sam zmarznięty pies, którego widział na ulicy. Ładny brązowy seter.

Downar uśmiechnął się. Pośpiesznie schował pistolet do kieszeni i wpuścił psa.

- Do diabła - mruknął - jak tu dłużej posiedzę, to zacznę ze strachu strzelać do zwierząt domowych.

Wolno wszedł po schodach. Był zły na siebie, że tak łatwo poddał się nastrojowi, wytworzonemu przez tę i historyczkę. To przecież nie miało najmniejszego sensu.

Jarzęcka nalewała sobie nowy kieliszek koniaku. Spojrzał na nią niechętnie.

- W mieszkaniu nie ma nikogo. Zdawało się pani - powiedział.

Niespodziewanie wybuchnęła głośnym śmiechem. Śmiała się gwałtownie, hałaśliwie, niemal spazmatycznie. Oczy jej się zaszklily. Łzy spływały po bladej, zmęczonej twarzy.

Patrzył zdziwiony, zaskoczony. Nie wiedział, jak się ma zachować.

- Może pani podać szklankę wody? - spytał. Nie przestawała się śmiać.

- Cha... cha... cha... Ale pana nabrałam... Cha... cha... cha... Dobry kawał. Musi pan przyznać, że jestem niezłą aktorką. Mam talent, co? Cha... cha... cha... A pan myślał, że ja rzeczywiście czegoś się boję, że słyszę jakieś podejrzanе szmery... Cha... cha... cha... Ale się ubawiłam. Proszę mi wybaczyć. To może nieładnie z mojej strony, ale tak się piekielnie nudziłam... Wpadłam na pomysł, żeby zadzwonić do pogotowia milicyjnego. Jaki to numer? 6-24-24, prawda? No, niech się pan już na mnie nie gniewa. To był trochę głupi kawał. Przyznaję. Może pan pozwoli jeszcze kieliszeczek koniaku. Na zgodę.

Downar milczał. Zapalił papierosa i obojętnie rozglądał się po pokoju. Zauważył, że szczerze przedtem zamknięte okno było teraz uchylone. Widocznie pani Jarzęcka chciała wypuścić dym i odświeżyć powietrze.

Opanowała paroksyzm śmiechu i teraz przyglądała mu się uważnie w oczekiwaniu jakiejś reakcji. Zapewne sądziła, że się oburzy i że ją zwymyśla, że może nawet spisze protokół.

Powolnym ruchem strzepnął popiół z papierosa i sięgnął po swój koniak. Nie wypił jednak. Obrócił w palcach kieliszek i postawił go z powrotem na stoliku. Obserwował ją bez słowa.

Na pozór robiła wrażenie zupełnie spokojnej. Uśmiechała się. W całym jednak jej zachowaniu wyczuwał coś bardzo sztucznego.

- Nic mi pan nie mówi? Nie robi mi pan awantury, że zabrałam panu tyle czasu? Mam nadzieję, że pan przeze mnie nie spóźni się na pociąg.

Wstał.

- Pani pozwoli, że się pożegnám. Zrobiłem wszystko, żeby pani pomóc. Nie sądzę jednak, żeby to się na - coś zdało.

- Dobranoc, poruczniku. Przepraszam. Ukłonił się. W drzwiach zatrzymał się chwilę, jakby z pewnym wahaniem. I wtedy wydało mu się, że znowu zobaczył w jej oczach przerażenie.

- Dobranoc pani. Proszę nie zapomnieć dobrze za mną zamknąć drzwi.

Wiatr ustał. Drobny, gęsty śnieg padał wolno, układając się białym puchem na gałęziach drzew. Z daleka dolatywał warkot autobusu.

Na ulicy nie było żywej duszy. Downar spojrział na zegarek i długimi krokami począł iść w kierunku Puławskiej. Ciągle jeszcze słyszał nerwowy śmiech Jarzęckiej i zgrzyt zardzewiałej furtki. Jego dobry humor zniknął bez śladu. Ta dziwna rozmowa wyprowadziła go z równowagi. Był niezadowolony z siebie. Nie zdołał wybadać, co działo się naprawdę w tej tajemniczej willi i czy w ogóle coś się działo. Inżynierowa Jarzęcka niewątpliwie grała jakąś komedię, ale jaką i w jakim celu? Czy była szczerą na początku ich rozmowy, czy też przy pożegnaniu? Ale po co to wszystko? Przecież nie potrzebowała wprowadzać go w błąd. Mogła po prostu wcale nie dzwonić do pogotowia milicyjnego i nie prosić go, żeby przyjechał. Czyżby to rzeczywiście był tylko głupi żart? Nieprawdopodobne. A może jednak to wariacka, może należało: wezwać lekarza?

Im bardziej oddalał się od domu inżynierowej, tym silniej opanowywały go wątpliwości. Czy dobrze postąpił, że zostawił samą tę kobietę? Czy nie należało jednak zbadać całej sprawy dokładniej? Może przed willą Jarzęckich trzeba było postawić posterunek? Tak, powinien był jednak załatwić tę sprawę jakoś konkretnie. Spóźniłby się na pociąg? No cóż, trudno... ostatecznie przecież bilet można przestemplować. Błada, tragiczna twarz nie dawała mu spokoju. I te oczy, te ogromne, przerażone, pełne jakiegoś niemego błagania oczy. W tej chwili uświadomił sobie zupełnie; wyraźnie, że to wszystko, co było na początku ich rozmowy, to była prawda, że kłamstwem była jedynie końcowa scena, scena ze śmiechem, sztucznym, teatralnym śmiechem. Nie wolno mu jej tak zostawić. Nie miał prawa, odejść nie wyjaśnwszy wszystkiego do końca. A jeśli rzeczywiście coś jej się stanie? Jeżeli...

Dochodził już prawie do Puławskiej. Pchnięty nagłą decyzją zawrócił.

Począł iść bardzo szybko, prawie biegł. Śpieszył się tak, jakby każda sekunda była droga, jakby rzeczywiście groziło jakieś niebezpieczeństwo. Jakżeż żałował teraz, że odesłał Sikorę z wozem! O znalezieniu taksówki w tej części miasta nie można było nawet marzyć. Chyba przypadek.

Spocony dopadł wreszcie do znajomych sztachet i energicznym ruchem otworzył furtkę. Dom był cichy i ciemny. W żadnym oknie nie błyszczało światło.

Downar zawahał się. A może pani Jarzęcka już śpi? Może niepotrzebnie ją budzi? Będzie zdziwiona jego powrotem. I co jej w ogóle powie? Jak wytłumaczy swoje powtórne odwiedziny? Było jednak rzeczą mało prawdopodobną, żeby tak zdenerwowana kobieta w ciągu niespełna godziny pogasiła wszystkie światła i zasnęła. Należało raz jeszcze zbadać tę sprawę.

W kilku skokach wbiegł na ganek i zadzwonił. Cisza. W głębi domu nie rozległ się żaden szmer. Poczekał chwilę i znowu nacisnął czarny guzik. Dzwonek zadźwięczał głośno, natarczywie, alarmująco. I znowu cisza. Nikt się nie poruszył. Nawet pies nie zaszczekał.

- Co u diabła - mruknął Downar. - Czyżby się upiła i zasnęła tak mocno?

Począł walić pięścią w drzwi. Nikt się jednak nie poruszył. Dom pozostał ciemny i milczący.

Zgrzytnęła furtka. Downar odwrócił się błyskawicznie i odruchowo dotknął pistoletu.

Białą ścieżką szła zamaszystym krokiem jakaś starsza, dość tęga kobieta.

- A pan czego się tu tak dobija? - głos miała twardy, energiczny.

- Chciałem się widzieć z panią inżynierową Jarzęcką.

- Pani nie ma.

- Jak to: nie ma? To niemożliwe!

- Jak panu mówię, że nie ma, to nie ma. Państwo wyjechali wczoraj do Zakopanego. Downar poczuł, że mu nagle straszliwie wyschło w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

Spytał:

- I pani Jarzęcka także wyjechała?

- Oczywiście, że wyjechała. Oboje wyjechali.

- Wczoraj?

- Ojej, nie bądźże pan dziecinny! Przecież wyraźnie panu tłumaczę, że wczoraj oboje państwo wyjechali do Zakopanego.

- A pani kim jest? Mieszka pani tutaj? Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Ja jestem gosposia. A w ogóle, co pan się tak wypytuje? Jaki pana interes?

Downar postanowił zdekonspirować się.

- Jestem z milicji - powiedział, wyjmując portfel. - Proszę, tu jest moja legitymacja.

Niech pani otworzy drzwi i zapali światło, to ją sobie obejrzy.

Mruczając coś pod nosem poszperała w dużej skórzanej torbie i wyjęła klucze. Widać było, że zaskoczyła ją wizyta milicjanta.

Weszli do hallu. Kobieta przekreśliła kontakt i otrzepała śnieg z płaszcza. Patrzyła nieufnie na nieoczekiwanego gościa.

- A pan właściwie w jakiej sprawie? Mówiłam przecież, że państwa nie ma w domu. Ja nic nie załatwiam. Niech pan przyjdzie, jak wróci.

Downar rozglądał się bezradnie dokoła. Przecież był tu przed półgodziną. Rozmawiał z Jarzęcką, pił koniak, palił papierosy. Pamiętał dokładnie jej twarz, bladą, zmęczoną twarz i duże przerażone oczy. Przeciągnął dłonią po rozpalonym czole.

- Gdzie pies? - spytał nagle. Gosposia zrobiła zdziwioną minę.

- Pies? Jaki pies?

- No, pies państwa Jarzęckich - zniecierpliwiał się. Downar - taki brązowy seter.

- Moi państwo żadnego psa nie mieli i nie mają. Ja bym tu z psem i tygodnia nie była.

Dlatego odeszłam od doktorostwa Jankowskich, że mieli buldoga. Pies w domu to jeszcze gorsza zaraza jak dziecko. Kto by to wytrzymał?

Downar nic nie odpowiedział. Szybko wbiegł po schodach na górę. Nacisnął klamkę. Drzwi do pokoju Jarzęckiej były zamknięte na klucz. Poczuł, że gorąca fala krwi napływa mu do głowy. „Chyba zwariowałem” - pomyślał. Spojrzał w dół. Gosposia stała bez ruchu i zadarłszy głowę przyglądała mu się uważnie swymi wypukłymi oczami. W skrócie perspektywnym wyglądała jak ogromna, niezgrabna żaba.

- Drzwi są zamknięte. Muszę się natychmiast dostać do tego pokoju! - krzyknął.

Powolnym ruchem wyjęła z torby pęk kluczy.

- Jak pani wyjeżdża, to zawsze swój pokój zamyka, ale klucz mi zostawia, żeby mogła sprzątnąć. Proszę, panie władzo.

Weszła na górę. Jak na starą, tęgą kobietę, poruszała się żwawo.

Downar niecierpliwie pochwycił klucze i drżącymi rękami otworzył drzwi. Pokój był pusty. Porządek panował tu wzorowy. Okna szczelnie zamknięte. W dużej kryształowej popielniczce ani śladu niedopałków. Mahoniowy owalny stolik stał na swoim miejscu. Kieliszki i butelka z koniakiem zniknęły.

- A faktycznie, to czego pan tu szuka? - spytała gosposia.

Downar machnął ręką, jakby się chciał opędzić od uprzykrzonej muchy. Szybko podszedł do baru i otworzył go. Butelka eksportowej wódki, wermut, butelka Egri Burgundi. Koniaku nie było. Jakby z oddali posłyszał głos gosposi:

- Chciałby pan sobie gołnąć? Proszę, tu są kieliszki.

Zbiegł na dół i poszedł do łazienki. Odkręcił kran. Wsunął głowę pod strumień zimnej wody. Przez dłuższą chwilę poddawał się temu zabiegowi. Następnie wytarł się ręcznikiem i wrócił na górę.

Nieco przytomniej spojrzął na gospozię Jarzęckich.

- Niech pani siada - powiedział.

Spytała, dlaczego ma siadać, ale spełniła rozkaz. Downar przysunął krzesło i wyjął z kieszeni notes.

- Nazwisko pani?

- Sojecka.

- Imię?

- Karolina.

- Wiek?

Poruszyła się niespokojnie.

- Co mi się pan tak tu wypytuje? Co to, ukradłam co, czy jak?... Też coś...

Downar spojrzął na nią i zmarszczył brwi.

- Jeżeli pani nie będzie odpowiadać na pytania, zabiorę panią do komisariatu.

- Na komisariat?! Ale za co? Co ja zrobiłam? Czego się mnie pan czepia? Spokoju człowiekowi nie dają! Pó nocy przychodzą. Także porządki! Na żaden komisariat nie idę. Niech mi pan głowy nie zawraca.

- Jak pani uważa. Zaraz zadzwonię i przyjedzie po panią wóz milicyjny - wyciągnął rękę w kierunku telefonu.

- Nie, nie, niech pan da spokój. No, już powiem... Czterdzieści dziewięć.

- Co czterdzieści dziewięć?

- No przecież mnie pan pytał, ile mam lat, to mówię, że czterdzieści dziewięć.

- Aha, tak. Dawno pani pracuje u państwa Jarzęckich?

- W kwietniu będzie dwa lata.

- Późno pani dziś wróciła do domu. Gdzie pani była?

Niecierpliwie wzruszyła ramionami. W jej wypukłych oczach malowała się z trudem hamowana złość.

- Ale pan ciekawy! Byłam u siostry, na Grochowie. Miałam u niej zanoć, ale żeśmy się pokłócili, to wróciłam do domu.

Downar zamyślił się.

- Więc pani twierdzi, że państwo Jarzęccy wyjechali wczoraj do Zakopanego.

- No przecież już panu mówiłam.

- I na długo wyjechali?

- Pewnie na miesiąc. Jakby mieli wcześniej wrócić, to zatelefonują. Muszę mieć parę dni, żeby przed ich przyjazdem sprzątnąć mieszkanie. Warto by już podłogi wy cyklinować. Czarne. Ale bo to można porządek utrzymać? Każdy włazi z zabłoconymi buciorami - dodała znacząco.

Downar zamknął notes i zgasił papierosa. Przez chwilę patrzył na zamknięte okna.

Wolno odwrócił głowę. Powiedział:

- Chciałbym obejrzyć mieszkanie.

- A niech pan ogląda. Nie bronię panu.

- To jest pokój pani Jarzęckiej, tak?

- Tak.

- Pan Jarzęcki sypia zdaje się na dole?

- Oni razem nie śpią. Takie to i małżeństwo. Downar spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta. Jeżeli chciał zdążyć na pociąg, to musiał się śpieszyć.

Obejrzał raz jeszcze dokładnie cały pokój, następnie zaś zszedł na dół.

Inżynier Jarzęcki mieszkał w dużym narożnym pokoju, który służył mu jednocześnie za pracownię. Świadczyły o tym rajzbrety i przyrządy kreślarskie, porozrzucane po stołach. Szeroki tapczan, półka z książkami i mocno zniszczony klubowy fotel dopełniały umeblowania. Obok był salonik, spełniający także zapewne rolę jadalni. Niewielki stół z

jasnego drewna, kredens, kilka wyściełanych krzeseł, stolik do brydża, trzy fotele, kanapka, duża stojąca lampa, koło niej radio. Na podłodze tani, barwny dywan, a na ścianach kilka drzeworytów. Widać było ogromną przypadkowość w urządzeniu mieszkania; nowoczesny styl niektórych mebli łączył się tu z typowo drobno-mieszczańskim gustem.

Nie było czasu na przeprowadzenie dokładniejszej rewizji. Downar zajrzał jeszcze do kuchni i łazienki, a następnie wrócił do hallu i włożył płaszcz. Miał już otworzyć drzwi, gdy nagle tknięty jakąś myślą zatrzymał się.

- Czy pani pamięta, w jakiej sukni wyjechała pani inżynierowa? - spytał.

Gospośnia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- W sukni? W takiej szarej, wełnianej. Pewnie, że pamiętam. Sama ją prasowałam.

- I bursztyny miała pani Jarzęcka na szyi?

- A miała. Skąd pan wie?

Pobiegł do pokoju Jarzęckiej i zajrzał do szafy z ubraniami. Szarej wełnianej sukienki nie było.

Sojeczka stała przy drzwiach wejściowych. Niecierpliwiła się.

- Czy pan już idzie?

- Tak. Dobranoc.

Drzwi trzasnęły pchnięte energiczną ręką. Zgrzytnęła zasuwa.

Downar pośpiesznie wydostał się na ulicę i począł biec w kierunku Alei Niepodległości. Sądził, że tam może prędzej złapie jakiś środek lokomocji. Zupełnie niespodziewanie tuż za rogiem spostrzegł wolną taksówkę. Uradowany przyśpieszył kroku i otworzył drzwiczki.

Szofer obrzucił go wrogim spojrzeniem.

- Chwileczkę. Nie pchaj się pan do wozu. Gdzie pan chcesz jechać?

- Na dworzec.

- Na dworzec nie jadę. Jadę na Służewiec. Downar poczuł, że mu krew uderza do głowy.

- Jazda na dworzec! - krzyknął i wsiadł do samochodu.

- Na żaden dworzec nie jadę. A pan nie udawa, ważnego i wykiadała z wozu, pókim dobry.

Downar podsunął mu pod nos swoją legitymację.

- Ja was nauczę porządku! W jednej chwili szofer zmiękł.

- Panie władzo kochany, na co te nerwy! Już się jedzie na dworzec. Główny czy Wschodni?

- Główny. A za takie Zachowanie się wobec pasażera będziecie odpowiadać.

- O, jak rany. Pożartować nie można?

- Ja was odzwyczaję od takich żartów.

Do odejścia pociągu było jeszcze dwadzieścia minut. Downar przekazał taksówkarza dyżurnemu milicjantowi, sam zaś popędził do telefonu. Mimo jednak, usilnych starań nie mógł połączyć się z zepsutego automatu, który uparcie zwracał pięćdziesięciogroszówki. Trzeba było biec do komisariatu dworcowego, znajdującego się poza stacją.

Ziajany Downar dopadł wreszcie aparatu i nerwowo nakręcił numer. Po dłuższej chwili rozległ się w słuchawce zaspany głos.

- Halo? Kto mówi?

- To ty, Karol? Tu mówi Stefan.

- Co się stało? Dlaczego mnie budzisz po nocy?

- Za parę minut jadę do Zakopanego. Jeżeli możesz, to się rozbudź i posłuchaj, co ci powiem. Przed chwilą miałem bardzo dziwną przygodę.

- Słucham. Mów.

Downar w kilku zwięzłych zdaniach streścił całą historię.

Walczak wysłuchawszy go cierpliwie powiedział:

- A co ty, Stefek? Na bani jesteś?
- Oszalałeś?! Na jakiej bani? Wszystko, co ci powiedziałem, to szczerą prawdą. Trzeba wziąć pod obserwację willę tych Jarzęckich. Zadzwoń do ciebie z Zakopanego. Będziemy w kontakcie.

- Dobra, dobra. A uważaj, żebyś nie wpadł pod pociąg.

- Nie wygłupiaj się. No, cześć.

Downar odłożył słuchawkę i pędem ruszył w kierunku przechowalni bagażu. Flegmatyczny funkcjonariusz bez pośpiechu szukał jego walizki. Czas naglił. Każda minuta była droga.

- Proszę wsiadać i drzwi zamykać. Lokomotywa sapnęła i wyrzuciła kłęby pary. Tłoki poczęły się wolno poruszać. Ktoś krzyknął:

- Niech pan nie wskakuje w bieżący!

Siedzący w przedziale pasażerowie, jak przystało na; rdzennych Polaków, z wyraźną niechęcią spojrzeli na nowego towarzysza podróży.

- Przepraszam, czy tu jest wolne miejsce? Pytanie miało raczej konwencjonalne znaczenie.

Ponieważ w przedziale jechały tylko trzy osoby.

Downar ustawił na siatce walizkę, usiadł przy drzwiach i otarł mokre od potu czoło. Był bardzo; zmęczony. Przeżycia ostatnich godzin wyczerpały go nerwowo.

Dopiero po dłuższej chwili przyjrzał się uważniej swym towarzyszom podróży. Tęgi jegomość o wątrobianych workach pod oczami i zwisających podbródkach pograżony był w lekturze jakiejś fascynującej powieści. Po drugiej stronie przedziału, przy oknie, siedziała przystojna, młoda blondynka w narciarskim stroju. Koło niej starsza pani, przypominająca swym wyglądem niezadowolonego kangura, ma-; chała pracowicie drutami, powiększając rozmiary; ogromnego szala, który zapewne w najbliższej przyszłości miał chronić jej długą szyję.

Za oknem czerwone iskry rozsiewały się po ciemnej płaszczyźnie nocy. Wagon kołysał łagodnie. Koła wybijały na szynach pośpieszny rytm. Każdy kilometr potęgował senny nastrój.

Tłusty pasażer odłożył książkę i ziewnął szeroko. Pani o twarzy kangura przestała robić na drutach. Przystojna blondynka podniosła się ze swego miejsca i zapytała uprzejmie: - Czy można zgasić światło?

Wszyscy przyjęli z całkowitą aprobatą tę inicjatywę.

Słaby, niebieski blask wypełnił przedział. Downar przechylił w tył głowę i zamknął oczy. Chciał zasnąć. Stłoczone pod czaszką myśli nie dawały mu jednak spokoju. Wizja przeżytych niedawno chwil wracała z uporem. Miasto zasypane śniegiem, puste, ciemne ulice, samotna willa o martwych, bezświetlnych oknach i blada, pełna milczącego cierpienia twarz tej kobiety. Błagała go o ratunek, a on?... Ogromne, przerażone oczy. Spocone ze strachu dłonie... I nagle ten niesamowity, histeryczny śmiech, który nie przestawał dźwięczeć mu w uszach. Rozmawiał dziś z inżynierową Jarzęcką, a ona wczoraj wyjechała z mężem do Zakopanego. Co to wszystko znaczy? Rozmawiał z kobietą, która przed dwudziestu czterema godzinami jechała może tym samym pociągiem. Czy można wierzyć słowom gospośi? Robiła wrażenie kutej na cztery nogi baby. Ale dlaczego właściwie mogło komuś zależeć na tym, żeby go oszukiwać? Przecież nie prowadzi żadnego śledztwa. W willi Jarzęckich znalazł się zupełnie przypadkowo. Gdyby był nie wszedł do komendy miasta, nic by o tej całej sprawie nie wiedział. A czy istnieje w ogóle jakaś sprawa? Czy warto sobie tym zaprzętać głowę? Czy to nie jest zawodowa mania, żeby w każdym zdarzeniu węszyć; zaraz kryminalną zagadkę? Do diabła z tym wszystkim! Jedzie na urlop, chce wypoczywać, jeździć na nartach, opalać się i nie myśleć o żadnych sprawach, o żadnych śledztwach. Znajdzie sobie jakąś dziewczynę, poflirtuje trochę. Ach, żebyż to mógł spotkać kobietę, która by mu się tak podobała jak

inżynierowa Jarzęcka! Czy naprawdę widział inżynierową Jarzęcką? Czy rzeczywiście z nią rozmawiał? A może?...

Wstał i wyszedł na korytarz. Nie było tu nikogo. Wyjął papierośnicę. Przez chwilę przyglądał się uważnie swemu odbiciu w szybie, jak gdyby chciał się przekonać, czy wygląda normalnie. Papieros jarzył się] rdzawo na tle czarnego okna.

Poczuł zmęczenie. Zgasił papierosa i wrócił na swoje miejsce.

W przedziale wszyscy już spali. Usiadł i przykryj płaszczem głowę. Chciał uciec od swych myśli. Chciał zasnąć.

Nocne godziny mijają albo bardzo szybko, alba bardzo powoli. Cisza, nie przynosząca snu, rodzi myśli, z którymi trudno jest walczyć. Tęsknota za blaskiem] dnia staje się z każdą chwilą coraz silniejsza.

Wreszcie szyby okienne poszarzały i z ciemności; począł się z wolna wydobywać ośnieżony krajobraz.

Pierwsza obudziła się młoda blondynka. Przetarła? oczy i od razu zaczęła rozmawiać z Downarem z taką i swobodą, jak gdyby go znała od urodzenia.

- Fantastycznie lubię góry, po prostu szaleńczo. A pan?
- Owszem, też lubię góry.
- Narty to fantazja, no nie?
- Bardzo przyjemny sport.
- Pan na długo do Zakopanego?
- Na parę tygodni.
- Wygląda pan nieszczególnie. Dobrze panu zrobi wypoczynek.
- Sądzę, że tak.
- Na pewno pan szalowo jeździ na nartach. Wybierzemy się razem na wycieczkę, dobrze?
- Chętnie.
- A bajo-bongo pan tańczy?
- Obawiam się, że nie.
- Nie szkodzi. Nauczę pana. Pójdziemy do „Watry” albo do „Morskiego Oka” i za dwa wieczory będzie pan tańczył jak Geoffry Holder.

Downar skinął poważnie głową. Nie miał wprawdzie pojęcia, kto to jest Geoffry Holder, ale postanowił nie zdradzać się ze swą ignorancją.

Pani przypominająca kangura wydobyła się z pewnym trudem spod swej pelisy i niechętnym spojrzeniem obrzuciła rozmawiających.

- Już dzień?

Pytanie to było całkowicie zbędne, ponieważ jasny blask wypełniał przedział.

Otyły jegomość chrapnął głośniejsz niż dotychczas i nagle otworzył oczy. Przez pewien czas poruszał mięsistymi wargami, jak gdyby sprawdzając smak jakiejś spożywanej we śnie potrawy, następnie zaś podniósł się ociężale i zdjął z siatki dużą torbę podróżną.

Najwyższy czas coś przekąsić - powiedział tonem usprawiedliwienia. Zaraz też zaczął szeleścić woskowanym papierem, rozpakowując zapasy żywności.

Pociąg wspinał się coraz wyżej. Parowóz dyszał astmatycznie, ciągnąc z wysiłkiem długi sznur wagonów. Ośnieżone pagórki białym śladem znaczyły drogę. Dachy małych, nędznych domków sterczały z zasp jak grzyby.

Downar wyglądał przez okno. Cieszył się, że jedzie w góry. Już teraz zdawało mu się, że czuje rześkie, ostre powietrze. Blask dnia rozproszył nocne niesamowite nastroje. Wspomnienia ubiegłego wieczora poczynały blednąć i oddalać się.

- O czym pan tak myśli? Drgnął i odwrócił głowę. Blondynka patrzyła na niego zalotnie.

- Myślę, że przyjemnie będzie w górach. Dobra pogoda na narty.

- Gdybym wiedziała, jak się pan nazywa i gdzie pan będzie mieszkał w Zakopanem, tobym do pana zadzwoniła. Wybraliśmy się może na jakąś wycieczkę.

Uśmiechnął się. Bezpośredni sposób bycia tej dziewczyny podobał mu się.

- Nazywam się Downar. A zatrzymam się prawdopodobnie na razie w „Orbisie”.

Podala mu mocną, muskularną dłoń.

- Moje nazwisko Drzewiecka. Hanka Drzewiecka. Może pana to dziwi, że ja tak prosto z mostu, ale wygląda pan na bardzo fajnego kumpla.

- Dziękuję za komplement i mogę panią zapewnić, że mnie nie tak łatwo zdziwić.

- Czy pan jest artystą?

- Chciałbym być artystą w moim zawodzie.

- A jakiż to zawód?

- Jest pani bardzo ciekawa. Zajmuję się psychologią.

- Och, to musi być pasjonujące! Badać psychikę różnych ludzi to szalone zajęcie.

Downar patrzył na nią ubawiony. Dopiero teraz przyjrzał się jej uważnie. Miała wesołe, niebieskie oczy, trochę zadarty nos i gęstą, rozwichrzoną, jasną czuprynę. Rumiana twarz była pełna młodości. „Uroczą dziewczyną” - pomyślał, głośno zaś powiedział:

- A pani na długo do Zakopanego?

- Na miesiąc. Chyba żebym się bardzo nudziła, to wcześniej wywiej ę.

- Nie sądzę, żeby się pani nudziła.

- Mam nadzieję, że pan do tego nie dopuści - zaśmiała się wesoło, pokazując białe, zdrowe zęby. - A może pan jest zgorzony, że ja pana tak uwodzę?

- Ale skąd znowu!

- Bo ja w Zakopanem właściwie nikogo nie znam. To muszę sobie namotać jakąś sympatię, no nie? A pan mi się podoba. Nie mogę przecież bez przerwy prowadzić się z ciotką. Cholerne nudy. Bo nie powiedziałam panu jeszcze, że jadę do ciotki. Nawet dosyć fajną babka, tylko straszna nudziara, ciągle opowiada o tym, jak to się żyło przed wojną. Bo to, widzi pan, ja pochodzę z niedemokratycznej rodziny. Ciotka była jakąś tam hrabiną, miała majątek. No a teraz prowadź taki mały pensjonat w Zakopanem. Prywatna inicjatywa. Jakoś sobie radzi. Czasami zaprasza mnie do siebie, ale rzadko, bo nie lubi moich rozróbek. A ja przecież nie mogę siedzieć jak mumia egipska. Trzeba się trochę rozerwać, wykombinować jakieś szaleństwo. A ciotka zaraz jest wściekła. Wszystko według niej nie wypada. Ale pan na pewno nie jest taki. Lubi pani poszaleć, prawda?

- To zależy, co pani rozumie przez szaleństwo.

- No wie pan, to taka fajna rozróbka!

Pani z rodziny kangurów obserwowała z zaciekawieniem rozmawiającą parę i uśmiechała się sarka stycznie. Zapewne nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje, że tak statecznie wyglądający mężczyzna wdaje się w dłuższą konwersację z głupią smarkulą.

Tęgi jegomość zjadł pół bochenka chleba z masłem trzy kotlety na zimno oraz tabliczkę czekolady. Następnie wypił ogromny termos herbaty i tak pokrzepiony wrócił do przerwanej w nocy lektury. Nie zdradzał najmniejszej ochoty do porannej pogawędki. Towarzysze podróży nie interesowali go zupełnie.

Hanka niestrudzenie zabawiała Downara, który po pewnym czasie znał już dokładnie jej życiorys oraz: perypetie dalszej i bliższej rodziny Drzewieckich. Słuchał z roztargnieniem tych opowieści. Znowu powrócił myślami do wczorajszej rozmowy z inżynierową Jarzęcką.

Gdy pociąg zatrzymał się na stacji, kobieta-kangur uśmiechnęła się słodko.

- Może byłby pan tak uprzejmy zdjęć moją walizkę.;

Downar sięgnął ręką i ściągnął z półki potężnych rozmiarów kufer, który był ciężki, jakby napakowano do niego kamieni.

Pasażerowie zaczęli się tłoczyć do wyjścia. Każdy tak się śpieszył, jakby dalsze pozostawanie w pociągu zagrażało życiu. Na korytarzu zrobił się zator. Nikt nie zwracał

uwagi na wielogodzinnych towarzyszy podróży, którzy natychmiast po przybyciu pociągu na miejsce przeznaczenia przestali istnieć.

Objuczeni walizami tragarze wolnym, kołyszącym się krokiem szli w kierunku budynku stacyjnego. Ze stosów bagaży wyrastał na peronie las nart. Słysząc było wesołe śmiechy, krzyki i nawoływania. Z oddali dolatywało dzwonienie góralskich sanek.

Downar pożegnał się z Haneczką i wyskoczył z wagonu. Zmrużył oczy. Śnieżny krajobraz świecił mocnym blaskiem. Ktoś go potrącił. Ktoś powiedział „przepraszam”. Trzy młode dziewczęta wpadły na niego z rozpędem i usprawiedliwiały się zmieszane. To jakieś świąteczne, urlopowe podniecenie zaczynało mu się udzielać. Z rozkoszą wciągnął w płuca mroźne, czyste powietrze. Patrzył na roześmiane twarze i sam się uśmiechał. W tej chwili przyrzekł sobie, że tutaj, w Zakopanem, żadnymi ponurymi sprawami nie będzie się zajmował, że nie będzie myślał o niczym przykrym. Ostatecznie przyjechał przecież na urlop na który rzetelnie zasłużył.

Stary góral zawiózł go do hotelu „Orbis” i zażąda pięćdziesięciu złotych. Najwidoczniej doszedł do prze konania, że można pociągnąć z tego cepra. Downar da mu trzydzieści, wziął walizkę i wszedł do hallu.

Właściwie po bezsennej nocy należało się przespać. Nie czuł jednak zmęczenia i wiedział, że nie zaśnie. Ni warto było się kłaść. Rozpakował rzeczy, ogolił się i wziął prysznic. Był rześki i wypoczęty. Sam nie wiedział, dlaczego.

Poszedł na Krupówki. Chciał się trochę przejść rozprostować zesztywniałe w pociągu nogi.

Ostatni raz był w Zakopanem sześć lat temu. Wszędzie tu było dla niego nowe i interesujące. Zatrzymywał się przed wystawami sklepów, przyglądał się przechodzącym kobietom, patrzył na śnieg, na dzwoniące sanki, na mijających go narciarzy. Oddychał głęboko. Czuł, że z każdą chwilą odpręża się coraz bardziej, że coraz dalej zostają poza nim tamte sprawy.

Zgrzytnęły hamulce. Granatowa warszawa zatrzymała się tuż koło niego.

- Jak się masz, Stefan. Ogromna postać Borowicza z trudem wygramoliła się z samochodu.

- Cześć, Józek. Co ty tu robisz? Także przyjechałeś na urlop?

- Diabła tam urlop! Ściągnęli mnie dzisiaj rano; z Krakowa. Ale, ale, poznajcie się - powiedział nagle wskazując na młodego bruneta w mundurze porucznika milicji. - To jest kolega Moczar z tutejszego komisariatu, a to porucznik Downar z komendy głównej. Siadaj, Stefan, z nami.

- Gdzie mnie chcesz wieźć?

- No jak to gdzie? Na miejsce wypadku. To ty nic nie wiesz?

Downar wzruszył ramionami.

- A skądże mam coś wiedzieć? Przed chwilą przyjechałem z Warszawy.

Borowicz wziął go pod rękę i pociągnął w kierunku wozu.

- Mamy tu dzisiaj nielichą sensację. Morderstwo.

- Morderstwo?

- Ano tak. Dziś w nocy zamordowano tu młodą kobietę. Trupa znaleziono koło skoczni.

Dlatego przyjechałem.

- Czy wiesz, jak się nazywa ta kobieta?

- Inżynierowa Jarzęcka z Warszawy. Downar pośpiesznie wsiadł do samochodu.

II. Sprawa komplikuje się

Downar z zainteresowaniem spojrzął na wchodzące go. Jarzęcki był wysoki, szczupły, dobrze zbudowany. Twarz miał pociągłą, śniadą, nos suchy, leciutko zgięty, usta wąskie, mocno zaciśnięte, oczy szare, o chłodnym blasku. Gładko przyczesane ciemne włosy były już mocno przerzedzone. Mógł mieć około czterdziestu lat.

Borowicz uprzejmym ruchem wskazał krzesło.

- Proszę, panie inżynierze, niech pan będzie łaska spocząć. Przykro mi, że w takiej chwili pana trudzę, ale muszę zadać panu kilka pytań. Zwykła formalność.
- Słucham. Niech pan pyta - słowa te wypowiedziane zostały bez żadnego akcentu. Zabrzmiały zupełnie bezosobowo.
- Kiedy pan wyjechał z żoną z Warszawy?
- Przedwczoraj wieczorem, to znaczy we czwartek.

Borowicz spojrział na stojący na biurku kalendarz.

- Dzisiaj mamy sobotę, dwudziestego drugiego. A pan wyjechał we czwartek, dwudziestego.
- Tak.
- Którym pociągiem?
- Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt.
- Może pan zechce opowiedzieć wszystko po kolei. Chciałbym wiedzieć, co się zdarzyło od chwili przyjazdu państwa do Zakopanego.

Jarzęcki zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką.

- No cóż, nic specjalnego. Ze stacji pojechaliśmy zaraz sankami do „Jutrzenki”. Żona moja trochę źle się czuła i położyła się do łóżka. Leżała cały dzień.
- Nie schodziła do jadalni na posiłki?
- Nie. Pokojowa przyniosła jej na górę śniadanie, obiad i kolację.
- Zdaje się, że pana nie było wczoraj wieczorem w „Jutrzence”?
- Byłem u znajomych na brydżu.
- U jakich znajomych?
- U pani Odlanieckiej.
- To ta, która prowadzi pensjonat? - wtrącił się porucznik Moczar, który dotychczas protokołował w milczeniu.
- Tak. Pani Odlaniecka jest właścicielką pensjonatu „Liliana”.
- Uhm - Borowicz wyjął z kieszeni paczkę papierosów i bawił się nią przez chwilę. - Kiedy ostatni raz widział pan żonę?
- Około ósmej wieczorem wyszedłem z „Jutrzenki”.
- I wtedy żona leżała w łóżku?
- Tak.
- A kiedy pan wrócił z tego brydża?
- Mniej więcej o szóstej rano. Graliśmy całą noc.
- Nie zastał pan żony?
- Nie.
- I nie zaniepokoił się pan?
- Owszem, trochę się początkowo zaniepokoiłem. Ale pomyślałem, że może poszła się przejść.
- O szóstej rano?
- Krystyna lubiła takie poranne spacerować. Nawet w Warszawie nieraz wychodziła o świcie.
- A służby pan nie pytał o żonę?
- Oczywiście. Po jakimś czasie zapytałem pokojową, ale nic mi nie potrafiła powiedzieć. Nie widziała, żeby żona wychodziła.
- A potem? - Potem zawiadomiono mnie, że...

Borowicz pokiwał głową.

- Tak, tak, rozumiem. Chciałbym jeszcze pana zapytać, czy pańska żona nie zdradzała ostatnio jakiegoś podniecenia, zdenerwowania?
- Nie. Przynajmniej nic takiego nie zauważyłem.

Downar siedział pod oknem i w milczeniu obserwował Jarzęckiego. Teraz przysunął się z krzesłem do biurka i spytał:

- O której mniej więcej wyjechali państwo w czwartek wieczór z domu na stację?

- Myślę, że musiało być parę minut po dziewiątej. Pociąg odchodził dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt.

- Czy państwo jechali taksówką?

- Tak.

- A czy pan sobie nie przypomina, jakiego koloru była ta taksówka?

- O ile pamiętam, to była wiśniowa warszawa. Ale co to ma do rzeczy? Downar uśmiechnął się.

- To już jest taka zawodowa ciekawość. A jak była ubrana pańska żona w dniu wyjazdu?

- Miała na sobie futro.

- Pytam o sukienkę.

- Sukienkę miała szarą. Tę samą, w której ją znaleziono.

- I te ciemne, nie szlifowane bursztyny?

- Tak.

Downar spojrział na Borowicza.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie. Na razie to mi wystarczy. Dziękuję panu, panie inżynierze, i przepraszam, że zabraliśmy panu tyle czasu.

Jarzęcki wstał. Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

- Czy nie będę już panom potrzebny? Chciałbym dziś na noc wyjechać do Warszawy. Muszę załatwić formalności pogrzebowe.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Borowicz. - W razie potrzeby zwrócimy się do pana w Warszawie o dodatkowe wyjaśnienia czy informacje.

- Zawsze chętnie służę, kapitanie.

Jarzęcki skinieniem głowy pożegnał milicjantów i wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Robił wrażenie człowieka bardzo przygnębionego.

Przez chwilę panowało milczenie. Downar palił papierosa, Borowicz w zamyśleniu stuknął ołówkiem o blat biurka. Moczar wyjął nową kartkę papieru i powiedział:

- Przepraszam, kapitanie, ale nie rozumiem, dla czego żeście nie zapytali tego inżyniera, czy nie podejrzewa kogoś o morderstwo?

Borowicz zwrócił ku niemu swą dużą, kwadratową głowę. Przypominał w tej chwili niedźwiedzia zbudzonego z zimowego snu.

- Nigdy nie należy zadawać niepotrzebnych pytań - odparł. - Czy jest pokojówka?

- Tak. Czeka.

Jadzia z „Jutrzenki” była rezolutną dziewczyną. Miała dwadzieścia dwa lata, sprytnie niebieskie oczy i ładne zęby. Może dlatego nie omijała żadnej okazji żeby się śmiać. W tej chwili wyglądała na speszoną. Widok milicyjnych mundurów i poważnych, skupionych twarzy onieśmielił ją. Stała przed biurkiem i szarpała nerwowo róg chusteczki.

Borowicz wskazał jej krzesło.

- Dawno pani pracuje w „Jutrzence”?

- Niezadługo będzie rok.

- Skąd pani jest? Z Zakopanego?

- Nie. Z Nowego Targu. Przyjechałam tu za robotą Kacperkowa, moja chrzestna, mnie nastęrczyła. Bo widzi pan...

- Dobrze, dobrze - przerwał Borowicz. - To pani nosiła jedzenie do pokoju inżynierowej Jarzęckiej?

- Ano ja.

- Śniadanie, obiad i kolację?
- Tak. Czy zrobiłam coś złego?
- Ależ nie. Kiedy ostatni raz widziała pani inżynierową Jarzęcką?
- A było już chyba po dziesiątej.
- Tak późno zanosila jej pani kolację?
- Uchowaj Boże. Kolację zaniioslam o ósmej. Ale potem pani inżynierowa dzwoniła na mnie i prosiła o herbatę.
- I widziała ją pani leżącą w łóżku?
- No pewnie. A gdzież by miała leżeć?
- A jak wyglądała? - spytał Downar. Dziewczyna odwróciła się do niego.
- Mizerniutka była, bidula. Mówiła, że ją strasznie głowa boli. Nawet szukałam jakiegoś proszka, ale nic nie znalazłam.

Downar odsunął się pod okno. Borowicz uważnie przyglądał się Jadzi.

- A o której wyszedł z pensjonatu inżynier Jarzęcki?
- Zaraz po kolacji. Chyba było około ósmej. Nie patrzyłam na zegar.
- Czy mówił co?
- Tak. Prosił, żeby żonie zanieść kolację na górę.
- A co się dzieje z waszą kierowniczką?
- Pani kierowniczką wyjechała do Krakowa. Ma wrócić jutro.
Borowicz spojrział na Downara.
- Czy miałbyś jeszcze jakieś pytania?
- Na razie chyba już nie. Może tylko jeszcze panna Jadzia nam powie, czy nie widziała, jak pani Jarzęcka wychodziła z pensjonatu.

- Nie. Sama się dziwiłam, kiedy ona wyszła, że nikt jej nie widział. Ja się przecie cały czas kręcę, a i Maryśka także, Felek, to znaczy nasz portier, także nie zauważył, żeby pani inżynierowa wychodziła.

- Tak, tak - mruknął Borowicz. - No, to na razi dziękuję. Może pani iść do domu.

Jadzia uśmiechnęła się, wykonała pożegnalny ukłon i wyszła pośpiesznie, stukając obcasami.

Zadzwonił telefon. Borowicz szybkim ruchem wy ciągnął rękę.

- Komisariat milicji. Słucham... Tak, tak, jestem Słucham, doktorze... Tak? Uhm. Rozumiem. Tak, tak oczywiście... Dobrze, dobrze, oczywiście. Bardzo dziękuję. Do widzenia. Cześć.

Downar spojrział pytająco.

- No i co?
- Dzwonił Kalicki. Właśnie wszystko się potwierdza. Strzał w tył głowy z bardzo małej odległości Kaliber 11,43. Śmierć nastąpiła wczoraj wieczorem między dziesiątą a dwunastą.
- Wczoraj wieczór między dziesiątą a dwunastą? - powtórzył Downar.
- Dziwi cię to?
- Bardzo.
- Dlaczego?
- Przy okazji ci to wyjaśnię. Sądzę, że mamy jeszcze coś do załatwienia.

Borowicz dźwignął z krzesła swe potężne kształty.

- Moja propozycja jest taka: my obaj pójdziemy teraz zaznajomić się z wczorajszymi partnerami inżyniera Jarzęckiego, kolega Moczar zaś rozejrzy się jeszcze na terenie „Jutrzenki”. Trzeba by tam odszukać jakichś znajomych Jarzęckich.

- Ale, ale, poruczniku - przypomniał sobie Downar - czy nie znaleziono łuski? Moczar potrząsnął głową.

- Zgodnie z waszym poleceniem moi ludzie przesiali dokładnie śnieg w promieniu dziesięciu metrów od miejsca, gdzie leżał trup. Łuski ani śladu. Mnie samego to dziwi. Tę kobietę zastrzelono najwyżej z odległości jednego metra. Łuska powinna była upaść w śnieg. Downar popatrzył na niego zamyślony.

- Tak. No cóż, chodźmy. Później się będziemy nad tym wszystkim zastanawiać.

Pensjonat „Liliana” stał na malowniczym wzgórzu. Był to drewniany, piętrowy dom w stylu zakopiańskim. Ciemne, brązowe ściany kontrastowały ze śnieżnym tłem. Cały teren otoczony był mocno już sfatygowanym płotem. W głębi widać było kilkanaście owocowych drzew troskliwie owiniętych słomą.

Weszli na ganek i otrzepali śnieg z butów. Borowicz nacisnął dzwonek. Po chwili w drzwiach ukazała się starsza, siwa kobieta. Niezwykle trudno było ustalić kierunek jej spojrzenia, ponieważ każde oko działało z rzadko spotykaną indywidualnością.

- Chcielibyśmy się widzieć z panią Odlaniecką.

- Pani jest bardzo zajęta. A panowie w jakie sprawie?

- Proszę powiedzieć pani Odlanieckiej, że jesteśmy z milicji.

Lewe oko, jak gdyby przestraszone, przytuliło się pośpiesznie do nosa, prawe zaś uciekło w głąb głowy.

Staruszka wpuściła do przedpokoju nieproszonych gości i błyskawicznie zniknęła.

Przedpokój był duży. Przypominał trochę sieni w jakimś dworcu szlacheckim. Na ścianie wisiały foto grafie koni, rogi jelenie i dwa owalne lustra w złożonych, ciężkich ramach. Z boku stał niewielki stolik i parę bardzo zniszczonych wyściełanych krzeseł przed kominkiem zaś duży wolterowski fotel w którym niezawodnie dokonywali żywota przodkowie pani Odlanieckiej.

- Zalatuje tu stęchlizną - powiedział Downar. W tej chwili drzwi się otworzyły i zobaczyli wysoki

szczupłą kobietę w czarnej sukni. Wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat. Włosy miała gęste, zupełnie białe uczesane w wysoki, misterny kok. Twarz wąska w której dominował zgięty arystokratycznie nos, przypominała trochę rasową kozę, a wrazenie to potęgował ostry, spiczasty podbródek. Ciemne, rozbiegane oczy zdradzały zdenerwowanie. Oficerowie skłonili się uprzejmie.

- Panowie do mnie? Słucham? - głos miała mocny, energiczny, pełen młodzieńczej werwy.

- Jesteśmy z milicji - powiedział Borowicz. - Chcemy panią prosić o chwilę rozmowy. Ze zdziwieniem podniosła brwi do góry.

- Przecież wycofałam skargę w sprawie tej kradzieży. To się już wyjaśniło.

- Nie chodzi o kradzież. Mamy do pani zupełnie inną sprawę.

Obrzuciła ich szybkim, badawczym spojrzeniem.

- Wobec tego proszę, może panowie pozwolą dalej.

Przeszli do niewielkiego saloniku. Meble, spowite w białe pokrowce, wyglądały jak sarkofagi. Ściany zawieszane były rodzinnymi portretami. Na bidermajerowskim stoliku stał piękny porcelanowy wazon. Ciemnozielone ciężkie kotary zasłaniały okna.

Pani Odlaniecką wskazała gościom foteliki, sama zaś siadła na staroświeckiej kanapie.

- Więc słucham panów? O co chodzi? Borowicz odchrząknął.

- Pani zapewne wie, że zamordowano inżynierową Jarzęcką?

- Tak. Słyszałam. Straszne nieszczęście.

- Pani ją знаła? - Oczywiście.

- Wczoraj wieczór przyszedł do pani na brydża inżynier Jarzęcki?

- Tak.

- Mniej więcej o której godzinie?

- Chyba około wpół do dziewiątej. Trudno nu dokładnie powiedzieć.

- I graliście państwo przez całą noc?

- Tak.

- A czy inżynier Jarzęcki nigdzie w tym czasie nie wychodził? Nie prosił kogoś, żeby go zastąpił w grze?!

- Nie. Dlaczego pan o to pyta?

Borowicz nie odpowiedział. Sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę.

- Czy pozwoli pani zapalić?

- Bardzo proszę.

- A może pani zapali?

- Nie, dziękuję panu.

Downar od pewnego czasu spoglądał w kierunku przedpokoju. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś podsłuchuje ich rozmowę. Wstał i dokładnie zamknął drzwi.

- Nie lubię przeciągów - powiedział z uśmiechem.

Pani Odlaniecka nie podjęła tego tematu. Patrzyła na niego z niewzruszoną powagą. Napotkał jej spojrzenie. W tych ciemnych, chłodnych oczach dojrzał skupienie i czujność.

Borowicz ciężko podniósł się ze swego miejsca i zaczął chodzić po pokoju. Z roztargnieniem przyglądał się meblom. Wreszcie zrezygnował z tej trochę; dziwnej przechadzki i zatrzymał się przed panią Odlaniecką. Spytał:

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, kto grał w brydża z inżynierem Jarzęckim?

- Oczywiście. To przecież nie tajemnica. Był mecenas Rolicki, doktor Fechner z żoną, ja, no i pan Jarzęcki. Graliśmy w piątkę.

- Nikt nie kibicował?

- Nie.

- Czy ci państwo to pani pensjonariusze?

- Tak. Doktorostwo Fechnerowie i pan Rolicki przyjechali do mnie na parę tygodni. Inżynier Jarzęcki mieszka, jak panom chyba wiadomo, w „Jutrzence”.

- Inżynier Jarzęcki wspomniał zapewne, że jego żona źle się czuła?

- Naturalnie. Oboje mieli przyjść do mnie na brydża. Pan Jarzęcki usprawiedliwił, żonę, że z powodu migreny nie mogła nam dotrzymać towarzystwa.

- Uhm - Borowicz wyjął z kieszeni duży notes, oprawny w ciemną ceratę, i coś w nim zapisał. - Czy mógłbym pomówić z pani partnerami brydżowymi?

- Nie wiem, czy wszyscy są w domu. Pana Jarzęckiego oczywiście nie ma dzisiaj u mnie.

- Tak. Wiem o tym. Odlaniecką wyszła z pokoju. Borowicz nachylił się nad Downarem.

- No i co ty myślisz o tej babce? - spytał.

- Pogadamy później.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, paląc papierosy. Za oknem szumiał wiatr. Gdzieś z oddali dolatywało szczekanie psa. Cisza tego domu przypomniła Downarowi samotną willę na Mokotowie.

Pani Odlaniecką wróciła w towarzystwie doktora Fechnera i jego żony.

Niestety mecenas Rolicki wyszedł na spacer - powiedziała. Dokonała krótkiej prezentacji i usiadł na swym dawnym miejscu na kanapie.

Borowicz, nie tracąc czasu na dłuższe wstępy, spytał:

- Państwo grali dzisiaj w nocy w brydża z pani Odlaniecką, z panem Rolickim i inżynierem Jarzęckim, tak?

Fechner skinął głową.

- Tak. Przyznać muszę, że jestem trochę zaskoczony tą indagacją.

Borowicz nie uznał za stosowne reagować na ostateczne zdanie.

- I grali państwo przez całą noc?

- Tak.

- A czy inżynier Jarzęcki przez cały czas był z państwem?

Fechner wzruszył ramionami.

- Graliśmy w piątkę. Nie zwracałem uwagi na to co robi pan Jarzęcki, kiedy był „wychodzącym”.

- Więc nie może pan powiedzieć, czy inżynier Jarzęcki opuszczał ten dom w czasie gry?

- Nie.

Borowicz zwrócił się do doktorowej.

- A pani?

Spojrzała na niego tak, jakby nie bardzo rozumiała o co chodzi. Miała duże brązowe oczy, obojętne i senne. Poruszała się leniwie. Robiła wrażenie wschodnią haremowej piękności.

- Mnie się zdaje, że pan Jarzęcki był z nami przez całą noc - powiedziała wolno. - Przecie i: graliśmy razem w karty - niski melodyjny głos nie zdradzał żadnego wzruszenia.

Downar od dłuższego już czasu usiłował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy słyszał nazwisko Fechner. Uważnie obserwował doktora i musiał przyznać, że tak eleganckiego mężczyzny dawno nie widział. Świetnie skrojony garnitur z zagranicznej wełny, jedwabna koszula, kosztowny krawat, złote spinki przy mankietach. Wszystko w najlepszym gatunku i wszystko znakomicie stonowane z tą śniadą, pociągłą twarzą południowca.

- Czy państwo byli kiedyś sąsiadami Jarzęckich? Fechner zdawał się być zaskoczony tym pytaniem.

Nerwowym ruchem przygładził lśniąco od brylantyny włosy.

- Tak. Mieszkaliśmy przez jakiś czas koło państwa Jarzęckich, w Warszawie na Mokotowie. Ale skąd pan o tym wie?

Downar uśmiechnął się.

To należy do mojego zawodu, żeby wiedzieć różne rzeczy. Chciałbym jeszcze zapytać, czy Jarzęccy byli dobrym małżeństwem?

- Nie wiem - mruknął niecierpliwie Fechner. Nie mam zwyczaju wtrącać się do osobistego życia moich znajomych. I w ogóle bardzo się dziwię, że pan mi zadaje takie pytania..

- Państwo Jarzęccy byli bardzo kochającym się małżeństwem - powiedziała Fechnerowa i zamyśliła się głęboko. Robiło to takie wrażenie, jakby przypomniawszy sobie dawno minione chwile.

Borowicz pochylił się nagle i zaczął szukać czegoś pod stołem.

- Czy pan coś zgubił? - spytała pani Odlaniecka

- Ech, głupstwo. Upadła mi cygarniczka. Już zna lażłem.

Borowicz wyjął papierosa i stuknął nim o papierośnicę.

- Jakich pani ma jeszcze gości u siebie? - spytał zwracając się do Odlanieckiej.

Spojrzała na niego z roztargnieniem.

- Gości? A tak... Jest profesor Kuniewiecki z Krakowa, państwo Majewscy, pan Dreyer, no i mecenas Rolicki. To chyba już wszyscy. Tak, na razie nie ma więcej nikogo.

Fechner poruszył się niecierpliwie.

- Czy jesteśmy jeszcze panom potrzebni?

- W tej chwili już nie. Dziękuję państwu.

Doktor wstał i zrobił miejsce żonie. Downar odprowadził ją spojrzeniem do drzwi. Była postawna i bardzo zgrabna, chociaż kształty miała może trochę; za pełne. Wyglądała na kobietę, która nie potrafi sobie odmówić słodyczy. Zaczynała tyć.

Po wyjściu Fechnerów pani Odlaniecka poprawiła się na kanapie i w postawie pełnej godności czekała na dalsze pytania.

Borowicz stracił jednak ochotę do rozmowy. Ziewnął dyskretnie, spojrzął na zegarek i klepnął Downara po ramieniu.

- No cóż, stary? Chyba pójdziemy? Nie będziemy już dłużej pani nudzić.

Wiatr ustał. Padał drobny śnieg. Małeńkie, lśniące płatki łagodnie wirowały w powietrzu. Biała droga skrzypiała pod nogami. Pod wieczór brał mróz.

Borowicz sięgnął do kieszeni, przymrużył prawe oko i powiedział:

- Widziałeś, co znalazłem pod stołem?

Downar wziął szton w dwa palce i przyjrzał mu się uważnie.

Czyżby ta stara organizowała gry?

- No cóż, wszystko jest możliwe. Trzeba będzie mieć na oku tę „Lilianę”. No i jak ci się podoba pani hrabina Odlaniecka?

- Jeśli mam być szczerzy, to wolę panią doktorową Fechnerową.

- Wcale ci się nie dziwię. A co teraz robimy? Myślę, że nie od rzeczy będzie wpaść do „Jutrzenki”. Jestem pewien, że Moczar czeka tam na nas. Ale przedtem zajdźmy gdzieś na kawę. Czuję, że po rozmowie z hrabiną spadło mi ciśnienie.

Młoda dziewczyna o zalotnym spojrzeniu postawiła przed nimi dwie szklanki ciemnego, gorącego płynu, który bez większego powodzenia imitował produkt odległych plantacji. Borowicz wrzucił dwa kawałki cukru i pochylił się nad stolikiem.

- A teraz powiedz poważnie, co myślisz o tej Odlanieckiej.

Downar wzruszył ramionami.

- No cóż... Boja wiem? Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że praca śledcza jest u nas niezwykle trudna.

- Co masz na myśli?

- To, że obecnie w Polsce ogromny procent obywateli ma nieczyste sumienie. Każdy coś tam przeskrobał i boi się milicji.

- Tak, to prawda - przyznał Borowicz. - Przy śledztwie zawsze tyle wyłazi rozmaitych historii, nie związanych z zasadniczą sprawą, że w końcu człowiek nie wie, za co się łapać.

- I kogo łapać.

- Właśnie. Na przykład ta Odlaniecka wcale mi się nie podoba. Robi takie wrażenie, jakby była przestraszona naszą wizytą.

- Co się dziwisz? Jeżeli kręci ruletkę... Widziałeś jaki to musi być forsiasty gość ten Fechner. Jestem pewien, że ona nie przyjmuje do swego pensjonatu urzędników pocztowych.

Borowicz siorbnął głośno duży łyk kawy.

- Psiakrew, ależ to lura. Chodźmy stąd. Wyjął pieniądze i chciał wstać od stolika.

Downar przytrzymał go za rękę.

- Zaczekaj. Muszę ci coś powiedzieć.

- No, słucham cię. Mów.

Bo widzisz, Józek, ja wczoraj wieczór rozmawiałem w Warszawie z Jarzęcką.

- Z Jarzęcką? Z tą zamordowaną?

- Tak. Właśnie z nią.

- O której to było?

- Około jedenastej.

- No przecież ona przez cały wczorajszy dzień była w Zakopanem. A sekcja wykazała, że została zastrzelona wczoraj pomiędzy dziesiątą a dwunastą wieczorem. Downar skinął głową.

- Tak, tak. Wszystko się zgadza, a jednak ja z nią rozmawiałem wczoraj wieczór na Mokotowie.

- I rozpoznałeś w zamordowanej tę kobietę, z którą rozmawiałeś w Warszawie wczoraj wieczorem?

- Oczywiście. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że to ona.

- Dlaczegoś mi o tym wcześniej nie powiedział?

- To niesamowita historia. Nie chciałem przy ludziach... A zresztą nic by to właściwie nie zmieniło.

Borowicz przeciągnął ręką po czole.

- Nie rozumiem, kompletnie nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Gadaj od początku, jak to było.

- Więc słuchaj...

Downar krótko opowiedział swoją wczorajszą przygodę. Nie zapomniał o psie ani o rozmowie z gosposią.

Borowicz słuchał w skupieniu. Kiedy dziwna opowieść dobiegła końca, przyjrzał się z powątpiewaniem przyjacielowi.

- Wyjeżdżałeś wczoraj na urlop i pewnie poszedłeś z kolegami na pożegnalną kolacyjkę. Ja też czasami lubię sobie wypić, ale...

- Do jasnej cholery! - krzyknął Downar. - Nie byłem pijany. Kropli wódki w ustach nie miałem.

- Winem też sobie można nieźle podgazować - zauważył rzeczowo Borowicz.

- Tłumaczę ci przecież, - że nic nie piłem, ani wódki, ani wina, ani piwa, ani nawet fructovitu.

- I rozmawiałeś wczoraj z inżynierową Jarzęcką?

- Rozmawiałem.

- W Warszawie?

- W Warszawie.

- I to była ta sama kobieta, którą widziałeś zastrzeloną?

- Ojej, nudny jesteś. Przecież ci tłumaczę, że ta sama. Miała na sobie tę samą sukienkę, nawet te same bursztyny na szyi.

Borowicz podrapał się za uchem. Wyglądał teraz jak wielka nadęta sowa.

- A w cuda wierzysz? - spytał.

- Nie wygłupiaj się - mruknął niecierpliwie Downar.

- No więc jakże się to mogło stać? Ty rozmawiasz w Warszawie na Mokotowie z inżynierową Jarzęcką, a o tej samej porze ktoś ją morduje w Zakopanem.! Może mi to wytłumaczysz?

Downar w zamyśleniu rozglądał się po sali.

- Jakbym ci to umiał wytłumaczyć, to nie potrzebowałbyś już prowadzić śledztwa w sprawie tego morderstwa. No, chodźmy stąd - dodał po chwili. - Ta kawa jest rzeczywiście nie do picia.

W „Jutrzence”, tak jak przewidywał Borowicz, czekał na nich porucznik Moczar.

- Jest co nowego? - spytał Borowicz.

- Może przejdziemy do pokoju, który zajmowali Jarzęccy - zaproponował Moczar.

- Doskonale.

Weszli na pierwsze piętro. Pokojówki przyglądały się im z zaciekawieniem.

Pokój nie różnił się niczym specjalnym od setek podobnych pokoi pensjonatowych. Dwa łóżka, stół nakryty kolorową serwetą, szafa na rzeczy, parę krzeseł, umywalnia, niklowane pręty na ręczniki, kawałek linoleum.

Borowicz usiadł na brzegu łóżka i wyjął papierosa.

- No więc?

Moczar podsunął mu zapaloną zapalniczkę.

- Wszystko dokładnie zbadałem - powiedział.

- To znaczy?

- Zeznania pokrywają się z tym, co powiedziała pokojówka. Jarzęccy przyjechali z Warszawy wczoraj rano. Ona źle się czuła i zaraz poszła na górę i położyła się do łóżka.

Jedzenie noszono jej do pokoju. Jarzęcki po kolacji, około ósmej, wyszedł z pensjonatu. Nikt nie widział, żeby Jarzęcką opuszczała swój pokój lub żeby gdzieś wychodziła.

- Z takiego pensjonatu nietrudno jest wyjść niepostrzeżenie - mruknął Downar.

Borowicz w zamyśleniu kiwnął głową.

Tak, tak. A czy nie zauważyliście, poruczniku, czegoś szczególnie ciekawego?

- Chyba tylko te ślady pod oknami.

- Jakie ślady?

- Bardzo głębokie ślady na śniegu, pod samymi oknami. Śnieg jest po wierzchu zamrznięty. Gdyby ktoś normalnie szedł, to tak głęboko nie zapadałby się.

- Przypuszczacie, że cierpiąca na silną migren inżynierowa wyskoczyła z pierwszego piętra przez okno?

Moczar wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Wszystko jest możliwe. Downar podszedł do okna, otworzył je i bardzo uważnie obejrzał parapet.

- To wcale nie jest wykluczone. Są zupełnie świeże odpryski na murze i rama okienna jest w jednym miejscu zadrapana bardzo niedawno. Może to być ślad po obcasie. No i ta konopna nitka na kaloryferze.

Borowicz niecierpliwie poruszył ręką.

- No dobra, dobra. Ale po jakiego licha inżynierowa Jarzęcka miałaby ni stąd, ni zowąd spuszczać się przez okno po linie? A jeżeli nawet przywiązała sznur do kaloryfera, to przecież ktoś musiał odwiązać... Więc albo pokojówka, albo Jarzęcki.

Downar zawiązał jakieś okruchy w kawałek papieru. Starannie zamknął okno i powiedział:

- Coś mi się zdaje, że ty tego Jarzęckiego trochę za wcześnie puściłeś do Warszawy.

Borowicz mimo woli spojrzął na zegarek.

- I mnie też się tak zdaje. No, ale właściwie nie miałem podstaw, żeby go zatrzymać. Zadzwońisz do Walczaka, żeby rano posłał kogoś na dworzec. Trzeba go będzie jeszcze w Warszawie przesłuchać. Ale, poruczniku - zwrócił się do Moczara - czy wśród tutejszych gości są jacyś znajomi Jarzęckich?

- Tylko niejaki Wykosz, z zawodu literat. Jarzęcki pierwszy raz przyjechał do „Jutrzenki”. To jej właściwie dom pracy twórczej literatów, więc on, jako inżynier...

Czy można pogadać chwilę z tym literatem? - Zaraz go sprowadzę. Kazałem, żeby się nie ruszał z domu.

Moczar wyszedł, Borowicz zaś wstał i przeszedł się po pokoju.

- Diabelnie zawikłana sprawa, psiakrew. Diabelnie zawikłana... - mrucał. - Słuchaj no, Stefan, i tyś na pewno nie był wczoraj w Warszawie pijany?

- Odczep się ode mnie.

- No, no, nie gniewaj się, ale przecież sam rozumiesz... Jarzęcką nie mogła być jednocześnie w Warszawie i w Zakopanem. Po wódce tak się człowiekowi czasem coś przywidzi. Ja sam, jeszcze w czasie okupacji, tak się kiedyś zagazowałem...

Wszedł Moczar, prowadząc za sobą barczystego mężczyznę o bladej, przedwcześnie zniszczonej twarzy i zmierzwionej ciemnoblonde czuprynie. Oficerowie podnieśli się z miejsc, aby godnie powitać chlubę polskiej literatury.

Wykosz powiódł po nich nieco zamglonym spojrzeniem. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że jest on całkowicie dysponowany do tego rodzaju przywidzeń, o których przed chwilą mówił Borowicz.

Cześć pracy! - zawołał patetycznie. - Niech żyje nasza dzielna milicja obywatelska.

- Może pan usiądzie - zaproponował Downar, podsuwając mu krzesło.

Wykosz popatrzył na niego uważnie.

- Lepiej jest siedzieć niż stać - powiedział sentencjonalnie i ciężko osunął się na niezbyt wygodny mebel. W danym momencie najbardziej odpowiadała' by mu pozycja leżąca.

- Chyba dzisiaj nic z tego nie będzie - mruknął Moczar.

Okazało się, że wieszcz narodowy posiada mini wszystko niezwykle czuły słuch.

- Z czego nic nie będzie! Myślicie, że jestem pijany?! Ja pijany?! Ach, wy, obywatele milicjanci! Jeszcze się taki nie urodził, kto by Wykosza pijanym widział. Przyznaję, żeśmy z Leonem parę kieliszków tego... Al kto by nie wypił? Takie straszne nieszczęście. Tragedia. Krysunią Jarzęcką. Kto by to pomyślał. W kwiecie wieku kobieta. I to jaka kobieta... - wsparł głowę na dłoni i już miał zamiar zaszlochać, kiedy Borowie przerwał mu ten żalony nastrój.

- Więc pan znał panią Jarzęcką?

- Pytanie. Czy ja ją znałem? Jakże jej mogłem nie znać, kiedy stale bywałem u Jarzęckich. A żeże znałem oboje Jarzęckich, to znaczy się, że znałem także i Krysie Jarzęcką. Jasne, prawda?

- Zupełnie słusznie - przyznał z powagą Borowicz. - A dawno pan już zna państwa Jarzęckich?

Dawno, bardzo dawno. Kilka lat. Może nawet dawniej.

- Państwo Jarzęccy przyjechali wczoraj do „Jutrzenki”?

Wykosz zastanowił się. Widać było, że jego umysł pracuje z największym wysiłkiem.

- Tak. Wczoraj, a może przedwczoraj. Ale chyba wczoraj.

- I zaraz po przyjeździe widział pan ich?

- Oczywiście. Widziałem przez okno, jak zajechali sankami. No, a potem w czasie obiadu wyściskaliśmy się ze Stachem. Ale Krystyny nie widziałem na obiedzie. Zaraz, zaraz... Co się z nią stało? Aha, prawda, przecież ją ktoś zastrzelił...

- A czy pan nie podejrzewa kogoś o to morderstwo? - wtrącił szybko Borowicz.

Wykosz w jednej chwili wytrzeźwiał. Metamorfoza była tak gwałtowna, że milicjanci spojrzeli na niego zdumieni. Wyjął papierośnicę i zaczął ich częstować.

- Proszę, może panowie zapalą bułgarskiego. Właśnie w zeszłym tygodniu otrzymałem przesyłkę z Sofii. Niezły tytoń mają nasi bracia Słowianie.

Spojrzał w okno i zamyślił się. Dopiero po chwili odpowiedział Borowiczowi.

- Pytał pan, czy nie podejrzewam kogoś o zamordowanie inżynierowej Jarzęckiej. A skądże ja mógłbym kogoś podejrzewać. Nie mam najmniejszego pojęcia. To jakaś zupełnie zagadkowa historia. Żałuję, że nie jestem autorem powieści kryminalnych. Miałbym znakomity temat. Szczerze mi żal tej Jarzęckiej. Taka była miła, kulturalna kobieta, no i bardzo ładna. Oryginalna uroda. Biedny Stanisław. Wyobrażam sobie, jaki musi być zrozpaczony. Wyjechał do Warszawy. Trzeba się przecież zająć pogrzebem. Straszna tragedia.

Borowicz przyglądał mu się zdumiony. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Zupełnie stracił swą zwykłą pewność siebie. Postanowił skończyć tę rozmowę. Zgasił papierosa i wstał..

- Dziękuję panu. Na razie nie będziemy pani zabierać więcej czasu. Być może, że jeszcze poproszę pana któregoś dnia o chwilę rozmowy.

- Proszę bardzo. Tylko niech się panowie śpiesz? bo za kilka dni wracam do Warszawy. Wio koniku] a jak się postarasz...

Wyszedł, śpiewając przepitym barytonem. Kro: miał bardzo niepewny.

Milicjanci przez chwilę patrzyli w milczeniu na drzwi, za którymi zniknął znany literat.

- No cóż - powiedział Borowicz. - Chodźmy. Na razie nie mamy tu nic więcej do roboty. Jutro trzeba się będzie jeszcze zająć gośćmi pani Odlanieckiej i przesłuchać tutejszy personel. Na dzisiaj dosyć. Nie zapomnij, Stefan, zadzwonić do Walczaka.

Downar był zmęczony. Bezsenna noc w pociągu a potem przez cały dzień śledztwo. „Ładnie mi się urlop zaczyna” - pomyślał z żalem. Przeczynał, że i tym razem z wypoczynku

nic nie będzie. Pożegnał kolegów i spiesznie udał się do hotelu. Chciał jak najprędzej znaleźć się w łóżku.

Nieprędko jednak dane mu było skorzystać z zachęcająco wyglądającej pościeli. Zaledwie bowiem zdjął krawat, gdy rozległo się energiczne stukanie. Ze zdziwieniem spojrzął na drzwi.

- Proszę.

Weszła wysoka, zgrabna blondynka. Od razu poznał swą wesołą towarzyszkę podróży.

- Pani?

Wyciągnęła do niego rękę.

- Dobry wieczór. Zapewne dziwią pana moje odwiedziny. Według zasad *savoir vivre*'u to oczywiście nie wypada, żeby młoda kobieta odwiedzała w hotelu samotnego mężczyznę.

- Ale ja nie przywiązuję żadnej wagi do konwenansów - zapewnił z ożywieniem Downar. - Bardzo się cieszę, że panią widzę. Proszę, niech pani siada.

Przyglądał się jej z zainteresowaniem. Była ładna i miała dużo kobiecego wdzięku, szczególnie kiedy się uśmiechała. Zrobiła na nim tylko wrażenie bardzo dojrzałej. W pociągu uważał ją za smarkulę. Pomyślał, że musi mieć około trzydziestki.

Patrzyła na niego z filuternym uśmiechem.

- Widzę, że pan jednak jest zgorszony moją wizytą.

- Ale skądże znowu. Może pani pozwoli papierosa - pośpiesznie wyjął papierośnicę.

Zapaliła i rozsiadła się wygodniej.

- Nie przypuszczałam, że pan jest z milicji - powiedziała obojętnie.

Był zaskoczony.. - Skąd pani wie? Czyżby?...

- Tak. Hrabina Odlaniecka to właśnie moja ciotka, o której panu opowiadałam. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

- Więc pani słyszała naszą rozmowę?

- Częściowo. Potem pan uprzejmie zamknął drzwi.

- Cały czas miałem wrażenie, że ktoś nas podsłuchuje.

- Jestem ciekawa. To moja wada, a czasem zaleta Spojrzął na nią niezdecydowanie.

Sytuacja była trochę dziwna albo może zupełnie prosta. Późny wieczór, ładna dziewczyna, hotelowy pokój... Downar poczuł, że mu się robi gorąco. Odwrócił głowę. - Czy pani?... - urwał.

- Słucham?

- Nie, nie, nic.

- Ale co pan chciał powiedzieć?

- Chciałem powiedzieć, że pani mi się bardzo podoba.

Roześmiała się.

- Niemożliwe? Kto by to przypuszczał. Ale niech pan sobie nie wyobraża, że ja tu przyszedłam do pana w jakichś romantycznych celach. Nic podobnego Chcę panu po prostu zaproponować czysto handlowy interes.

- Handlowy interes?! - zdumiał się Downar.

- Tak.

- Nic nie rozumiem. Może mi pani to jakoś wyjaśni Zawahała się chwilę, jak gdyby zastanawiając się nad właściwym sformułowaniem swych myśli. Powiedziała:

- O ile się nie mylę, to pan prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania inżynierowej Jarzęckiej?

- Niezupelnie jest to zgodne z prawdą.

- Jak to?

- Tą sprawą zająłem się raczej przypadkowo. Jak pani wie, przyjechałem tu na urlop. Pomogłem trochę kolegom.

I zostaje pan w Zakopanem?

- To się okaże.
- Wobec tego nie jestem pewna, czy pana zainteresuje moja propozycja.
- Muszę wiedzieć, jaka to propozycja.
- Mam zamiar zdradzić panu tajemnicę, która ma związek z tą zbrodnią. Ale nie za darmo.
- Żąda pani pieniędzy? Uśmiechnęła się drwiąco.
- W czasie naszej wspólnej podróży podszył się pan pod miano psychologa, od razu jednak widać, że jest pan tylko milicjantem.
Downar przygryzł wargi.
- Więc o co pani właściwie chodzi?
- W zamian za to, co panu teraz powiem, chcę otrzymać od pana wyłączność na sprawę Jarzęckiej.
- Wyłączność? Nie rozumiem.
- Jestem dziennikarką. Pisuję kryminalne reportaże. Ta sprawa bardzo mnie zainteresowała. Nie chciałabym, żeby ktoś mnie ubiegł. Zrobię z tego bombę dla „Sztandaru Młodych” albo dla „Dookoła Świata”. No cóż, zgoda?
- To będzie zależało od tego, jaki towar pani mi zaoferuje.
- No więc dobrze. Powiem panu: Moja ciotka skłamała.
- I przy jakiej to okazji ciocia pani rozminęła się z prawdą?
- Inżynier Jarzęcki podczas brydża wychodził z „Liliany”.
Downar nastawił ucha. Nie zdradził się jedna z tym, jak bardzo interesowała go ta wiadomość.
- Moja przyjaciółka widziała go koło jedenasta w „Watrze”. To jest dla śledztwa ważna wiadomość. Myślę, że w zamian za nią zarezerwuje pan dla mnie materiały do reportażu.
- Być może. Chciałbym jednak wiedzieć, czy w „Watrze” przyjaciółka pani widziała Jarzęckiego samego czy w towarzystwie.
- Był z jakimś facetem.
- Nie wie pani, kto to był?
- Nie.
- Jest pani najbardziej uroczą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem - powiedział niespodziewanie.
Wstała.
- To ja już pójdę. Uważam nasz interes za załatwiony.
Podszedł do niej blisko. Objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Przegięła się w tył i zmrużywszy oczy patrzyła na niego wyzywająco.
- Przecież przyszłam do pana tylko i wyłącznie w handlowym interesie. Jest pan bardzo miły, ale wydaje mi się, że w tej chwili zachowuje się pan niewłaściwie. Proszę mnie puścić.
Zwinnym ruchem wyrwała mu się z objęć. Błyskawicznie dopadła drzwi i chwyciła za klamkę.
- Dobranoc panu, *mister* Sherlock Holmes.
Downar pozostał sam. Zdenerwowany zapalił papierosa i zbiegł na dół do portierni. Zupełnie zapomniał o tym, że miał się porozumieć z Walczakiem.
Połączenie z Warszawą otrzymał bardzo prędko. O tej porze linia była już wolna. I znowu posłyszał rozespany głos Karola.
- Czyś ty zwariował, Stefek? Dlaczego mnie codziennie budzisz? Wytrzymać z tobą nie można. Co się znowu stało?
- Przestań się awanturować i słuchaj! - krzyknął Downar. - Dzisiaj znaleziono tu trupa inżynierowej Jarzęckiej. Tak, tak, tej samej... Później się będziesz dziwił, a teraz słuchaj. Nocnym pociągiem, tym, który z Zakopanego wychodzi o siedemnastej z minutami, jedzie jej

mąż, Stanisław Jarzęcki. Trzeba go zatrzymać. Wyślij ze dwóch ludzi na dworzec... Co takiego?

- To niemożliwe - powiedział Walczak.

- Dlaczego niemożliwe. Poznają go z łatwością. Zaraz podaję ci rysopis. Mów głośniej! Żle cię słyszę!

- To niemożliwe, Stefek, ponieważ inżynier Stanisław Jarzęcki wyjechał wczoraj wieczorem za granicę.

III. Kłopoty kapitana Walczaka

Kapitan Karol Walczak nie wyglądał na detektywa! Średniego wzrostu, robił wrażenie raczej poczciwego proboszcza aniżeli oficera śledczego. Twarz miał okrągłą, rumianą, pogodnie uśmiechniętą, a gęsta, ciemna czupryna, niesfornie stercząca do góry nadawała mu wyraz dobrotliwego zdziwienia. Niebieskie, łagodna oczy z naiwnością dziecka patrzyły na świat. Był muzykalny, lubił sobie podśpiewywać przy pracy, chodził na koncerty i dobrze grał na mandolinie. Nid też dziwnego, że niejedyn zbrodniarz został oszukany wyglądem i sposobem bycia tego miłego, dobrodusznego człowieka.

W Komendzie Głównej, w Urzędzie Bezpieczeństwa, w prokuraturze mawiano, często nie bez zawiści że kto jak kto, ale ten Walczak to ma nosa. I rzeczywiście wesoły kapitan w swojej karierze śledczej, rozszyfrował już niejedną bardzo skomplikowaną sprawę, wobec której jego koledzy po fachu stawali zupełnie bezradni. Posiadał jakąś wrodzoną zdolność błyskawicznego kojarzenia faktów i wyciągania logicznych, choć nieraz zaskakujących wniosków, a znajomość życia i ludzi oraz niezawodna intuicja znakomicie ułatwiały mu pracę. Miał też swoją własną metodę w prowadzeniu przesłuchań. Był zawsze pogodny, miły, uprzejmy i po godzinie rozmowy nieomal zaprzyjaźniał się z mordercą lub włamywaczem. Umiał zdobywać sobie zaufanie nawet najbardziej zatwardziały przestępców. Ubierał się najchętniej po cywilnemu twierdząc, że nic tak nie przeszkadza mu w pracy jak mundur milicjanta.

- To dobre dla milicji drogowej albo dla kierujących ruchem w mieście, ale nie dla oficera śledczego - mawiał, gdy koledzy nagabywali go, dlaczego stroni od służbowej bluzy.

W śledztwie najbardziej unikał jednostronnego naświetlania sprawy. Nigdy nie stwarzał jakiegś teorii, której trudno by mu się było później wyrzec. Wysuwał zazwyczaj kilka hipotez, nie upierając się przy żadnej z nich, rozważając i analizując wszystkie możliwości, choćby one były nawet najbardziej nieprawdopodobne. Ulubionym jego sloganem stało się - powiedzenie: „nigdy nic nie wiadomo”.

Tego dnia kapitan Walczak był niezwykle roztargniony. Zapomniał zakręcić kran w łazience, ogolił tylko pół twarzy, przy śniadaniu wyspał do herbaty soli, a chleb zamiast masłem posmarował musztardą. Wychodząc zaś z domu do granatowej jesionki włożył milicyjną czapkę.

Jego żona, Helena, z godną podziwu cierpliwością korygowała te omyłki życiowe. Nie gderwała jednak i o nic nie pytała, wiedząc z doświadczenia, że w chwilach takiego zamyślenia należy z Karpiem obchodzić się bardzo delikatnie.

Warszawa, jak zwykle o tej porze roku, tonęła w błocie. Topniejący śnieg zamieniał się w brudną lepką bryłę, w której grzęzli po kolana nieszczęśni mieszkańcy stolicy. Na jezdniach potworzyły się ogromne bajory, a z fantazją jeżdżący szoferzy obryzgiwali przechodniów od stóp do głów. Ludzie klęli głośno na takie porządki i na zupełną bezradność ojców miasta. Rzeczywiście trudno było zrozumieć jak to się dzieje, że przez kilkanaście lat nie potrafią załatwić sprawy uprzątnięcia śniegu, choćby tylko z głównych ulic.

Walczak, który w taki dzień wpadał zawsze w pasji tym razem nie zwracał uwagi na zamienione w grzęzawisko ulice. Zręcznie przeskoczył dwa niewielkie jeziora i wsiadł do osiemnastki.

W komendzie nie wdawał się w żadne poranne pogawędki. Od razu poszedł do swego gabinetu, wyjął z biurka potężny plik akt i zabrał się do pracy. Tak był pogrążony w lekturze, że nie słyszał nawet, jak po upływie godziny rozległo się pukanie do drzwi. Przeczesał tylko zwichrzoną czuprynę palcami i czytał dalej. Znowu ktoś zastukał. Walczak niechętnie podniósł głowę.

- Wejść.

Porucznik Kobiela położył na biurku tekturową teczkę.

- Przyniosłem wam, towarzyszu kapitanie, sprawę morderstwa porucznika Chruściaka. Wczoraj geście mnie prosili. Walczak sięgnął ręką po akta.

- Tak, tak. Bardzo wam dziękuję. Ale... ale - dodał jakby sobie coś przypominając. - Chciałem was o coś zapytać. Siadajcie na chwilę.

Kobiela przysunął sobie krzesło.

- Słucham?

- Czy to wyście się zajmowali w zeszłym roku tymi pięćsetkami?

- Ja.

- Przypomnijcie mi, jak to było.

- Ano to było tak. Śliwiński nas zawiadomił, że jakiś gość wymienił przeszło dwa miliony złotych na pięćsetki. Ja badałem tę sprawę, ale właściwie... No cóż? Nie było się za co zaczepić. Facet zmienił forszę, poszedł i na tym koniec. Ma prawo. A na co mu było tyle pięćsetek, to diabli go wiedzą.

- Tak, tak - mruknął w zamyśleniu Walczak. - Powiedzcie mi jeszcze, czyście rozmawiali wtedy z kasjerem?

- Oczywiście.

- A czy nie pamiętacie czasem nazwiska tego kasjera, który zmieniał forszę na pięćsetki? Kobiela uśmiechnął się.

- Tak na pamięć to nie, ale jeżeli chcecie, to zajrzę do akt.

- Zajrzyjcie.

Porucznik wyszedł i po kilku minutach wrócił.

- Kasjer nazywa się Feliks Krygier.

Walczak zmarszczył brwi.

- Krygier... Krygier. Czekaćcie no... Przecież Jarzęcka, której trupa znaleziono w Zakopanem... Ależ oczywiście... To jej panięskie nazwisko.

- Nie znam tej sprawy - powiedział Kobiela. Walczak pośpiesznie schował akta do szuflady i włożył palto.

- Powiedzcie, żeby mi dali jakiś wóz - rzucił wychodzącemu porucznikowi. Pomyślał chwilę i połączył się z Leśniewskim.

- Halo, majorze. Melduje się Walczak. Mam do wał taką prośbę. Przypuszczam, że lada dzień prokuratura krakowska przekaże nam sprawę Jarzęckiej. Chciałbym, żebyście mi przydzielili to śledztwo. Tak... taki zaczynają mi chodzić po głowie pewne myśli. Być może, że jestem na fałszywym tropie, ale kto wie, czy się z tego coś nie wykluje.

- Dobrze - zgodził się Leśniewski - przydzielę wam tę sprawę. Mnie także się zdaje, że ją przejmujemy z Krakowa. Jutro będzie u nas Borowicz z komendy wojewódzkiej. Chciałbym, żebyście z nim pogadali. To jest niegłupi chłop, chociaż zawsze wygląda tak, jakby się przed chwilą obudził.

- Znam go doskonale - zaśmiał się Walczak. - Bardzo go lubię.

Odłożył słuchawkę i pośpiesznie zbiegł po schodach. Na dole czekał już na niego Zawadzki.

- Jedziemy, kapitanie?

- Tak. Jedziemy do Narodowego Banku Polskiego. Feliks Krygier był właścicielem lśniącej łysiny oraz dużych okularów w ciemnej, solidnej oprawie. Nosił staromodne gumowe

mankiety i czarne, satynowe rękawki, chroniące od zniszczenia marynarkę. Dowiedziawszy się, że ktoś chce się z nim widzieć, zrobił bardzo zdziwioną minę i zamknął kasę. Woźny zaprowadził go do gabinetu dyrektora. - - Niech pan siada, panie Krygier. Kapitan Walczak z komendy milicji chciał z panem porozmawiać.

Kasjer przetarł okulary i zaskoczony spojrzął na swego szefa.

- Ależ, panie dyrektorze, kasa jest w jak najlepszym porządku. Saldo mi się zgadza co do grosza.

- Tu nie chodzi o kasę.

- Nie o kasę? Więc o co? - Krygier przeniósł pytający wzrok na Walczaka.

Kapitan uśmiechnął się przyjacielsko.

- Ach, drobnostka. Przepraszam, że pana trudzę, ale chciałem o coś zapytać. Chodzi mi mianowicie o to, czy pan sobie nie przypomina, jak w zeszłym roku ktoś zmieniał u pana w kasie dwa i pół miliona złotych na pięćsetki?

Pan Feliks podniósł głowę do góry i przytknął oczy, jakby w ten sposób pragnął wywołać wizję odległej przeszłości.

- Dwa i pół miliona? Na pięćsetki?

Umilkł i przez chwilę drapał się w zamyśleniu w łysinę.

- Nie pamiętam - powiedział w końcu. - Jakże pan chce, żebym pamiętał takie rzeczy? Miliony codziennie przechodzą przez moje ręce, więc...

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął skwapliwie Walczak. - Rozumiem to doskonale, ale przypuszczałem, że może się panu taki fakt upamiętnił. Bądź co bądź, nie co dzień ktoś zmienia dwa i pół miliona złotych. I przecież mogło to zastanowić, na co ktoś potrzebuje tyle pięćsetek.

- Ja się takimi rzeczami nie interesuję - mruknął niechętnie Krygier. - To do mnie nie należy. Nie mam zwyczaju zaprzętać sobie głowy sprawami, które do mnie nie należą.

- Bardzo słuszna zasada - powiedział z aprobatą Walczak. - I jeszcze jedno. Czy pan zna inżyniera Jarzęckiego?

Mogło się zdawać, że kasjer był przygotowany na takie pytanie.

- Oczywiście. Był mężem mojej bratanicy.

- Która została zamordowana w Zakopanem.

- Niestety.

- Widzę, że pan niezbyt się przejął tą zbrodnią.

Kasjer rozłożył ręce.

- No cóż, panie kapitanie, w moim wieku człowiek oswaja się z myślą o śmierci i wielu rzeczom przestają się dziwić. A zresztą z Krystyną Jarzęcką łączył mnie bardzo luźny stosunek. Widywaliśmy się raz na roki z okazji jakichś świąt czy imienin. Tak, jak to w rodzinie.

Walczak, który przez cały czas bardzo uważnie obserwował starego kasjera, pochwycił dziwny błyski jego oczu, ale mógł to być tylko refleks światła w okularach. Właśnie bowiem w tej chwili wpadł przez okno promień słońca.

- Dziękuję panom i przepraszam, że zabrałem tyle cennego czasu.

Kasjer i dyrektor uprzejmie odprowadzili go do drzwi.

- Czy szykuje się zamach na bank? - spytał z uśmiechem Zawadzki, połykając ostatni kęs bułki z kielbasą.

- Na razie jeszcze nie. Wracamy do komendy. W sekretariacie jasnowłosa Zosia Kozłowska poderwała się od maszyny.

- Kapitanie, przyjechał porucznik Downar.

- Downar?

- Tak. Jest u majora.

- Jak skończy rozmowę, przyślijcie go do mnie.

- Oczywiście. Już o was pytał.

Po niespełna półgodzinie Downar wszedł do gabinetu Walczaka. Wyglądał na zmęczonego. Twarz miał bladą, oczy podkrążone.

- Czołem, Stefek. Urlop diabli wzięli, co?

- Ano na to wygląda. Mam pecha.

- Ileś ty właściwie siedział w tym Zakopanem?

- Trzy czy cztery dni. Straciłem już rachubę. Cały czas prowadziłem śledztwo z Borowiczem.

- Siadaj. Musimy chwilę pogadać.

Downar usiadł ciężko i ponuro spojrzał na przyjaciela. Był w fatalnym nastroju. Nieustannie dręczyła go myśl, że to przez jego lekkomyślność Jarzęcka poniosła śmierć. Nie wolno mu jej było wtedy zostawić samej. Powinien był jakoś działać, zapewnić jej bezpieczeństwo, wyświecić tę tajemniczą sprawę. A on zachował się jak dureń. Obraził się za ten jej śmiech, który był przecież udany. Niebezpieczeństwo groziło jej naprawdę i ona o tym wiedziała. Z niewiadomych powodów nie chciała mu powiedzieć, co to było. A może się bała szczerze z nim rozmawiać, może była przez kogoś ta terroryzowana, że... Wszystkie te refleksje przychodziły poniewczasie. Już nic nie można naprawić, ni można cofnąć tego, co się stało. Wyjął papierosa i w zamyśleniu macał się po kieszeniach. Walczak podał mu zapalki.

- Słuchaj, Stefek, wiem, że jesteś wykończony, a jeżeli masz jeszcze trochę siły, to chciałbym posłyszę od ciebie wszystko od początku. Coś tak czuję, że będę prowadził tę sprawę.

Downar zrezygnowany wzruszył ramionami.

- No cóż... Wprawdzie opowiadałem tę historię już kilka razy, ale jak koniecznie chcesz, to ostatecznie mogę jeszcze raz.

- Chciałbym też, żebyś mi pokrótce streścił wyniki śledztwa, które prowadziliście z Borowiczem. W kilku zdaniach. Tylko najistotniejsze rzeczy.

Downar zaciągnął się dymem i zaczął mówić.

Walczak słuchał uważnie, nie odrywając wzroku od twarzy przyjaciela. Kiedy opowiadanie dobiegło końca, energicznym ruchem zgasił papierosa i powiedział:

- I bez żadnych wątpliwości rozpoznałeś w denatce tę kobietę, z którą rozmawiałeś w willi na Mokotowie?

- Bez żadnych wątpliwości. Miała na sobie nawet tę samą sukienkę i nie oszlifowane bursztyny.

- Hm... Z tego by wynikało, że ktoś ją kropnął zaraz po twoim wyjściu od niej, a następnie zawiózł trupa do Zakopanego.

Downar kiwnął głową.

- Innego wytłumaczenia nie widzę. Cudów nie ma.

- A teraz nasuwa się pytanie, która z tych dwóch kobiet była prawdziwą Jarzęcką? Bo przecież Jarzęcki przyjechał do Zakopanego z jakąś babką, więc...

- Zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że zamordowana to Jarzęcka.

Walczak drapał się za uchem. Wydał różowe policzki i cicho pogwizdywał arię z „Poławiaczy pereł”.

- Jeżeli ci się nic nie przywidziało, to Jarzęcki nie może być podejrzany o to morderstwo. Po prostu przyjechał do Zakopanego z jakąś dziewczynką i podał ją za swoją żonę.

- Tylko gdzie, u diabła, ta babka się podziała? To można łatwo wytłumaczyć. Kiedy rozeszła się

wiadomość, że znaleziono zwłoki Jarzęckiej; uciekła, bojąc się skandalu. Być może, że to jakaś mężatka. Sprawę natomiast bardzo komplikuje nam zniknięcie Jarzęckiego. Downar spojrzał zdziwiony.

- Jak to? Więc żeście go wtedy nie zatrzymali na dworcu? Przecież podałem ci dokładny rysopis. Jechał w wagonie sypialnym. Nie można go było nie znaleźć.

- Na pewno byśmy go znaleźli, gdyby Jarzęcki przyjechał do Warszawy. Sęk w tym, że go nie było a w wagonie sypialnym, ani w żadnym innym.

- Przesłuchaliście konduktora?

- Oczywiście. Twierdzi, że miał takiego pasażera i że nie wie, co się z nim stało.

- Jak to nie wie?! - krzyknął Downar. - Przecież się nie rozpląnął. Trzeba było zatrzymać tego konduktora.

- Nie mieliśmy podstaw, żeby go aresztować. Konduktor nie jest obowiązany pilnować pasażerów. Jarzęcki mógł gdzieś wysiąść po drodze, na przykład w Krakowie.

Downar, podniecony, wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Słuchaj no, Karol, trzeba by się energicznie do tego zabrać. Boję się, że Jarzęckiemu może grozić niebezpieczeństwo.

Walczak wysunął dolną wargę i począł w zamyśleniu kreślić jakieś esy floresy na kartce papieru

- No cóż... Istnieją chyba dwie możliwości: albo Jarzęcki ma coś wspólnego z zabójstwem żony i zwiął albo też...

- ... albo ktoś go kropnął w wagonie i ciało wyrzucił przez okno - dokończył Downar.

- Zrewidowaliśmy wagon dosyć dokładnie. Żadnych śladów krwi czy jakiejś walki.

Chyba że udusili we śnie. Z tego, co mówił konduktor, wynika że jechał sam w przedziale. Po podniesieniu cen biletów wagony sypialne kursują prawie puste.

Downar usiadł i zapalił nowego papierosa.

- A co z tym wyjazdem Jarzęckiego za granicę?

- No cóż... zwyczajna sprawa. Po prostu ktoś wyjechał na jego paszport. Ale kto, tego nie wiemy i wątpię, czy się kiedykolwiek dowiemy.

- Wycieczka orbisowska?

- Tak. Do Austrii.

- Psiakrew! Ale jak to wszystko powiązać. Najpierw ktoś morduje Jarzęcką i trupa wiezie do Zakopanego. Po co?

Walczak uśmiechnął się.

- Nie wymagaj ode mnie, żebym nagle został jasnowidzem.

- Następnie Jarzęcki w niewiadomych okolicznościach znika z pociągu. Cholernie zawiślana sprawa.

- Proste to nie jest. Przyznaję.

Zadzwoił telefon. Walczak odwrócił się szybko i pochwycił słuchawkę.

- Walczak. Słucham... Tak jest, towarzyszu majorze... Oczywiście... Tak, tak, dzisiaj pośpiesznym. Rozkaz. Wpadnę do was przed wyjazdem.

Odłożył słuchawkę i zaczął gwizdać „Poszła Karolinka do Gogolina”.

- Wyjeżdżasz? - spytał Downar.

- Tak. Wszystko się zmieniło. Miał jutro do nas przyjechać Borowicz, ale major chce, żebym ja jechał dzisiaj do Krakowa. Przejmujemy sprawę Jarzęckiej. Możliwe, że będę musiał wpaść na dzień, dwa do Zakopanego.

- Może chcesz, żebym pojechał z tobą?

- Nie, nie. Zostaniesz na razie w Warszawie. Trzeba nawiązać kontakt z otoczeniem Jarzęckich, trzeba wejść w ich środowisko. Zajmij się tym. Inaczej nie rozpracujemy tej sprawy.

Downar milczał. Siedział zamyślony i bawił się kawałkiem papieru. Ukręciwszy małą kulkę wrzucił ją celnie do kosza i powiedział:

- Czy nie widzisz jakiejś sprawy, którą by można ewentualnie skojarzyć z zabójstwem Jarzęckiej?

- Nie wiem - odparł wymijająco Walczak. - Ni nie wiem. Pamiętasz morderstwo Chruściaka?

- Oczywiście. Czy sądzisz, że to ma jakiś związek Walczak przymrużył filuternie lewe oko.

- Nigdy nic nie wiadomo - i powtórzył po chwili: - Nigdy nic nie wiadomo.

- Udajesz tajemniczego - mruknął Downar.

- Nie gniewaj się, stary, ale wiesz, że ja nie lubi mówić, jeżeli nie mam nic konkretnego do powiedzenia. A to, co mi chodzi po głowie, nie ma jeszcze większego sensu. Po prostu fantazuję. Idź się tera trochę przespać, a około drugiej wpadnij jeszcze do mnie. Będę przesłuchiwał gosposię Jarzęckich. Chcę żebyś był przy tym.

- Dobrze - zgodził się Downar. - Przyjdę. Na razie cześć.

Po wyjściu przyjaciela Walczak podniósł słuchawkę i nakręcił numer.

- Halo, mówi Walczak. Przyślijcie do mnie zara tego sierżanta z drogowej. Tak, tak, jestem u siebie.

Tymczasem Downar wyszedł z komendy i wskoczył do czwórki - Przez okna tramwaju patrzył na trudne, zabłocone miasto. Nie mógł się uwolnić od ponurych myśli. Był zły i niezadowolony z siebie. Uczucie zniechęcenia nie opuszczało go ani na chwilę. Miał zamiar pójść na Koszykową, ale zaraz zrezygnował z tego. Nie chciał zostać sam. Postanowił zobaczyć się z Magdaleną. Ostatnio bardzo ją zaniedbywał. Wiedział, że czeka na jakiś znak od niego. Wysiadł przy Pięknej i brnąc w gęstym błocie przedostał się z trudem na drugą stronę placu Konstytucji. Zatrzymał się chwilę przed wystawą sklepu sportowego i z melancholijnym uśmiechem przyglądał się nartom. „Mogłem sobie teraz spokojnie siedzieć w Zakopanem - pomyślał z żalem. - Mogłem... A, psiarew”. Przypomniała mu się Hanka i ich ostatnia rozmowa w hotelu. Szkoda. Wspaniała dziewczyna. Tak się to wszystko interesująco zapowiadało. Był pewien, że gdyby został w Zakopanem... Prawdziwy pech.

Na rogu Noakowskiego spotkał Stodolaka.

- Jak się masz, Stefan! Cóż to, wróciłeś już z urlopu?

Downar skrzywił się.

- Lipa nie urlop. Walczak ściągnął mnie po paru dniach. A przez te parę dni harowałem w Zakopanem jak koń.

- Jakaś nowa sprawa?

- Coś w tym rodzaju.

Sierżant przyjrzał mu się uważnie.

- Wiesz, że ty coś nieszczególnie wyglądasz. Idzi lekarza.

- Nic mi nie jest. Trochę jestem tylko zmęczony. Muszę się wyspać.

- Wpadnij do mnie, do pałacu Mostowskich. Pogadamy.

- Dobrze. Cześć.

Magdaleny nie było w pokoju. Mizerny młodzieniec który wyglądał tak, jakby się odżywił wyłącznie niedojrzałymi cytrynami, oznajmił, że koleżanka Kujawska zapewne niedługo wróci.

Downar usiadł na podejrzenie chwiejącym się krześle i sennym wzrokiem wodził po nagich, brudnych ścianach. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że pracownicy radia tak mało dbają o estetykę swego miejsca pracy.

Po dziesięciu minutach przyszła Magdalena. Miała ciemne, wesołe oczy, krótko ostrzyżone włosy i pełne, pąsowe usta. Ucieszyła się bardzo. Widać było że chętnie wyściskałaby Stefana, gdyby nie obecność skwaszonego kolegi.

- Czy nie mogłabyś wyskoczyć ze mną na kawę - spytał Downar.

- Wiesz, że nie bardzo. Za pół godziny mam nagranie.

- Szkoda. Chciałem z tobą pogadać.

Wyszli na korytarz. Magdalena pośpiesznie pocałowała go w usta.

- Jesteś niedobry. Tak długo czekałam na twój telefon. Co się z tobą działo?

Ujął jej rękę.

- Nie gniewaj się, ale mam teraz tyle roboty, że tracę rachubę czasu. Jestem przemęczony. Chciałem wziąć dwa tygodnie urlopu i nie udało się... - wołał nie mówić o tym, że wyjeżdżał do Zakopanego. Powinien był ją przecież zawiadomić.

Magdalena stanęła blisko niego i poczęła mu strzepywać nie istniejący pył z klap marynarki.

- Zapominasz o mnie, Stef. Już cię nie obchodzę.

- Ależ to nie to - zaprzeczył bez większego przekonania. - Tłumaczę ci przecież, że jestem zaorany. Wpadnę dzisiaj do ciebie wieczorem. Chcesz?

- Dzisiaj raczej nie. Przyjechała moja matka. Zadzwoń do mnie jutro, to się umówimy.

W drzwiach ukazała się głowa zmizerowanego młodzieńca.

- Panno Leno, dzwoniła Olga. Szef prosi panią do siebie.

- Zaraz idę. Do widzenia, Stefan. Odezwij się. Czekam.

Downar wolno schodził po schodach. W bramie przystanął, jakby pragnął się skupić. Olga... Olga... Gdzie on słyszał niedawno to imię? Gdzie i od kogo? Ależ tak! Nie ma wątpliwości. To przecież Jarzęcka mówiła mu wtedy, że prosiła swoją przyjaciółkę Olę, żeby u niej zanocowała, a ta przyjaciółka była chora na grypę. Tak, tak, oczywiście. Trzeba by się koniecznie skontaktować z tą jakąś Olgą. Ale jak?... Nic prostszego. Przecież Karol wezwał dzisiaj gospozię Jarzęckich na przesłuchanie. Ona na pewno zna wszystkich przyjaciół swoich chlebodawców. Od niej będzie się można wielu rzeczy dowiedzieć.

Dochodziła pierwsza. Za mało było czasu, żeby pójść do domu. Downar poczuł, że jest głodny. Stanął na rogu Pięknej i Marszałkowskiej i począł się zastanawiać, gdzie coś zjeść. Wybrał restaurację koło kwaciarni. Usiadł przy stoliku i czekał cierpliwie. Mimo że na sali było o tej porze pusto, nikt się nie kwapił, aby go obsłużyć. Wreszcie, po parokrotnych nawoływaniach zjawił się kelner z miną tak niezadowoloną, jakby zwracanie się do niego w sprawie posiłku było największym nietaktem.

- No, co się pan tak denerwuje? Przecież jestem. Co pan zamawia?

- Kotlet schabowy.

Obrażony mężczyzna zniknął i przez dłuższą chwilę nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar powrócić. Zjawił się jednak i niechętnie postawił na stoliku zamówione danie. Mięso było zimne i wydzielalo przykrą woń. Najwidoczniej kucharz postanowił upłynnić dawne remanenty.

Downar sklął kelnera i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Stracił ochotę do jedzenia, a zresztą było już za późno, żeby szukać innej restauracji i znowu wyczekiwać, aż coś podadzą.

- Niech ich diabli wezmą - mruknął zjem w stołówce.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do nadjeżdżającego właśnie „pośpiesznego”. W komendzie Walczak pracował niestrudzenie, wertując coraz to nowe stopy akt. Ujrawszy Downara ucieszył się.

- Dobrze, że jesteś. Siadaj.

- Czy przyszła już ta gospodyni Jarzęckich?

- Tak. Czeka. Zaraz z nią pogadamy, ale najprzód chciałem cię o coś zapytać, bo potem mogę zapomnieć.

- Słucham.

- Byłeś razem z Borowiczem w „Jutrzence”, tak?

- Tak. Przecież ci mówiłem.

- I widziałeś pokój, w którym mieszkał Jarzęcki z tą kobietą?

- Oczywiście.

- I nic nie znalazłeś? Żadnego śladu?

- Tylko te ślady przy parapecie, które by mogły ewentualnie świadczyć o tym, że ktoś wychodził przez okno. No i konopne nitki przy kaloryferze.

Walczak zanurzył palce w rozwichrzonej czuprynie i zaczął się drapać w głowę.

- Tak, tak, wiem. To już słyszałem. Ale chodzi mi o to, czy nie znalazłeś jakiegoś przedmiotu, choćby najmniejszego, który mógłby nam dopomóc w zidentyfikowaniu...

Owszem, znalazłem - przypomniał sobie Downar.

- Co to takiego? Dawaj!

Downar sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela kawałek bibułki, który ostrożnie rozwinął i położył na biurku.

Walczak wziął szkło powiększające i przyglądał się przez chwilę bardzo uważnie maleńkiej, białej plamce.

- Jakiś odprysk - powiedział zniżając głos. - Co to może być? Z boku małe karbki. Diabli wiedza Wygląda jak... jak... A może to kawałek broszki? Może te karby to jest część jakiegoś rysunku?

- Pozwól mi się przyjrzeć - Downar odebrał szkło od przyjaciela i pochylił się nad biurkiem. - Wiesz, co ja myślę?

- Co?

- Że to jest odprysk od kamei.

- No dobrze... Ale dlaczego ta baba wylazła przez okno miała sobie zniszczyć broszkę.

- Bywają i pierścionki z małymi kameami.

Walczak przytaknął z zapalem.

- Masz rację, masz zupełną rację. Pierścionek z kameą. To bardzo prawdopodobne.

Wychodząc przez okno zaczepiła o coś i...

- Właśnie. Tak to sobie wyobrażam.

Walczak klepnął Downara po plecach.

- Wiesz, Stefek, że z ciebie jeszcze będą ludzie.

- No dobra, dobra, ale co nam właściwie przyjdzie z tej kamei? Trudno jeździć po całej Polsce i szukać babki z uszkodzonym pierścionkiem na palcu. Nie przypuszczasz chyba, żebyśmy ją mogli znaleźć?

- Nigdy nic nie wiadomo - uśmiechnął się Walczak. - Nie takie cuda już widzieliśmy. A teraz porozmawiamy sobie z pomocą domową państwa Jarzęckich.

Usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę.

- Dajcie tę gospodynię.

Weszła starsza, szczupła kobieta. Kruczoczarnej gładko zaczesane włosy dziwnie kontrastowały ze zniszczoną, pomarszczoną twarzą. Była wysoka i stąpała sztywno jak na paradzie wojskowej. Zamaszysty, energiczny krok potęgował jeszcze to wrażenie.

- Dzień dobry..

- Dzień dobry. Proszę, niech pani siada. Downar osłupiał. Ze zdumieniem spoglądał to na Walczaka, to na chudą markietankę. Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, chwycił kartkę papieru, skreślił na niej parę słów i podał przyjacielowi.

Walczak przeczytał, zmarszczył brwi i wsunął kartkę pod bibułę. Nie patrząc na Downara zwrócił się do gospośi Jarzęckich:

- Nazwisko pani?

- Sojecka.

- Imię?

- Karolina.

- Dawno pani pracuje u państwa Jarzęckich?

- Przeszło dwa lata.

- Czy pani ma przy sobie jakieś dokumenty?

Z dużej, czarnej torby wyjęła dowód osobisty i książeczkę ubezpieczalni. Z jej twarzy nie można było wyczytać żadnego wzruszenia.

Walczak sprawdził zameldowanie i uważnie przejrzał książeczkę ubezpieczalni.

- W porządku. Dziękuję. Proszę mi powiedzieć, którego państwo Jarzęccy wyjechali do Zakopanego?

- Dwudziestego wieczorem. To był, zdaje się, czwartek.

- Ma pani doskonałą pamięć do dat - zauważył mimochodem Walczak.

Sojecka nie robiła wrażenia zaskoczonej.

- To były akurat imieniny mojego brata Leona, Urządzał przyjęcie. Prosił, żebym przyszła, ale niej mogłam, bo państwo wyjeżdżali. Musiałam wszystko przygotować.

- Którym pociągiem pojechali państwo Jarzęccy?

- Coś koło dziesiątej wieczorem. Dokładnie nie pamiętam.

- Pani chodziła po taksówkę?

- Tak. Pan inżynier chciał zawołać taksówkę telefonicznie, ale to zawracanie głowy z tymi telefonami. - Musiałam sama pójść.

- Czy nie pamięta pani przypadkiem, jakiego koloru była taksówka, którą pani sprowadziła?

- Kolor chyba czerwony, to znaczy coś w rodzaju wiśniowego.

- A co pani robiła po wyjeździe państwa Jarzęckich?

- Ano nic. Poszłam spać. Byłam zmęczona.

- A na drugi dzień?

- Pojechałam na Grochów do mojej siostry. Siostra była chora. Chciałam jej trochę pomóc w gospodarstwie. Pani inżynierowa mi pozwoliła - dodała pośpiesznie.

- Gdzie mieszka pani siostra?

- Grochowska osiemdziesiąt cztery.

- A klucze od mieszkania państwa Jarzęckich miała pani cały czas ze sobą?

- Oczywiście. W tej torbie.

- Kiedy pani wróciła z Grochowa?

- W niedzielę po południu. Siostra już się lepiej czuła.

- Czy po powrocie do mieszkania państwa Jarzęckich nie zauważyła pani nic niezwykłego, nic takiego, co by panią zdziwiło?

- Owszem. Zdziwiła mnie kałuża w kuchni.

- Nie rozumiem. Jaka kałuża?

Sojecka uśmiechnęła się niewyraźnie.

- No taka kałuża, jakby... jakby ktoś tego... Pan komisarz rozumie? No jakby na przykład pies narobił nieporządku.

- A państwo Jarzęccy nie mieli psa?

- Nie. Nawet im nieraz mówiłam, że przy takiej willi zdałby się pies. Jest ogródek. Mógłby sobie pobiegać. A zawsze z psem raźniej.

Walczak w zamyśleniu stuknął ołówkiem o blat biurka.

- Może mi pani jeszcze powie, czy siostra pani jest mężatką.

- Ma się rozumieć.

- A szwagier żyje?

- Żyje. Dlaczego miałby nie żyć? Chłop zdrów jak tur!

- Czym się zajmuje?

- Jest szoferem.

- Gdzie pracuje?

- Pracował w dyrekcji kolei. A teraz jeździ na taksówce. Lepiej mu się opłaca.

- Jeździ na państwowej taksówce?

- Nie. Ma własną. Kupił sobie w zeszłym roku.

- To się nieźle dorobili na tej kolejowej posiadzie.
- Ja tam nie wiem. Nie moja sprawa. Miał pewnie jakieś oszczędności.
- Tak, tak - pokiwał głową Walczak. - Oszczędności to dobra rzecz. A jak się nazywa pani szwagier?
- Wojtasiak Michał.
- Więc na drugi dzień po wyjeździe państwa Jareckich pojechała pani do siostry?
- Tak.
- Czy odwiedzał ktoś siostrę? Byli jacyś goście?
- Nie było żadnych gości. Siostra leżała w łóżku. Przyszedł tylko na obiad kolega szwagra.
- Którego dnia?
- Ano tego, co pojechałam na Grochów, to znaczy w piątek. Kupiłam filetów z dorsza, wymoczyłam w mleku. Bo trzeba panu komisarzowi wiedzieć, że nie każda gospodyni moczy w mleku. Tylko taka, co się zna na kuchni. Jak się dobrze dorsza wymoczy w mleku, to on traci ten swój zapaszek. A potem...
- No dobrze, dobrze - przerwał Walczak. - Niech pani mówi o tym obiedzie.
- No przecież mówię. Przyszedł kolega szwagra, przyniósł ćwiartkę, ja usmażyłam filety...
- Jak się nazywa ten kolega szwagra?
- Nie wiem. Szwagier mówił do niego Tadek, ale jak ma na nazwisko, tego nie wiem. Walczak zapalił papierosa i przez chwilę w milczeniu przyglądał się gospodyni Jarzęckich.
- Pani już się wyprowadziła, prawda?
- Ano kazali mi się wyprowadzić. Mieszkanie opieczętowała milicja. Mieszkam na razie u brata na żelaznej. Staram się o pracę. Ale teraz trudno coś odpowiedniego znaleźć. Po tych redukcjach to starsze urzędniczki poszły na gospodynie. Ale z takiej, co za biurkiem siedziała, to gospodyni nie będzie. Szkoda gadać. Biedna pani inżynierowa nie żyje. Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie. Może jak pan inżynier wróci, to mnie znów do siebie weźmie. Będzie przecież kogoś potrzebował do prowadzenia domu.
- Możliwe, możliwe - mruknął Walczak. - No, na razie to chyba wszystko. Niech to sobie pani uważnie przeczyta i podpisze - podsunął jej zapisaną kartkę papieru i pióro. Sojeczka dłuższą chwilę odcyfrowywała protokół, wreszcie umaczała pióro i z namaszczeniem złożyła swój podpis.
- Wszystko się zgadza, panie komisarzu. Tak jak faktycznie było. To ja mogę już iść?
- Tak. Jest pani wolna. Dziękuję.
- Chwileczkę - wtrącił się Downar. - Chciałbym panią o coś zapytać.
Zwróciła ku niemu zdziwione spojrzenie, jak gdyby dotychczas nie uświadamiała sobie jego obecności.
- Słucham pana.
- Pani Jarzęcka miała przyjaciółkę imieniem Olga, prawda?
- Mówi pan o pani Oldze Zdanieckiej?
- A o innej Oldze w domu państwa Jarzęckich pani nie słyszała?
- Nie, nie słyszałam.
- Czy pani nie wie, czym zajmuje się pani Zdaniecka?
- Oczywiście. Przecież to jest sławna artystka, malarka.
- Tak, tak - powiedział Downar, pragnąc jako zatuszować swoją nieznamość świata artystycznego. - Słyszałem to nazwisko, nie wiedziałem tylko, że to chodzi o tę samą osobę. A gdzie mieszka pani Zdaniecka?
- Gdzieś na Starówce. Dokładnego adresu nie potrafię panu powiedzieć.
Walczak spojrział na zegarek.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie, na razie dziękuję.

Karolina Sojecka wstała.

- To ja już mogę iść?

- Tak. Do widzenia pani. W razie potrzeby wezwiemy jeszcze panią na rozmowę.

- Proszę bardzo. Ja nic nie mam do ukrycia, panie komisarzu.

Gdy drzwi się za gospodynią Jarzęckich zamknęły Walczak spojrział na przyjaciela.

- Więc twierdzisz, że nie z tą babą wtedy rozmawiałeś?

Downar zerwał się podniecony.

- Ależ to zupełnie kto inny! Tamta była średniego wzrostu, gruba, z wyłupiastymi oczami. Nawet niepodobna. Powiadam ci, że w pierwszej chwili zdębiałem jak ta gidia weszła. Myślałem, że mi się w oczach troi. Co to się dzieje, do wszystkich diabłów?

Walczak wyduł wargi i zaczął cicho pogwizdywać jakiegoś starego fokstrota.

- Jeżeli przyjmujemy, że ty wtedy byłeś zupełnie przytomny, to znaczy, że tamta baba podszyła się pod gosposię Jarzęckich. Bo co do tej, to nie ma wątpliwości.

- Chcesz ze mnie zrobić wariata?! - zachnął się Downar.

- Wariata nie wariata, ale przyznasz, że to wszystko nie jest jasne. Muszę ci wierzyć na słowo.

Downar podszedł do niego i spytał groźnie:

- Czy ci to nie wystarcza? - widać było, że jest wyprowadzony z równowagi.

Walczak zdawał się nie spostrzegać tego, że awantura wisi na włosku.

- Słuchaj, Stefek, ty masz prawo jazdy, prawda?

- Oczywiście.

- I nosisz je przy sobie?

Downar spojrział na niego zdziwiony.

- O co ci chodzi? Nie rozumiem - sięgnął do kieszeni i wyjął prawo jazdy. - Zawsze je mam przy sobie. Co się stało?

- Nie, nie, nic się nie stało - uspokoił go Walczak. - W porządku. Muszę teraz wpaść na chwilę do majora. Za godzinę mam pociąg. Cześć na razie. Trzymaj się, stary! Pokręć się po terenie, a jak wrócę z Krakowa, to pogadamy o wszystkim obszernie.

Uścisnęli sobie dłonie i Walczak pośpiesznie wyszedł z pokoju. Po drodze wstąpił do Kobieli. Porucznik był zajęty pisaniem jakiegoś raportu.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam.

- Słucham, towarzyszu kapitanie.

- Ja dzisiaj jadę do Krakowa. Wracam za parę dni. Przez ten czas trzeba załatwić następujące sprawy i chciałbym, żebyście się tym zajęli.

- Słucham.

- Notujcie.

Przez parę minut Walczak dyktował, a Kobiela wszystko skrzętnie zapisywał.

- Mogę na was liczyć?

- Oczywiście, towarzyszu kapitanie. Wszystko będzie załatwione. Możecie być zupełnie spokojni. Szczęśliwej drogi.

Major Leśniewski był przeciwieństwem wesołego kapitana. Wysoki, szczupły, o suchej, ascetycznej twarzy, miał usposobienie raczej ponure. Nie lubił dużo mówić i najchętniej posługiwał się skrótami myślowymi. Trzeba było być bystrym człowiekiem żeby podążyć za tokiem jego rozumowania. Walczak bardzo cenił swego zwierzchnika za logiczny umysł i zdolność dokładnego precyzowania każdej sprawy, nie potrafił się z nim jednak bliżej zaprzyjaźnić. Być może wynikało to z tego, że Leśniewski nie miał poczucia humoru.

Major wskazał Walczakowi krzesło i od razu przystąpił do rzeczy.

- Dzisiaj jedziecie do Krakowa. Weźmiecie cały materiał od Borowicza. Zobaczycie się z prokuratorem Kaczorowskim. Sądzę, że dobrze będzie, jeśli osobiście wpadniecie do Zakopanego. Sprawa jest poważna i ma niewątpliwie szerokie powiązania. Nie wolno nam niczego zaniedbać. Czy przesłuchaliście gospodynię Jarzęckich?

- Tak. Przed chwilą.

- No i...

- Downar twierdzi, że wtedy wieczorem rozmawiał z zupełnie inną kobietą, która podała się za gospodynię Jarzęckich.

Leśniewski nie okazał zdziwienia.

- Tak, to wszystko bardzo, ale to bardzo dziwnie wygląda. Rozmawiałem dzisiaj z sierżantem Stodolakiem z komendy wojewódzkiej.

Walczak spojrział na niego niespokojnie.

- Towarzyszu majorze, ja doprawdy nie mogę w to uwierzyć, żeby...

- Zobaczmy. Kto z wami będzie współpracował?

- Kobiela. Zleciłem mu już szereg spraw. Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby on...

- Nie, nie, w porządku. Właśnie miałem zamiar wam go przydzielić. No, to na razie cześć. Jedźcie i wracajcie jak najprędzej.

Walczak wyszedł przygnębiony. Schodząc ze schodów przeżuwał niewesołe myśli. Milicjant stojący przy drzwiach wejściowych spojrział na niego zdziwiony. Jeszcze nigdy nie widział kapitana w tak fatalnym humorze.

IV. Chercher la femme

Downar zjadł obiad w stołówce. Zapalił papierosa; i spojrział na zegarek. Dochodziła czwarta. Zamyślił się. Nie wiedział, jak ma właściwie wyglądać jego działalność w najbliższej przyszłości. Walczak niewątpliwie ściągnął go z urlopu w tym celu, żeby goił włączyć do śledztwa w sprawie Jarzęckiej, ale nie zdążyli nic konkretnego między sobą uzgodnić. Niej chciał działać na własną rękę. Nie wiedział, z którymi kolegami będzie współpracował i kto ma jakie zadania do spełnienia. Nie mógł przecież dublować działalności innych. Trzeba było zorientować się w sytuacji.; Postanowił pomówić z majorem.

Zameldował się w sekretariacie i usiadłszy koło maszyny do pisania czekał cierpliwie. Po piętnastu; minutach uśmiechnięta pogodnie Zosia zawiadomiła go, że major prosi.

Leśniewski kończył właśnie lekturę jakiegoś obszernego raportu. Napisał coś ołówkiem na marginesie, wsunął papiery do szuflady i spojrział na Downara. I Szare oczy były zimne i bez wyrazu.

- Chcieliście się ze mną widzieć?

- Tak.

- Słucham?

Downar odchrząknął. Oschły sposób bycia majora zawsze go trochę onieśmielał.

- Kapitan Walczak ściągnął mnie z urlopu, żebym mu pomógł w śledztwie w sprawie Jarzęckiej. Dzisiaj przyjechałem z Zakopanego, ale nie zdążyliśmy obgadać, co i jak. Walczak wyjechał do Krakowa i nie zostawił mi właściwie żadnych instrukcji. Chcę się zabrać do roboty. Szkoda czasu, towarzyszu majorze.

Leśniewski wyjął papierosnicę i nie częstując Downara zapalił.

- Na razie nie widzę, w czym byście tutaj mogli być pomocni. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zaczekamy na powrót towarzysza Walczaka. Wtedy pomówimy.

- Ależ, towarzyszu majorze! - zawołał zdziwiony Downar. - Roboty jest do licha i trochę. Nie ma co czekać na Walczaka. Trzeba dokładnie zrewidować willę Jarzęckich, trzeba jeszcze raz przesłuchać tę gospodynię i dojść do tego, kto się pod nią podszywał tamtego wieczora i skąd miał klucze od mieszkania. Trzeba odnaleźć przyjaciółkę Jarzęckiej, niejaką

Olę Zdaniecką. Wreszcie trzeba pojechać na Grochów i pogadać z siostrą gospośi Jarzęckich i z jej mężem. Ręczę, że przy tym wylezie ze sto innych spraw do załatwienia.

- Tak, tak - pokiwał głową Leśniewski. - Tym wszystkim zajmie się na razie porucznik Kobiela.

Downar spojrział zdumiony.

- Kobiela? Dlaczego Kobiela? Dlaczego nie ja? - Przecież po to wróciłem z Zakopanego. Nic nie rozumiem, towarzyszu majorze.

- Powiedziałem wam, że musimy poczekać na powrót towarzysza Walczaka. Chciałbym, żebyście na razie nie podejmowali żadnej akcji.

- To może mogę jechać na urlop?

- Nie. Zostaniecie w Warszawie. Musicie być w każdej chwili do dyspozycji.

Leśniewski zgasił papierosa i wstał, dając tym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

Downar skłonił się i wyszedł. Był wściekły. Nie mógł pojąć, co się nagle stało majorowi, dlaczego postanowił odsunąć go od śledztwa. Przecież to chyba było najbardziej logiczne, żeby on razem z Walczakiem zajął się tą sprawą. Ostatecznie wszystko się zaczęło od jego dziwnej wizyty u inżynierowej Jarzęckiej. Był najbliżej tej niesamowitej historii, prowadził już dochodzenie z Borowiczem. Dlaczego więc major go spławia? Węszył w tym jakieś personalne rozgrywki. Na pewno ktoś w komendzie kopie pod nim dołki. Zazdroszcza mu kariery. No tak, normalna rzecz, przecież ostatnio wysunął się na czoło oficerów śledczych. Mówiono o jego awansie. Najwyraźniej ktoś musiał mii się przysłużyć u majora. Czyżby Kobiela? Zawsze robił wrażenie porządnego i lojalnego kolegi... Ale diabli go wiedzą... Czy to można komu wierzyć? Ale niech im się, nie zdaje, że go tak łatwo wykiwają! Niech no tylko; Karol wróci! Zresztą wcale nie będzie czekał na Karola. Przez te parę dni na własną rękę zbierze całą kupę materiału. A potem major może mieć do niego pretensje. Przecież ten cymbał Kobiela nie da sobie rady. To jest trudna i bardzo skomplikowana sprawa. Trzeba ją ostrożnie, delikatnie rozwiązywać. Kobiela nadaje się do prowadzenia śledztwa w sprawie włamania do sklepu MHD, ale nie do takiej roboty.

Pogrążony w niewesołych rozmyślaniach Downar szerokimi krokami szedł Puławską, nie zważając na mroźny, północny wiatr, który mocnymi podmuchami uderzał go w twarz. Nie chciało mu się pchać do przepelnionych o tej porze tramwajów, a zresztą uważał, że ruch na świeżym powietrzu dobrze mu zrobi. I rzeczywiście, już po kilku minutach otrząsnął się trochę z przykrego wrażenia, jakie na nim wywarła rozmowa z majorem. Na rogu Odyńca zatrzymał się i począł się zastanawiać. Postanowił jednak odnaleźć Olę Zdaniecką. Przeczynał, że od niej może się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Skręcił w lewo i poszedł do przystanku trolejbusowego. Gdy wsiadł w „55”, posłyszał swoje imię.

- Dzień dobry, panie Stefanie. Odwrócił się zdziwiony.

- A pani co tu robi? Dzień dobry.

- Mam zamiar pojechać trolejbusem, tak jak pan - niebieskie szelmowskie oczy patrzyły na niego z uśmiechem.

- Już pani wróciła z Zakopanego? Tak prędko? Machnęła ręką niechętnie.

- Przewidywałam, że tak będzie. Moja ciotka zrobiła się ostatnio niemożliwa. Z miejsca żeśmy - się pokłóciły. No więc, co miałam robić? Spakowałam manele i wróciłam do kochanej Warszawki.

- Nie bardzo żeśmy użyli zimowych sportów - uśmiechnął się Downar.

- A, nie ma czego żałować. Powetujemy sobie innym razem. Zresztą ze śniegiem kiepsko.

Czy pani tu gdzieś mieszka niedaleko?

- Tak. Na Ursynowskiej.

- Cieszę się, że się pani pokłóciła z ciotką i że panią spotkałem - powiedział szczerze.

Roześmiała się.

- Czy to ładnie cieszyć się z rodzinnych niesnasek? Gdzie pan teraz jedzie?
- Wsiadam przy placu Konstytucji. A pani?
- Muszę się przesiąść na „51” albo „53”. Jadę do „Bristolu”. Mam wywiad z jednym ważnym zagranicznikiem.
- To dlaczego pani od razu nie wsiadła przy Odyńca w „56”?
- Zobaczyłam pana i dlatego...
- Jestem głęboko wzruszony takim poświęceniem. Zmrużyła oczy.
- Niech pan sobie za wiele po tym nie obiecuje. To jest największe poświęcenie, na jakie mnie stać.
- Mam wrażenie, że się pani nie docenia. Zresztą nigdy nie wiadomo, do jakich poświęceń jesteśmy zdolni.
- Zmieńmy temat. Poświęcenia do niczego dobrego nie prowadzą.
- Tak pani sądzi?
- Jestem tego pewna. Poza tym mam wrażenie, że pan powinien wysiąść na następnym przystanku.

Downar wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Mam nadzieję, że się niedługo zobaczymy.
- Sądzę, że tak. Może w którymś autobusie. Proponuję „125”.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Pani żartuje, a ja naprawdę bardzo bym chciał... Umówmy się najlepiej od razu.
- Chętnie.
- No więc kiedy?
- A co pan robi dziś wieczorem?
- Nie mam żadnych planów.
- To może o ósmej w „Nowym Świecie”, dobrze?
- Znakomicie.
- Niech pan teraz prędko wysiada, bo za daleko pan zajędzie.

Wyskoczył w biegu. Milicjant stojący koło szklanej budki pogroził mu palcem.

Na drugim piętrze, nad domem odzieżowym, mieściła się domena plastików. Na prawo niedawni socrealiści, przekształceni obecnie w postimpresjonistów i futurystów popijali melancholijnie kawę, na lewo zaś mistrzowie pędzla wystawiali płody swego ducha, podziwiane przez nielicznych entuzjastów nowoczesnej sztuki. Tutaj to Downar miał nadzieję otrzymać dokładny adres Olgi Zdanieckiej.

Okazało się, że przeczucie go nie omyliło. Uprzejma starsza pani z miłym uśmiechem podała mu miejsce zamieszkania sławnej malarki.

Downar podziękował i rezygnując z wypicia filiżanki kawy w twórczej atmosferze, pośpiesznie zbiegł na dół. Idąc podcieniami popatrzył z pewnym niepokojem na siedzące w górze gołębie. Miał na sobie nową jesionkę i w pełni zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa.

W pewnym momencie poczuł, że ktoś go obserwuj - Odwrócił się i napotkał uważne spojrzenie ciemnych oczu. Młody mężczyzna w jasnopopielatym płaszczu i brązowym, miękkim kapeluszu szedł za nim. Downarowi wydało się, że widział tego człowieka w trolejbusie, ale nie był pewien.

Skręcił w lewo, doszedł do rogu Kruczej i wsiadł w „54”. Przepychając się przez natłoczony trolejbus myślał o spotkaniu z Hanką. Podobała mu się ta dziewczyna, podobała mu się tak, jak chyba żadną inną dotychczas. Kiedy dotykał jej ręki, czuł jak gdyby iskra elektryczna przebiegała mu po całym ciele. W jej obecności zapominał o służbie, o śledztwie, o wszystkich kłopotach. Miała w sobie tyle radości życia, tyle młodzieńczej werwy! Myślał o

jej pełnych, czerwonych ustach i kpiarsko zmrużonych oczach. Cieszył się na to dzisiejsze spotkanie w „Nowym Świecie”.

Romantyczne rozmyślania skracają czas. Downar spostrzegł ze zdumieniem, że trolejbus zaczyna się wyludniać. Końcowy przystanek był przy Miodowej. Minął kościół Bernardynów i spojrzął na kolumnę Zygmunta. Wchodząc w Świętojańską spostrzegł, że ten sam młody człowiek w popielatej jesionce spieszenie wbiegł do jakiejś bramy. Teraz już nie miał wątpliwości. Ktoś go śledził. To go zastanowiło. Komu mogło zależeć na tym, żeby go mieć na oku? Z czyjego polecenia ten chłopak włóczy się za nim po mieście? Czy to miało jakiś związek ze sprawą Jarzęckiej? pachnął ręką. Nie warto się było teraz nad tym zastanawiać. Mógł to być zresztą zwykły zbieg okoliczności.

Pracownię Olgi Zdanieckiej odnalazł bez trudu.

Malarka siedziała przy sztalugach i w blasku jarzeniowego światła wykańczała właśnie swój najnowszy obraz, który miał tę zaletę, że można go było powiesić na ścianie w każdej pozycji bez szkody dla plastycznej wartości dzieła. Downar rzucił okiem na płótno i począł się zastanawiać nad tym, czy te wielobarwne, asymetrycznie Rozrzucone plamy mają wyobrażać pocałunek o zmroku, czy też polowanie na renifery. Stał w milczeniu, nie chcąc jakimś nieopatrznym słowem przerwać twórczego natchnienia.

Pracowała z zapalem jeszcze przez kilka minut. Wreszcie odłożyła pędzel i z zaciekawieniem spojrzała na Downara, tak jakby teraz właśnie uświadomiła sobie jego obecność.

- Czy pan do mnie? Ukłonił się.

- Jeżeli mam przyjemność mówić z panią Olgą Zdaniecką, to tak.

Wstała i podała mu rękę.

- Nazywam się Zdaniecką.

Miała na sobie szary kitel malowniczo zachlapaný farbami oraz ogromne, czerwone klipsy w uszach. Drobne, delikatne rysy twarzy robiły wrażenie alabastrowej rzeźby czy kamei. Fala gęstych, miedzianych włosów otaczała głowę.

Pod wpływem natarczywego spojrzenia zielonych: oczu Downar poczuł się trochę nieswojo.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam w pracy - powiedział.

- Nic nie szkodzi. Właśnie skończyłam. Proszę niech pan siada. Może na tym taborecie, bo krzesła mi wczoraj połamali.

Nie odważył się zapytać, kto połamał krzesła, i przy sunął sobie taboret. „Dlaczego mnie nie pyta, po co przyszedłem?” - myślał zdenerwowany. Sytuacją wytworzyła się trochę dziwna. Siedzieli naprzeciwko siebie i przyglądali się sobie w milczeniu. Zdaniecka nie zdradzała najmniejszej ochoty do rozmowy. Wreszcie Downar powiedział:

- Przyszedłem do pani z polecenia pani Jarzęckiej.

- Krystyny Jarzęckiej?

- Tak. Widzi pani, jest taka sprawa, że moja siostrzenica ma duże zdolności do malarstwa i dlatego Chciałem, żeby się ktoś nią zainteresował. Kiedyś; w towarzystwie zgadało się i pani Jarzęcką...

Nie poruszyła się. Żaden mięsień nie drgnął w jej twarzy. Wydało mu się tylko, jak gdyby się trochę przygarbiła. Unikała teraz jego wzroku. Patrzyła] w bok, w kierunku drzwi.

- To pan nie wie, że Krystyna nie żyje? - spytała cicho.

Zrobił zdziwioną minę.

- Nie żyje?! Co pani mówi? Taka miła osoba. Kiedy to się stało? Chyba coś nagłego? Serce?

Musiała jakaś nieszczera nuta zadźwięczeć w jego głosie, bo nagle spojrzała mu prosto w oczy i zerwała się gwałtownie ze swego miejsca.

- To wszystko kłamstwo! Pan kłamie! Pan bezczelnie kłamie! To nieprawda! Pan nie ma żadnej siostrzenicy! Pan doskonale wie, że Krystyna została zamordowana! O Boże! Boże! Czego pan chce ode mnie?! Dajcie mi spokój! Dajcie mi raz spokój - mówiła szybko, nerwowo, prawie krzyczała.

Downar zaskoczony tym wybuchem, patrzył na nią niepewnie. Nie bardzo wiedział, jak się ma zachować. Wstał i odruchowo sięgnął po papierosy, i - Niechże się pani uspokoi.

Była bardzo podniecona. Oczy jej pociemniały, oddychała z wysiłkiem. Przez chwilę milczała, starając się opanować. Wreszcie spytała:

- Pan jest z milicji?

- Tak.

- Więc po co ta cała głupia komedia?

Downar nie odpowiedział. Zapalił papierosa i zaczął wodzić spojrzeniem po ścianach, zawieszonych od góry do dołu dziwnymi malowidłami.

- Czy pani jest skłonna porozmawiać na temat zabójstwa inżynierowej Jarzęckiej?

- W każdym razie nie z panem.

- Pani Jarzęcka po raz ostatni w życiu rozmawiała o pani właśnie ze mną.

- Z panem? - była zdziwiona. Wyczuł, że może się uda jednak nawiązać rozmowę.

- Widziałem się z panią Jarzęcką tego wieczora, kiedy dzwoniła do pani i prosiła, żeby pani u niej zanocowała.

- Ach tak... Przypominam sobie. Byłam chora, miałam gorączkę. Nie mogłam do niej pojechać.

- Pani Jarzęcką była wtedy bardzo zdenerwowana.

Zdaniecka zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła nagle gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

- To przeze mnie, to przeze mnie Krystyna zginęła!

- Dlaczego przez panią? - spytał ostrożnie Downar, nadając swemu głosowi możliwie jak najdelikatniejsze brzmienie.

Podniosła na niego zapłakane oczy.

- Bo gdybym wtedy do niej pojechała... Ostatecznie nie byłam taka strasznie „chora. Nie mogę tego sobie darować. Kiedy pomyślę, że jej życie zależało od... Wie pan, nieraz budzę się w nocy i całymimi godzinami myślę o tym wszystkim. Wyobrażam sobie biedną Krystynę z kulą w piersi, - skrwawioną.

- A skąd pani wie, że pani Jarzęcką została zastrzelona? - spytał Downar i zaraz ugryzł się w język. Nie wolno mu było przecież dopuścić do tego, żeby ich rozmowa zmieniła się w przesłuchiwanie. Na to za wsze będzie czas.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Skąd wiem? Nie mam pojęcia. Ktoś mi musiał powiedzieć. Już nie pamiętam.

Downarowi dziesiątki pytań cisnęły się na wargi, ale opanował tę zawodową żylkę. Powiedział:

- Zupełnie niepotrzebnie robi sobie pani wyrzuty, przyjazd pani wtedy i tak nie uratowałby życia pani Jarzęckiej.

W oczach jej błysnęła nadzieja.

- Tak pan sądzi?

- Oczywiście. Ktoś postanowił zamordować panią Jarzęcką i czyby pani u niej wtedy zanocowała, czy też nie, to nie miałyby żadnego znaczenia. Najwyżej morderca obrałby sobie inny dzień do popełnienia zbrodni.

- Ale znaleziono jej trupa w Zakopanem? Jak to się stało? Przecież tego wieczora telefonowała do mnie z Warszawy, od siebie z domu.

- Nie umiem nic pani na ten temat powiedzieć. Śledztwo jest dopiero w toku.

Wzruszyła ramionami.

- Ach, śledztwo, śledztwo! Czyż nasza milicja potrafi w ogóle cokolwiek wykryć?
Przepraszam pana - dodała pośpiesznie, spostrzegłszy swój nietakt.

- Widzę, że pani nie ma najlepszego mniemania o naszej działalności - uśmiechnął się Downar.

- Przepraszam. Nie chciałam pana urazić.

- Nie czuję się urażony. Nade wszystko cenię szczerość.

Znowu zasiedli na niewygodnych stołkach i Downar poczęstował ją papierosem. Uważał za swój sukces już to, że dotychczas nie wyrzuciła go za drzwi. Na to się przecież zanosilo na początku rozmowy. W milczeniu przyglądał się malarce. W jej twarzy było w tej chwili coś niezmiernie bolesnego. Wyglądała jak madonna z obrazu jakiegoś wielkiego malarza.

- Czy pan naprawdę uważa, że śmierć Krystyny była rzeczą przesądzoną?

- Oczywiście. Nie wiem tylko, kto ją zabił i dlaczego.

- Nie zabija się bez poważnego powodu. Unikał jej wzroku. Bał się, żeby w jego oczach nie wyczytała czujnego wyczekiwania.

- Powód morderstwa bywa nieraz bardzo skomplikowany.

- Krystyna była kobietą skomplikowaną. Miała ciekawą psychikę.

- Pani jako jej przyjaciółka wie o tym najlepiej.

Zamyślona patrzyła w okno.

- Cóż my właściwie możemy wiedzieć o drugim człowieku. To nie takie proste.

- Podobno najtrudniej jest poznać samego siebie - powiedział z uśmiechem Downar.

Chciał jak najprędzej skończyć z filozoficznymi rozważaniami i przejść do konkretniej szych spraw.

Niespodziewanie chwyciła go za rękę i poczęła mu się badawczo przyglądać.

- Chwileczkę... Niech pan trochę odwróci głowę w prawo... O tak, doskonale... A teraz odrobinę podbródek do góry. Jeszcze troszeczkę... Tak, tak, bardzo dobrze. Niech no pan teraz tam stanie - zaciągnęła go pod ścianę i ustawiła na niewielkim podwyższeniu. Downar poddawał się bez oporu tym dziwnym praktykom. Był zupełnie oszołomiony.

Zdaniecka, podniecona, zawiesiła za nim barwny kilim, a następnie przysunęła sztalugi i pośpiesznie przy czepiła do nich duży karton.

Interesujące, bardzo interesujące - mówiła półgłosem, zabierając się do rysowania. - Na miłość boską, niech pan stoi spokojnie - dodała głośniejszym głosem, widząc, że model wykonał jakiś niepokojący ruch.

Przez dwadzieścia minut pracowała w skupieniu, przygryzała dolną wargę, mrużyła oczy, odchodziła parę kroków od sztalug i ze zmarszczonymi brwiami kontrolowała z odległości swą działalność. Wreszcie odłożyła węgiel. Chwilę stała przed sztalugami głęboko nad czymś rozmyślając. Odgarnęła spadające jej na czoło włosy i powiedziała:

- No, na dzisiaj dosyć. Nie chcę pana zanedo zmęczyć. Jeszcze mi pan ucieknie i nie wróci. Ma pan interesującą twarz. Nigdy nie przypuszczałam, że milicjanci mają takie interesujące twarze. Och, przepraszam pana. Zdaje mi się, że znowu popełniłam jakiś nietakt.

- Czy mogę zobaczyć moją podobiznę?,- Proszę.

Downar spojrział i zdrętwiał. „No, jeżeli ja tak wyglądam, to nie mam po co iść na randkę z Hanką” - pomyślał.

- Jak się panu podoba?

- Ja się nie znam na nowoczesnej sztuce - powiedział wymijająco.

Była podniecona nową koncepcją artystyczną. Policki jej się zaróżowiły, oczy nabrały blasku. Zdawać by się mogło, że już zupełnie zapomniała o tragicznej śmierci swej przyjaciółki.

- Bardzo bym chciała, żeby pan przychodził pozować mi. Muszę namalować pana portret. Coś jest takiego w pańskiej twarzy, co mnie pasjonuje. Czy ma pan telefon w domu?

- Nie mam - skłamał Downar. Nie chciał, żeby ta zwariowana baba zawracała mu głowę.

- To szkoda. Niech pan sobie w takim razie zapisze mój numer. Jak pan będzie miał chwilę czasu, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Nie chciałbym się stać powodem jakichś rodzinnych niesnasek.

- Rodzinnych niesnasek? - zdziwiła się Zdaniecka. - Nie rozumiem...

- No, na przykład mąż pani mógłby odebrać mój telefon i scena zazdrości gotowa.

- Nie mam żadnego męża - powiedziała opryskliwie.

- Ale miała pani.

- Skąd pan wie?

- Wnioskuje na podstawie reakcji. Potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Patrzcie, patrzcie, jaki to z pana psycholog. Kto by to przypuszczał, że... - urwała nagle, jakby w ostatniej chwili powstrzymała się od powiedzenia czegoś niepotrzebnego.

Downar popatrzył na nią spod oka i powiedział:

- Jeśli pani miała zamiar jeszcze raz wyrazić się uszczypliwie o milicji, to proszę się nie krępować.

- Pan jest bardzo inteligentny. Dziwię się, że pan sobie obrał zawód milicjanta.

- Czy pani przypuszcza, że praca w milicji nie [wymaga inteligencji?]

- Nie wiem. Nie znam się na tym.

Przez chwilę milczał. Umysł jego cały czas intensywnie pracował nad tym, aby zdobyć jakieś informacje. Nie wątpił, że Olga Zdaniecka mogłaby mu bardzo dużo ciekawych rzeczy powiedzieć na temat osobistego życia Jarzęckich.

- Wracając do problemów małżeńskich, to stwierdzić trzeba, że bardzo często stają się one powodem zbrodni. Weźmy na przykład Jarzęckich.

Spojrzała na niego zaskoczona, a może tylko udała to zaskoczenie.

- Czy pan sądzi, że to z powodu Maryny?...

A więc miała na imię Maryna. Downar przyczaił się jak dziki zwierz. Może dowie się czegoś więcej? Może nareszcie ta kobieta zacznie mówić?

- No cóż... wszystko jest prawdopodobne - powiedział w zamyśleniu, usiłując nadać swemu głosowi jak najbardziej neutralne brzmienie. Począł z zainteresowaniem oglądać sobie paznokcie. - Odpowiedzieć na to pytanie mógłbym dopiero wtedy, gdyby mi pani ułatwiła rozmowę z panią Maryną. Jakżeż się ona nazywa? Wyleciało mi w tej chwili z głowy nazwisko kochanki Jarzęckiego.

Od razu się najeżyła. Zrozumiał, że popełnił błąd, ale było już za późno.

- Kto panu powiedział, że Maryna była kochanką Stanisława? - spytała ostro.

Znowu była czujna, nieufna, nieprzystępna.

- Przecież sama pani przed chwilą dała mi do zrozumienia...

- Ja?! Nic podobnego. Zdawało się panu.

Downar zaczął tracić cierpliwość. Ogarniała go złość. Oczy mu się zwięziły, nozdrza drżały ze zdenerwowania. Podszedł blisko do Zdanieckiej.

- Radzę pani pomówić ze mną zupełnie szczerze. To kręcenie na nic się nie zda. I tak będzie pani wezwana na przesłuchanie do komendy. Wtedy będzie pani musiała powiedzieć wszystko, jeżeli oczywiście nie zechce pani być podejrzana o współudział w zamordowaniu inżynierowej Jarzęckiej.

Zaczęła się śmiać. Wyglądała na szczerze ubawioną.

- Jest pan śmieszny z tą swoją rutyną policyjną. Najprzód usiłuje pan ze mnie wyciągnąć jakieś wiadomości, a teraz zaczyna mnie pan straszyć. Może się pan nie trudzić. Szkoda pańskiego czasu. Nic się pan ode mnie nie dowie.

- Już się dowiedziałem.

- Ciekawam, czego?

- To że kochanka Jarzęckiego ma na imię Maryña.

Wzruszyła ramionami, chcąc zbagatelizować sprawę, ale spostrzegł, że była niezadowolona.

- Mówiłam przecież panu, że to nieprawda. Nic podobnego nie powiedziałam.

- Wprost nie, ale nie tak trudno się było domyślić.

- Może się pan domyślać, co się panu żywnie podoba, ale proszę mnie nie mieszać do tych wszystkich spraw.

Była rozdrażniona. Chodziła nerwowo po pracowni. W pewnej chwili podeszła do sztalug, zerwała z nich portret Downara i podarła go na kawałki.

- Nie będę pana malować. Mam dosyć tych głupich milicyjnych rozmów. Nie jestem przyzwyczajona do obcowania z milicjantami.

- Czy mam uważać naszą miłą rozmowę za skończoną? - uśmiechnął się Downar.

- Mam wrażenie, że na tyle jest pan inteligentny, żeby wyciągnąć odpowiednie wnioski.

- W takim razie pozwoli pani, że się pożegnám.

- Jest pan niezwykle uprzejmy.

- Do widzenia pani.

- *Adieu.*

Uklonił się i wyszedł. Był zły na siebie, że tak nieumiejętnie przeprowadził tę rozmowę. Ciągłe jeszcze wykazywał za mało cierpliwości. Chciał od razu zdobywać potrzebne informacje, a to przecież było niemożliwe. Powinien był zgodzić się na pozowanie, pozyskać jej sympatię, a tymczasem... Teraz trudno mu będzie odnowić tę znajomość. Właściwie wyrzuciła go za drzwi. Psiakrew, wszystko mu się ostatnio jakoś nie wiedzie! Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Gotów się spóźnić na spotkanie z Hanką. Tego by jeszcze brakowało. Przyśpieszył kroku i na rogu Krakowskiego Przedmieścia wskoczył w „125”.

Spotkali się w szatni. Kiedy zdejmował palto, dotknęła jego ręki.

- Dobry wieczór.

- Ach, to pani! Dobry wieczór.

Miała na sobie zgrabne ciemnobrązowe futerko. Zaróżowiona od zimna twarz pełna była uśmiechów. Wyglądała bardzo ładnie. Downar, patrząc na nią, od razu zapomniał o rozmowie ze Zdaniecką.

W sali ciemno było od dymu. Niewolnicy kawiarnianego obrządku siedzieli zrezygnowani przy stolikach, wędząc się cierpliwie w sinawej, nikotynowej mgłę. Blade, zmęczone twarze zwróciły się ku nowo przybyłemu.

- Chodźmy na górę - zaproponowała Hanka - tutaj wszystko zajęte.

Na pierwszym piętrze znaleźli wolny stolik w ostatniej sali, przyozdobionej niezbyt gustownymi malowidłami. Oddychało się tu trochę swobodniej.

Downar zamówił kawę i mocno uściśnął dłoń Hanki.

- Bardzo się cieszę z naszego spotkania - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- I ja również. Polubiłam pana. Sama nie wiem, dlaczego.

- Może dlatego, że jestem bardzo sympatyczny.

- A może dlatego, że ja u mężczyzn przede wszystkim cenię skromność.

Zaśmiał się.

- Oho... Widzę, że pani ma ostry języczek.

- To rutyna zawodowa. Pisuję między innymi felietony satyryczne. Ale, ale, *a propos*, co z naszą umową? Obiecał mi pan dostarczyć materiały w sprawie Jarzęckiej. Skrzywił się niechętnie.

- Nie mam ochoty rozmawiać dzisiaj na takie ponure tematy. Właściwie jestem na urlopie i w ogóle nie powinienem zajmować się kryminalistyką.

- Ale nie zapomni pan o naszej umowie?

- Na pewno nie. Jest pani nazbyt uroczą osobą, żeby można było zapomnieć o jakiegokolwiek umowie. W tej chwili jednak, gdybym nawet chciał, to i tak nic bym nie mógł powiedzieć. Śledztwo jest w toku i wyszedł nakaz z góry, żeby w tej sprawie żadnych informacji nie podawać do prasy.

- To sprawa jest aż tak poważna? Sądziłam, że to morderstwo na tle erotycznym - rozpięła futro, ukazując ciemną, wieczorową suknię.

- Czy pani się jeszcze gdzieś wybiera?

- Tak, umówiłam się ze znajomymi w „Bristolu”.

Doznał uczucia wielkiego zawodu, ale nie zdradził się z tym.

- O której się pani umówiła?

- Około jedenastej. Chcieli iść do „Kameralnej”, ale ja nie znoszę tej speluny. Teraz tam przychodzi niemożliwe towarzystwo. Same typy spod ciemnej gwiazdy. Milicja powinna nadzorować ten lokal.

- Co też robi.

- Niech mi pan powie, czy to prawda, że Jarzęcki zniknął w tajemniczych okolicznościach?

- Czy to był pani dobry znajomy, że się pani tak nim interesuje?

- Nie, skądże. Widziałam go zdaje się dwa razy w życiu. Ale dobrze już, dobrze, nie będę pana zdręzczać rozmową na tematy kryminalne. Nie może się pan dziwić, że sam widok pana kojarzy mi się z tą sprawą.

- Bardzo chciałbym zmienić ten stan rzeczy. Pragnąłbym, żeby pani kojarzyła sobie moją osobę z zupełnie innymi wspomnieniami.

Udała, że nie rozumie. Spojrzała nań spod rzęs i spytała:

- Czy ma pan papierosa?

Wyjął papierosnicę. Kiedy podawał jej zapaloną zapałkę, doznał takiego uczucia, jakby tysiące elektrycznych iskier, emanujących z twarzy dziewczyny „uderzały mu w dłoń. Speszyl się. Wiedział z doświadczenia, że niebezpiecznie jest się poddawać tak mocnym fluidom, ale zbyt przyjemne to było, żeby przywoływać na pomoc rozsądek.

Zmrużyła oczy i popatrzyła na niego wyzywająco, tak jak wtedy w hotelu.

- Co pan sądzi o rozwoju naszej telewizji? Najwyraźniej drwiła z niego. Zdusił w sobie twarde, złe słowa, które cisnęły mu się na wargi.

- Jeśli chodzi o naszą telewizję, to sądzę, że mamy na tę sprawę podobny pogląd: program jest zły, a telewizory jeszcze gorsze - powiedział spokojnie.

Zaśmiała się.

- Widzę, że jest pan malkontentem.

Przerzuciła się na literaturę. Czy czytał ostatnie książki Huxleya? Co sądzi o twórczości Grahama Greena? Kogo najlepiej lubi ze współczesnych prozaików amerykańskich?

Siedział osowiały i odpowiadał na pytania stylem telegraficznym: ostatniej książki Huxleya nie czytał, Graham Green drażni go swymi religijnymi nastrojami, z amerykańskich pisarzy najlepiej lubi Caldwell, a w ogóle to on się nie zna na literaturze i nie czuje się powołany do wydawania jakichkolwiek sądów.

- A malarstwo?

No, z tym było jeszcze gorzej. Okazało się, że nie ma pojęcia o współczesnych prądach w plastyce i że nie potrafi odróżnić Picassa od Gutusa. Przypomniał sobie Zdaniecką i swój niedoszły portret. To mu do reszty zepsuło humor.

Wyczerpawszy tematykę kulturalną Hanka spojrzała na zegarek.

- Wie pan, co panu proponuję?

- Słucham?

- Przejdźmy się. Trochę świeżego powietrza dobrze nam zrobi. Tutaj się można udusić w tej wędzarni.

Zgodził się chętnie. Na ulicy będzie ją mógł wziąć pod rękę, przytulić do siebie. Cała ta bezsensowna rozmowa o telewizji, literaturze, malarstwie, muzyce zmęczyła go niesłychanie. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie randkę z Hanką.

Śnieg przestał padać i pod wieczór wziął niewielki mróz. Ulice trochę podeschły. Kałuże, pokryte cieniutką powłoką lodową, błyszczały w świetle latarni jak szyby okienne. Samochody poruszały się po jezdni ostrożnie. Było bardzo ślisko.

Szli w kierunku Alei Jerozolimskich. Downar mocno ujął Hankę pod rękę i przyciągnął do siebie.

Spojrzała na niego nieco zdziwiona.

- Nie potrzebuje mnie pan tak mocno ścisnąć. Nie upadnę. Niech pan się nie boi.

Korzystała z każdej okazji, żeby ostudzić jego romantyczne nastroje. Rozumiał to doskonale, ale nie był zupełnie pewny, czy to zwykła taktyka kobieca, czy też... Wolał jednak nie snuć tak pesymistycznych rozważań.

Miasto pustoszało gwałtownie. O tej porze życie na ulicach Warszawy zamierało nieomal zupełnie. Wieczorni przechodnie, jak gdyby zawstydzeni, przemykali się chyłkiem pod murami domów. Na przystanku tramwajowym ludzie zbili się w większą gromadkę. Przed Centralnym Domem Towarowym kilku pijanych wyrostków wykrzykiwało nieprzyzwoite wyrazy.

Hanka przyspieszała kroku. Robiła wrażenie zdenerwowanej.

- Dziwna jest ta nasza stolica - powiedziała nagle.

- Dlaczego dziwna?

Nie ma chyba w Europie drugiego miasta, które by było tak brudne i tak ciemne. Nie rozumiem, dlaczego nie można sprzątnąć ulic i jakoś przyzwoicie ich oświetlić. O dziesiątej wieczorem, kiedy na całym świecie miasta zaczynają żyć, Warszawa wygląda tak, jak w czasie obłężenia czy alarmu lotniczego. No niech pan spojrzy, przecież to istna pustynia.

- Na pustyni nie potrzebowałyby pani nosić takiego pięknego futra - uśmiechnął się Downar. Nie miał najmniejszego zamiaru wdawać się w tej chwili w dyskusję na temat elektryfikacji kraju.

Doszli do Marszałkowskiej i zatrzymali się na rogu.

- Wracamy, bo się w końcu spóźnię.

Przed „Bristolem” chciał się pożegnać. Uważał, że już najwyższy czas zakończyć to niezbyt udane spotkanie. Był zły i zniechęcony.

Pociągnęła go jednak za sobą.

- Niech pan wejdzie ze mną. Jeżeli nawalili, to odwiezie mnie pan do domu.

- Dobrze.

Znajomych Hanki nie było ani w hallu, ani na sali. Stała niezdecydowana i spojrzała na zegarek.

- Dopiero piętnaście po jedenastej. Przecież się nie spóźniłam. Nie rozumiem, co to znaczy. Muszę zatelefonować. - Podeszła do aparatu, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się. - E, nie, nie będę dzwonić. Chodźmy.

- A może byśmy razem zjedli kolację? - zaproponował Downar.

- Wie pan, że to dobry pomysł! Prawdę mówiąc jestem głodna.

Białe obrusy wyglądały w nastrojowym półmroku jak śnieżne plamy. Orkiestra grała dyskretnie jakieś tango. Niewiele stolików było zajętych.

- Niech pan spojrzy, jakie puchy. Ludzie przed pierwszym nie mają forsę.

Downar przytaknął i pomyślał mimo woli, że go ta kolacja będzie słono kosztować. Nie chciał jednak zagłębiać się w tak niemiłe rozważania. Miał jeszcze przecież trochę pieniędzy,

których nie zdążył wydać w Zakopanem, a które przeznaczył na urlop. Ostatecznie urlop można spędzić i w „Bristolu”.

Kelner z miłym uśmiechem przyjął zamówienie.

- Co za uprzejma obsługa - zdziwił się Downar. - Zupełnie tak, jakbyśmy byli gdzieś za granicą, a nie w Warszawie.

Na stole pojawiły się przekąski i srebrne wiaderko z lodem, z którego wyglądała butelka eksportowej, pieczołowicie zawinięta w serwetę. Kieliszki napełnione alkoholem pokryły się delikatną mgiełką.

- Pani zdrowie, panno Haneczko.

Wypili i z zapalem zabrali się do sałatki z drobiu. Oboje byli głodni.

Światło znowu przygasło i orkiestra zaczęła grać walca angielskiego. Intymny nastrój poczynał im się udzielać.

- Zatańczy pani?

- Chętnie.

Objął ją mocno i poprowadził w takt melodii. Tańczył bardzo dobrze.

- Jak to wspaniale, że pani znajomi nie przyszli - szepnął dotykając leciutko wargami jej ucha.

Uśmiechnęła się. Lubił ten jej uśmiech, trochę szelmowski, a trochę zalotny.

- Świetnie pan tańczy.

- Dziękuję za uznanie. Powiedziała to pani takim tonem, jak gdyby pani była przekonana, że tańczę bardzo źle.

- Właściwie ma pan rację. No cóż... praca w milicji.

Przypomniała mu się znowu rozmowa ze Zdaniecką.

- Ludzie mają dość dziwne wyobrażenie o milicjantach - powiedział.

- To można bardzo łatwo wytłumaczyć. Milicjanci mają okropne mundury, na mieście prezentują się fatalnie, są nieelegancyści... Więc wytworzyła się pewna opinia, która...

- Która Co?

- Która może zbyt ogólnie generalizuje...

- Czy chce mi pani dać do zrozumienia, że uważa mnie za miły wyjątek?

- Po co ta ironia? Ale przyznaję, że nie przypuszczałam, iż w milicji pracują ludzie na pańskim poziomie.

- Nawet biorąc pod uwagę moją słabą znajomość literatury światowej?

Podniosła na niego roześmiane spojrzenie.

- Jest pan nieznośny. A poza tym nie przypuszczałam, że jest pan taki wysoki. Muszę zadzierać do góry głowę. Ile właściwie pan ma wzrostu?

- Dokładnie metr osiemdziesiąt cztery. Czy jeszcze interesują panią jakieś dane w związku z moją ankietą personalną?

- Nie. Na razie dziękuję. W razie potrzeby zwrócę się do wydziału kadr.

Ostatnie tony angielskiego walca umilkły. Wrócili do stolika. Kelner podał bryzole i starannie napełnił kieliszki.

Downar był w coraz lepszym nastroju. Dawno już nie czuł w sobie tyle werwy i radości życia. Przysunął się bliżej do Hanki i zaczął prawić jej czułe słówka. Ta dziewczyna uderzyła mu do głowy jak najmocniejsze wino.

Śmiała się. Widać było, że jest zadowolona, ale od czasu do czasu studziła jego zapal jakąś ironiczną uwagą. Wtedy zżymał się i udawał bardzo obrażonego.

Tańczyli dużo. Kiedy poprosił ją do któregoś tam z kolei tanga, przytuliła się do niego takim szczerym, serdecznym ruchem, jakiego u niej jeszcze nie znał. Całował jej włosy i ostrożnie musnął wargami rozpalony policzek. Czuł, że ta delikatna pieśczoła sprawia jej przyjemność.

- Haneczko, jesteś najcudniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Szaleję za tobą.

Powiedziała rzeczowo:

- Nie pamiętam, żebyśmy pili brudzia.

Speszył się. Nie spodziewał się, że go w tym momencie obleje kubłem zimnej wody. Nie' wiedział, co powiedzieć.

Przy czarnej kawie dotknęła nieśmiało jego dłoni.

- Gniewasz się? - spytała cicho.

- Nie pamiętam, żebyśmy pili bruderszaft - odpowiedział chmurnie.

Uśmiechnęła się i zalotnie spojrzała mu w oczy.

- No, już się nie dąsaj. Masz rację, mówmy sobie po imieniu. Tak będzie wygodniej i prościej.

Dał się przeprosić i znowu poszli tańczyć. Mocno tulił ją do siebie. Był zupełnie oszołomiony bliskością jej ciała. Nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że ta dziewczyna działa na niego tak silnie. Ostatecznie nie pył przecież młokosem i dużo kobiet widział w swoim życiu.

- Chodźmy już. Jestem zmęczona.

Skinął na kelnera i zapłacił rachunek. Miał szaloną ochotę zawieźć ją do siebie, ale bał się wystąpić z taką propozycją. Mógł przecież utracić ją raz na zawsze. Hanka była dziewczyną nowoczesną, ale... Wolał nie ryzykować.

Wyszli. W hallu Downar spostrzegł tego samego młodzieńca w popielatej jesionce. Nie zrobiło to jednak na nim najmniejszego wrażenia. „A niech mnie śledzi, czort go bierz” - pomyślał.

Noc była mroźna. Niebo iskrzyło się gwiazdami. Pod nogami skrzypiał śnieg.

- Odwieziesz mnie?

- Oczywiście.

Po drugiej stronie ulicy złapali taksówkę. Szofer wyjątkowo bez żadnej dyskusji zgodził się jechać na Mokotów.

W samochodzie objął ją ramieniem i ostrożnie dotknął wargami jej ust.

- Kochana.

Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała go mocno.

- Podobasz mi się, Stefan, bardzo mi się podobasz. Byli zdziwieni, gdy taksówka zatrzymała się na Ursynowskiej.

- Już przyjechaliśmy? Downar zapłacił i pomógł Hance wysiąść. Przy furtce zatrzymali się. Oboje byli jak gdyby zażenowani. Unikała jego wzroku. Kiedy wyciągnął do niej rękę na pożegnanie, powiedziała:

- Właściwie powinniśmy wypić przepisowy bruderszaft. Mam u siebie butelkę dobrego wina. Może byś wpadł na chwilę?

Bez słowa wziął ją pod rękę. Weszli na drugie piętro i Hanka poczęła szukać kluczy w ogromnej torbie. Czekał cierpliwie. Wiedział, że to trwa dość długo.

Mocny blask żarówki oświetlił niewielki pokój.

- Rozbierz się, Stef. Zrobić kawy czy herbaty? Co wolisz?

- Daj spokój. Nie zajmuj się teraz kawą. Przecież mieliśmy pić wino.

Ogromny tapczan przykryty był barwną narzutą. Piękny puszysty dywan tłumił kroki. Stylowa lampa z dużym, ręcznie malowanym abażurem wypełniała pokój ciepłym, złotawym blaskiem.

Hanka otworzyła szafę i Downar zobaczył kilka butelek o charakterystycznych podługowatych kształtach. Wyjęła jedną z nich.

- Lubisz „Liebfraumlch”?

- Lubię. Widzę, że jesteś amatorką reńskich win.

- Zaczekaj. Zaraz przyniosę kieliszki. Pochwycił ją w drzwiach i mocno całował jej usta. Śmiejąc się uderzyła go delikatnie po wargach.

- Co ty wyprawiasz? Bądź cierpliwy. Przecież jeszcze nie piliśmy bruderszaftu.

Przyniosła korkociąg i dwa kryształowe kieliszki na wysokich nóżkach.

- Nie próżnuj. Otwórz butelkę.

Przepisowo wypili bruderszaft. Wino było znakomite.

- A teraz tradycyjny pocałunek - powiedział Downar.

Zaśmiała się.

- Tradycja nic nie mówi na ten temat, żeby się całować przed bruderszaftem.

Objął ją mocno i całował do utraty tchu.

Zbudził go blask dnia wpadający przez nie zasłonięte okno. Leniwie otworzył oczy i poruszył wargami, na których czuł jeszcze smak pocałunków. Odwrócił się. Spała, podłożywszy sobie ręce pod głowę. Była zupełnie naga. Patrzył na nią z ogromną czułością. Kochał tę dziewczynę, kochał tak bardzo, jak jeszcze nigdy nikogo. „To właśnie jest prawdziwa miłość” - myślał. I dziwił się, że ta miłość przyszła tak nagle, że wszystko stało się tak niespodziewanie. Przecież jeszcze wczoraj...

Poruszyła się.

- Idziesz już? - - spytała sennie.

Spojrzał na zegarek i począł się pośpiesznie ubierać. Za pół godziny powinien być w komendzie, a przedtem musiał jeszcze pojechać do siebie na Koszykową.

Umówili się na wieczór. Downar wybiegł na ulicę i wskoczył w biegu w „55”. Kiedy otwierał drzwi od swego mieszkania, zauważył, że ktoś majstrował przy zamku. Czyżby złodzieje? Nerwowo przekręcił klucz. W pokoju panował niesłychany nieporządek. Wszystkie rzeczy z szafy i z biurka były powyrzucane na podłogę. Najwyraźniej ktoś przeprowadził tu pośpieszną rewizję.

V. Ucieczka

Mleko zaczynało kipieć. Helena, parząc sobie palce, odstawiła garnek i zgasiła gaz. Podeszła do stołu, ukroiła kilka kawałków chleba i włożyła masło do glinianej miseczki, która spełniała rolę maselniczki. Otworzyła drzwi do przedpokoju. Przez chwilę nasłuchiwała uważnie. Cisza. Była zaniepokojona. Wiedziała z doświadczenia, że jeśli Karol nie śpiewa i nie gwizdże przy goleniu, to znaczy, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Ale co to mogło być? Zwykle zwierzał się jej ze wszystkich swych kłopotów. Miał do niej zaufanie. Traktował ją jak przyjaciela. Tym razem jednak milczał i przeżuwał coś w sobie. Już z Krakowa wrócił w fatalnym humorze, a ten zły nastrój pogłębiał się z każdym dniem. Czyżby sprawa Jarzęckiej zrobiła na nim takie wrażenie? Przecież przez tyle lat służby zdążył się już przyzwyczaić do wszelkiego rodzaju zbrodni.

Ostrożnie zajrzała do łazienki. Walczak w ponurym milczeniu kroił sobie twarz żyletką krajowej produkcji.

- Czy wolisz na śniadanie kawę czy herbatę z mlekiem?

- Wszystko mi jedno.

Helena wycofała się do kuchni i zaparzyła resztkę prawdziwej kawy, którą chowała na jakąś specjalną okazję. Kiedy już oboje siedzieli przy śniadaniu, powiedziała:

- Wiesz, bardzo źle wyglądasz. Boję się, czy nie jesteś chory. Powinieneś pójść do lekarza.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Mam tylko trochę kłopotów, zmartwień, więc może dlatego nie dopisuje mi humor.

- Dawniej zawsze opowiadałeś mi o swoich kłopotach. Czy coś się zmieniło między nami?

Wstał i pocałował ją w czoło.

- Ależ nie, kochanie, nic podobnego. Wszystko jest tak, jak dawniej. Opowiem ci, ale może trochę później. Musisz być cierpliwa. To są dosyć skomplikowane sprawy. No, bądź zdrowa. Muszę jechać do komendy. Zrobiło się bardzo późno, a wszystko przez tę cholerną żyletkę. Twarz sobie pokiereszowałem, a broda została...

Próbował żartować, ale widać było, że daleko mu do dobrego humoru.

W komendzie od razu poszedł do Leśniewskiego. Rozmowa trwała długo i miała przebieg burzliwy. Sekretarka majora raz po raz spoglądała na drzwi, spoza których dochodziły podniesione głosy. Nie była przyzwyczajona do tak ostrej wymiany zdań między oficerami.

Z gabinetu szefa Walczak wybiegł blady i zdenerwowany. Natychmiast zawezwał do siebie Kobiela, przez chwilę chodził szybkim krokiem po swoim pokoju, aż wreszcie usiadł za biurkiem i próbował się uspokoić. Wiedział przecież już od jakiegoś czasu, że sprawa wygląda niedobrze, ale nigdy nie przypuszczał, że prokurator...

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Wejść.

- Wzywaliście mnie, towarzyszu kapitanie?

Na widok spokojnej, dobrodusznej twarzy młodego porucznika Walczak doznał uczucia gwałtownego zniecierpliwienia.

- Siadajcie, Kobiela. Przed wyjazdem do Krakowa zleciłem wam przeprowadzenie pewnych wywiadów. Chciałbym posłyszeć, jak żeście to załatwili.

Kobiela uśmiechnął się przyjacielsko. Jego czerwone policzki tryskały zdrowiem. Był zadowolony z życia i z siebie.

- Wszystko w najlepszym porządeczku, towarzyszu kapitanie, wszystko załatwione od a do zet.

- No słucham, słucham - rzucił niecierpliwie Walczak.

- Więc najpierw znaleźliśmy tego szofera, który wioził Jarzęckich na dworzec.

- Znaleźliście go?

- Ano tak. Przejrzało się wszystkie wiśniowe warszawy i znaleźliśmy tę, o którą chodzi. Taksjarsz nazywa się Czesław Wiśniewski.

- No i cóż ten Wiśniewski?

- Potwierdza, że faktycznie dwudziestego bieżącego miesiąca, około godziny dziewiątej, gospościa wsiadła do taksówki i kazała jechać do Willi Jarzęckiego, że następnie Jarzęccy pojechali na Dworzec Główny.

- Oboje?

- Powiada, że oboje.

- A konfrontowaliście tego kierowcę z gospodynią Jarzęckich?

- Oczywiście. Poznał ją. Mówił, że taka paskudna baba, żeby ją wszędzie poznał.

- Czy Jarzęccy wzięli tragarza?

- Tak. Znalazłem i tragarza. Mieli sporo rzeczy. Tragarz ich zapamiętał, bo mówi, że takich pięknych waliz już dawno nie widział. A ta Jarzęcka ładna, szykowna kobita była:

- I tragarz twierdzi, że oboje Jarzęccy wsiadli do pociągu zakopiańskiego?

- Tak.

- Jechali wagonem sypialnym?

- Nie. Pierwszą klasą.

- Tragarz mógł się pomylić? Kobiela wzruszył ramionami.

- Pewnie, że mógł się pomylić, ale pokazałem mu fotografię Jarzęckiego i fotografię Jarzęckiej. Poznał ich oboje. Jarzęcki dał mu pięćdziesiąt złotych. Nie każdy jest dzisiaj taki hojny. Tragarz zapamiętał sobie tego klienta.

- Hm... - Walczak zapalił papierosa i złamał w palcach wypaloną zapałkę. - Mamy więc szofera i tragarza, którzy stwierdzają, że Jarzęccy dwudziestego wieczorem wsiedli do pociągu. Teraz powstaje pytanie: dlaczego Jarzęcka wysiadła z pociągu i wróciła do domu?

- Wróciła do domu?

- No tak. Jeśli dwudziestego wieczorem oboje Jarzęccy wsiedli do pociągu jadącego do Zakopanego, a dwudziestego pierwszego wieczorem Downar rozmawiał z Jarzęcką w jej willi na Mokotowie, to znaczy, że Jarzęcka wysiadła z pociągu i wróciła do domu. Jasne?

- Jeżeli oczywiście towarzyszowi Downarowi nic się nie pokręciło z tymi datami - powiedział Kobiela. - Bo nie jestem pewien.

Walczak spojrzał na niego przeciągle.

- Dajmy temu na razie spokój - uciął krótko. - Powiedzcie mi lepiej, coście zdziałali na Grochowie.

- Ano cóż, wszystko w porządku. Gospodyni Jarzęckich, Sojecka Karolina, zeznała szczerą prawdę. Siostra jej mieszka z mężem na Grochowskiej. Ten Wojtasiak jeździ na taksówce. Bardzo porządni i solidni ludzie, towarzyszu kapitanie.

- A ten przyjaciel Wojtasiaka, który wtedy był na obiedzie?

- To także szofer. Nazywa się Karolak Tadeusz. Pracuje w dyrekcji kolei. Przyjemny facet, dobrze mu z oczu patrzy.

- Oj, Kobiela, Kobiela - uśmiechnął się Walczak. - Dla was to wszyscy ludzie są porządni i sympatyczni. Jesteście miły chłop, ale coś mi się zdaje, że powinniście raczej pracować w przedszkolu a nie w milicji.

- Nie można w każdym obywatelu widzieć przestępcy - mruknął urażony nieco porucznik.

- Słusznie, bardzo słusznie. Powiedzcie mi jeszcze, czy rozmawialiście z tą malarką, Zdaniecką?

Na puciołowatej twarzy Kobieli pojawił się niechętny grymas.

- Byłem u tej obywatelki, ale...

- Ale co?

- Ale wyrzuciła mnie za drzwi. Powiedziała, że dosyć ma już gadania z milicjantami.

Walczak zmarszczył brwi.

- To znaczy, że ktoś już od nas u niej był na własną rękę. Czyżby Downar?

- Możliwe. Zdaje się, że towarzysz Downar interesuje się tą sprawą.

- Rozmawiał z wami na ten temat?

- Nie.

- A czy Downar jest dzisiaj w komendzie?

- Widziałem go rano. Walczak zgasił papierosa i wstał.

- Na razie dziękuję wam, poruczniku. Chciałbym się z wami zobaczyć po południu.

Ustalimy sobie dalszy plan działania. Sprawa Jarzęckiej bardzo się komplikuje. Wydaje mi się, że śledztwo potrwa dość długo. Będziemy mieli sporo roboty. Tymczasem cześć. Ale, ale... bądźcie tak dobrzy i poproście do mnie Downara.

Kobiela wyszedł, zabierając ze sobą plik papierów urzędowych. Walczak pozostał sam. Przez chwilę siedział nieruchomo, wpatrzony w drzwi, za którymi zniknął porucznik. Na jego wesolej zazwyczaj twarzy malowało się zmęczenie. Wstał, podszedł do okna i oparł rozpalone czoło o szybę. Nigdy nie przypuszczał, że dożyje takiej chwili, że właśnie on będzie musiał...

- Cześć, Karol. Cóż tak wyglądasz przez okno? Walczak odwrócił się. Musiał użyć całej siły woli, aby nie okazać zdenerwowania.

- Siadaj, Stefan, muszę z tobą pomówić. Downar usiadł i wyjął papierośnicę.

- I ja także chciałem z tobą pomówić. Cóż to się dzieje, do wszystkich diabłów? Dwa dni temu wróciłeś z Krakowa i dotychczas nie znalazłeś dla mnie chwili czasu. Major nie

chce ze mną w ogóle gadać! Kobiela prowadzi śledztwo w sprawie Jarzęckiej. Dlaczego Kobiela? Czy wiesz, że u mnie w mieszkaniu ktoś przeprowadził rewizję?

- Wiem.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że rewizja u ciebie została przeprowadzona na polecenie prokuratora.

Downar wyjął z ust nie zapalonego papierosa.

- Na polecenie prokuratora?

- Tak - Walczak zwilżył językiem wyschnięte wargi. - Słuchaj, Stefku - powiedział, a własny głos wydał mu się dziwnie obcy - bardzo cię proszę, żebyś mnie wysłuchał spokojnie. To wszystko przecież musi się wyjaśnić...

- Ale o co właściwie chodzi? Co się z tobą dzieje?

- Przez wiele lat byliśmy przyjaciółmi - mówił dalej Walczak - i mogę cię zapewnić, że nie zawiodę naszej przyjaźni. Zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, aby sprawę wyjaśnić, aby cię uwolnić od tego podejrzenia.

- Od jakiego podejrzenia?! O czym ty właściwie mówisz?!

Walczak wyjął z szuflady jakiś urzędowy papier i potrząsnął nim energicznie.

- Jesteś podejrzany o współudział w zamordowaniu Jarzęckiej. A oto jest nakaz aresztowania.

Downar zbladł gwałtownie i zerwał się ze swego miejsca. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Szeroko otwartymi oczami patrzył na przyjaciela.

- Oszalałeś?! - wykrztusił wreszcie. - Poszaleliście tu chyba wszyscy!

Walczak podszedł do niego, położył mu ręce na ramionach i siłą posadził na krześle.

- Uspokój się. Awantury nic nie pomogą. Posłuchaj uważnie, co ci powiem. Za chwilę pojedziesz do prokuratury. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli ja ci powiem, jak sprawy stoją. Nie będziesz zaskoczony w rozmowie z prokuratorem. To wszystko, co na razie mogę dla ciebie zrobić.

Downar z wysiłkiem poruszył wargami.

- Mów!

- Po jakąś ty cholere poszedł wtedy do tej Jarzęckiej? - wybuchnął nagle Walczak. - Nie mogłeś osiąść w pociąg i spokojnie jechać na urlop?! Co ci do głowy strzeliło?!

- Mówiłem ci przecież - odparł Downar - że chciałem pomóc tej kobiecie. Uważałem to za mój obowiązek.

- Obowiązek... obowiązek!... Opowiadaj takie bajki swojej babci, a nie mnie. Myślałeś, że ci się nadarzy okazja do jakiejś miłosnej awanturki. Tu nie chodziło, o żaden obowiązek. Już ja cię znam! Trzeba ci się było wpakować w taką aferę?! Diabli wiedzą, jak cię teraz z tego wszystkiego wyciągnąć.

Downar milczał. W gruncie rzeczy nie mógł nie przyznać Walczakowi racji.

- Czy tylko to miałeś mi do powiedzenia? - spytał wreszcie.

- Nie, nie tylko to. Chciałbym, żebyś się orientował w sytuacji. Otóż sprawa wygląda tak: dwudziestego pierwszego wieczorem rozmawiałeś z inżynierową Jarzęcka w jej willi na Mokotowie. W jakieś dwie godziny potem patrol milicji drogowej zatrzymał pod Radomiem czarnego mercedesa. Człowiek siedzący przy kierownicy legitymował się twoim prawem jazdy.

- Moim prawem jazdy?! - wykrzyknął Downar.

- Tak. Dlatego właśnie pytałem cię któregoś dnia, czy nie zgubiłeś przypadkiem prawa jazdy.

- Nic podobnego. Cały czas mam je w kieszeni.

- Więc jakżeż w takim razie wytłumaczysz fakt, że facet, jadący czarnym mercedesem dwudziestego pierwszego bieżącego miesiąca, a raczej w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziesty drugi, pokazał sierżantowi Małeckiemu twoje prawo jazdy.

- Nie rozumiem. Zapewniam cię, Karolu, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem. A może ten sierżant się mylił?

Walczak potrząsnął głową.

- Zapisał numer prawa jazdy. Sprawdziłem w kartotece. Niestety, zgadza się. Co gorsza, w głębi wozu milicjanci zauważyli postać kobiecą w futrze. Prawdopodobnie była to Jarzęcka i myślę, że już wtedy nie żyła. Ten ktoś wiózł trupa.

Downar podniósł obie ręce do skroni i z całej siły ścisnął sobie głowę.

- Oszaleję! Przecież ty chyba nie przypuszczasz, że ja... Karol! Na miłość boską, ty chyba mnie nie podejrzewasz?!...

Walczak otarł pot z czoła.

- Ja ciebie nie podejrzewam, ale prokurator... Poza tym jest jeszcze jeden bardzo poważny dowód obciążający cię.

- Jeszcze jeden dowód?

- Tak. Z nakazu prokuratora przeprowadzono rewizję w twoim mieszkaniu. Ale, ale... w jakim ty garniturze pojechałeś do Zakopanego?

- W granatowym.

- Otóż w twoim granatowym garniturze znaleziono to...

Walczak sięgnął do kieszeni, wyjął wystrzeloną łuskę i położył ją na biurku przed Downarem.

- Łuska?

- Tak. Colt kaliber 11.43. Z takiej samej broni zastrzelono inżynierową Jarzęcką.

Wszystko się zgadza. Nie możesz się dziwić, że prokurator wydał nakaz aresztowania cię.

Downar zerwał się z krzesła i zaczął biegać nerwowo po pokoju.

- Oszaleć można! Oszaleć można! Co to wszystko znaczy? Przecież ja nie zastrzeliłem Jarzęckiej. Wtedy widziałem ją po raz pierwszy. Żadnego colta nigdy nie miałem. Mam visa. Wiesz chyba o tym. To jakiś piekielny spisek przeciwko mnie. Nic innego tylko jakiś spisek!

Walczak położył mu rękę na ramieniu.

- Uspokój się, Stefan. Musisz opanować nerwy. Sprawa nie jest dobra, ale przyrzekam ci, że się nią zajmę całym sercem. Zrobię, co będę mógł. Nie upadaj na duchu. Jestem pewny, że mi się uda w końcu rozwiązać tę zagadkę. Sam zachodzę w głowę, jak to wszystko mogło się stać. Ale, ale... oddaj mi tego visa. Lepiej będzie, jeżeli ja ci go przechowam.

Downar wyjął z kieszeni pistolet i rzucił go na biurko. Był wdzięczny przyjacielowi za to, że oszczędził mu tej przykrości i sam go rozbroił. To wszystko spadło na niego tak nagle, że był zupełnie ogłuszony, nie mógł zebrać myśli, nie mógł pojąć, co się w ogóle stało. Jeszcze przed kilkoma minutami był oficerem milicji, pracownikiem komendy głównej, aż nagle...Prokurator wydał nakaz aresztowania go, jest oskarżony o morderstwo. Dowody jego winy są właściwie druzgocące. Jak się ma bronić, co robić? Przecież jeżeli nie zdoła udowodnić swej niewinności, to zostanie skazany na karę śmierci albo na dożywotnie więzienie! Bezladne myśli przelatowały mu błyskawicznie przez głowę. Trzeba się ratować. Ale jak? A może pochwycić pistolet z biurka, ogłuszyć Walczaka i uciekać? Ale co dalej? Gdzie iść? Co robić? Gdzie się ukryć?

Walczak, jak gdyby odgadując jego myśli, wsunął pistolet do szuflady i starannie zamknął ją na klucz.

- Tylko bardzo cię proszę, Stefan, bez żadnych głupstw. Musisz zachować się zupełnie spokojnie. Nie powinienem być z tobą mówić o tym wszystkim, ale zrobiłem to dlatego, żebyś nie był zaskoczony w czasie rozmowy z prokuratorem. Ostatecznie jesteś moim najserdeczniejszym przyjacielem. Pamiętaj, żebyś się zachowywał rozsądnie, bo jeżeli narobisz jakiegoś bigosu, to wtedy mnie zdejmą z tego śledztwa i diabli wiedzą, jak to się później wszystko potoczy. Raz jeszcze przyrzekam ci, że zrobię dla ciebie wszystko, co w ludzkiej mocy.

- Dziękuję ci, Karolu - szepnął Downar. - A teraz już chyba czas, żebym pojechał do prokuratury.

Uścisnęli się serdecznie.

- Trzymaj się, stary - powiedział Walczak i w tej chwili poczuł, że coś go chwyta za gardło. Odwrócił się pośpiesznie i wrócił za biurko.

Sierżant Łukasiak chętnie oddałby całomiesięczną pensję, żeby tylko mógł się zrzec tej przykrew misji.

Trzy lata pracował przecież z Downarem, tyle razy razem wyruszali na różne akcje. Lubił tego energicznego, odważnego porucznika, o którym mówiono w komendzie, że niedługo będzie awansował na kapitana, a kto wie, może nawet na majora. Aż tu nagle trzeba go wieść do prokuratury, jak jakiego zwykłego bandziora. Ale rozkaz jest rozkazem. Nie ma rady.

- Czy towarzysz porucznik ma broń przy sobie?

- Oddałem kapitanowi.

Łukasiak unikał wzroku Downara. Skinął na oczekującego milicjanta i wszyscy trzej wsiedli do samochodu.

- Zapalicie? - spytał Downar, wyjmując paczkę sportów.

- Dziękuję - uśmiechnął się niewyraźnie sierżant. - Odstawiam się ostatnio od palenia.

- Chcecie długo żyć?

- Długo nie długo, ale po co to sobie zakopcać płuca.

Downar umilkł. Nie miał ochoty wdawać się w tej chwili w dyskusję na temat szkodliwości działania nikotyny. Przez okno samochodu patrzył w zamyśleniu na miasto. Padał gęsty, drobny śnieg i białą mgłą przesłaniał domy. Tramwaj, obwieszony tłumem zmarzniętych ludzi, dzwonił niecierpliwie. Jakiś pijany mężczyzna przewrócił się na szynach i zatamował ruch.

Minęli Pałac Kultury, plac Dzierżyńskiego i skręcili w lewo. Niebawem zatrzymali się przed warszawską siedzibą Temidy. Downar, wchodząc do tego ponurego gmachu, zapomniał przez chwilę, w jakim charakterze się tu znajduje. Często bywał w prokuraturze i w sądach, ale nigdy nie przypuszczał, iż kiedykolwiek stanie przed prokuratorem jako oskarżony. Z trudem opanowywał rozdygotane nerwy. Wiedział, że od tej rozmowy zależeć będzie wszystko. Sierżant Łukasiak pojechał windą z Downarem na czwarte piętro. Towarzyszący im milicjant pozostał w hallu.

Pogrążona w lekturze blondynka podniosła głowę znad gazety i przybrała niechętny wyraz twarzy.

- Prokurator dzisiaj nie przyjmuje - powiedziała krótko. Dowiedziawszy się, o co chodzi, przyjrzała się z zaciekawieniem Downarowi, a następnie wyciągnęła rękę w kierunku telefonu.

Prokurator Milewicz był średniego wzrostu. Jego wąska, sucha twarz miała w sobie coś z drapieżnego ptaka. Wrażenie to potęgował jeszcze wydatny, zgięty nos. Jasnoniebieskie, o chłodnym blasku oczy patrzyły beznamiętnie spoza okularów w złotej oprawie. Downar nie znał go. Od razu przyszło mu na myśl, że powierzono tę sprawę prokuratorowi, który nigdy nie miał z nim nic wspólnego.

- Siadajcie. Nazywacie się Stefan Downar?

- Tak.

- Ile macie lat?

- Trzydzieści dwa.

- Jesteście żonaty?

- Nie.

- Jak dawno pracujecie w milicji?

- Od czterdziestego piątego roku.
- Jesteście oficerem śledczym?
- Tak.

Milewicz zdjął okulary i bardzo starannie przetarł szkła.

- Podpisałem nakaz aresztowania was. Sądzę, że wiecie, o co chodzi.
- Wiem.

- W takim razie od razu przystąpimy do sprawy. Jak wynika z waszego własnego raportu, dnia dwudziestego pierwszego lutego wyjeżdżaliście na urlop do Zakopanego i wieczorem znaleźliście się w komendzie miasta, w pałacu Mostowskich. Po coście tam poszli?

- Wpadłem pożegnać się z kolegami - odpowiedział spokojnie Downar. Zdażył już opanować nerwy i teraz uważnie wpatrywał się w twarz prokuratora.

- Wpadliście pożegnać się z kolegami - powtórzył Milewicz. - A potem w obecności sierżanta Stodolaka rozmawialiście telefonicznie z inżynierową Jarzęcką?

- Tak.

- Od jak dawna znaliście Jarzęcką? - padło szybkie pytanie.

Downar zmrużył oczy i uśmiechnął się nieznacznie. Nie przypuszczał, że prokurator będzie w stosunku do niego używał tak prymitywnych chwytów.

- Jarzęcką poznałem tego właśnie wieczora, kiedy rozmawiałem z nią przez telefon. Przedtem nigdy jej nie widziałem i nie miałem pojęcia o jej istnieniu.

- Więc pojechaliście do zupełnie nieznanym kobiecie.

- Tak.

- Około jedenastej wieczór. Czyż to jest odpowiednia pora do zawierania znajomości z meżatkami?

Downar zacisnął zęby. Czuł, że ogarnia go gniew. Opanował się jednak.

- Ta kobieta twierdziła, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Uważałem za swój obowiązek jej pomóc.

- Jak się okazało, niebezpieczeństwo rzeczywiście groziło Jarzęckiej, ale wyście jej niewiele pomogli.

- Źle zrobiłem, że ją wtedy zostawiłem samą. To wszystko musiało się stać właśnie w ciągu tej półgodziny.

Prokurator w zamyśleniu bawił się pudełkiem zapalek.

- Może byście mi jeszcze raz swoimi słowami opowiedzieli dokładnie wszystko to, co zaszło owego wieczora w willi Jarzęckich.

Downar zaczął opowiadać. Mówił jasno, zwięźle, rzeczowo, nie zapominając o żadnym szczególe. Tyle razy już powtarzał tę historię, że mógł ją bez zająknięcia recytować o każdej porze dnia i nocy. Kiedy skończył, Milewicz milczał dłuższą chwilę, wreszcie zanotował coś na kartce papieru i powiedział:

- Zupełnie tak, jakby mi ktoś głośno czytał kryminalną powieść. Tajemniczy telefon, piękna nieznajoma, jakieś niesamowite, nie zbadane niebezpieczeństwo, pies, którego Jarzęccy wcale nie mieli, tajemnicza kobieta podająca się za gosposię. Czy nie uważacie, poruczniku, że ta opowieść jest trochę nieprawdopodobna?

- Tak - przyznał Downar - to było najdziwniejsze zdarzenie w moim życiu...

Jednocześnie poczuł dotkliwy chłód w okolicy kręgosłupa, w tej chwili bowiem zrozumiał, że prokurator nie wierzy w to wszystko. Jeżeli nie zdoła jakoś pozyskać sobie zaufania tego człowieka, to jego sprawa może wyglądać bardzo źle. Mówił prawdę, a ta prawda brzmiała tak niezwykle, że rzeczywiście bardzo trudno było w nią uwierzyć.

- Czy macie prawo jazdy? - spytał nagle Milewicz.

- Mam.

- Przy sobie?

- Tak - Downar sięgnął do kieszeni i wyjął prawo jazdy, obłożone w celofanową okładkę. W tej chwili poczuł głęboką wdzięczność do Karola, że go uprzedził o tej sprawie.

Milewicz podniósł słuchawkę i powiedział do mikrofonu:

- Poproście do mnie sierżanta Małeckiego. Wszedł niski, barczysty mężczyzna o śniadej twarzy i ciemnych, bystrych oczach. W drzwiach obciągnął na sobie mundur, poprawił pas i stanął w służbowej postawie.

- Sierżant Małecki z wojewódzkiej kompanii ruchu melduje się, obywatelu prokuratorze.

Milewicz wykonał zapraszający ruch ręką.

- Podejdźcie tu bliżej. Czy to wy dnia dwudziestego pierwszego lutego około godziny pierwszej w nocy zatrzymaliście czarnego mercedesa pod Radomiem?

- Tak jest. Prowadziłem wtedy patrol.

- Sprawdzaliście prawo jazdy?

- Tak.

- Na czyje nazwisko było wystawione?

- Na nazwisko Stefana Downara.

- Czy poznalibyście to prawo jazdy, sierżancie?

- Oczywiście. Zapisalem przecież numer. A poza tym prawo jazdy w górze po lewej stronie było pomalowane czerwonym tuszem. Duża plama. Mam dobrą pamięć, obywatelu prokuratorze.

Downar zdrętwiał. Ostatnie wątpliwości zostały rozwiane. Rzeczywiście, w zeszłym roku wylał na biurku czerwony tusz i powalał prawo jazdy. Nie wiedział, jak się bronić.

Milewicz wskazał na Downara.

- Powiedzcie mi, sierżancie, czy to ten obywatel siedział wtedy za kierownicą czarnego mercedesa.

Małecki spojrzał uważnie na pobladłą, pełną nerwowego napięcia twarz.

- Nie mogę stwierdzić, z całą pewnością, obywatelu prokuratorze. Noc była ciemna, zadymka. Sprawdziłem, że jedzie oficer milicji z komendy głównej i od razu puściłem wóz.

- Ale tak z postawy sądząc, mógł to być ten obywatel?

- Protestuję! - krzyknął Downar. - To jest pytanie sugerujące świadka. Sierżant Małecki nie mógł mnie widzieć przy kierownicy tego mercedesa, bo ja w tym czasie siedziałem w pociągu i jechałem do Zakopanego.

Milewicz spojrzał na niego i powiedział wyraźnie akcentując każde słowo:

- Radzę wam się uspokoić i nie podnosić głosu' W moim gabinecie, poruczniku

Downar. - A zwracając się do sierżanta powtórzył pytanie: - No więc jak? Czy uważacie, że to mógł być ten obywatel wtedy na szosie?

- Mógł być - odparł niepewnie Małecki - ale stwierdzić tego nie jestem w stanie. Miał podniesiony kołnierz od jesionki i kapelusz nasunięty na czoło. Twarzy dobrze nie widziałem.

- A czy widzieliście jeszcze kogoś w tym mercedesie?;

- Tak. Jechała jeszcze jakaś niewiasta, w futrze. Siedziała na tylnym siedzeniu. Wydało mi się, że spała.

Milewicz skinął głową.. - Na razie dziękuję wam, sierżancie. Zaczekajcie w prokuraturze. Za godzinę jeszcze raz będę chciał z wami pomówić.

Po wyjściu Małeckiego w pokoju zapanowało milczenie. Downar siedział nieruchomo i przeżuwał swe niewesołe myśli. Prokurator bawił się nożem do przycinania kartek.

No i cóż, poruczniku? - spytał wreszcie. - Cóż wy powiecie na to wszystko? Wasze prawo jazdy jest rzeczywiście powalane u góry czerwonym tuszem. Dziwne, bardzo dziwne.

Downar z trudem przełknął ślinę.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - powiedział. - Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

- Bo gdyby wam ktoś skradł prawo jazdy, to sprawa byłaby jasna. Ale przecież przez cały czas mieliście je przy sobie, w kieszeni, więc...

- Jeszcze raz twierdzę z całą stanowczością, że w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziesty drugi nie byłem na szosie pod Radomiem, żadnego czarnego mercedesa nie widziałem. Jechałem wtedy pociągiem do Zakopanego.

- Ale nie możecie przedstawić świadka na tę okoliczność - powiedział Milewicz.

Downarowi błysnęła zbawcza myśl.

- Mam świadka! - zawołał podniecony. - Jechała ze mną wtedy młoda dziennikarka. Nazywa się Drzewiecka, Hanka Drzewiecka. Mogę podać jej adres.

Prokurator zmrużył oczy i uśmiechnął się drwiąco.

- Czy to jest wasza kochanka, z którą niedawno byliście w „Bristolu?”

Downar nie odpowiedział. Przypomniał mu się człowiek w szarej jesionce, który go śledził owego dnia. Zrozumiał, że zeznania Hanki nie miałyby dla prokuratora żadnego znaczenia. Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, że nie ma dla niego ratunku.

Milewicz zapalił papierosa i przez chwilę puszczał w zamyśleniu kółka z dymu. Spytał:

- Jaki mieliście pistolet służbowy?

- Vis 9. Oddałem go kapitanowi Walczakowi.

- Czy wiecie, że podczas rewizji w waszym mieszkaniu znaleziono w kieszeni waszego garnituru wystrzeloną łuskę z colta kaliber 11,43?

- Wiem.

- Jarzęcką zastrzelona została właśnie z colta tego kalibru. Czy ta wiadomość nie robi na was żadnego wrażenia?

Downar wzruszył ramionami.

- Panie prokuratorze - powiedział drewnianym, bezbarwnym głosem - gdyby mi pan oznajmił, że dwudziestego pierwszego lutego widziano mnie w Chicago i że jestem podejrzany o dokonanie zamachu na prezydenta Eisenhowera, to w tej chwili też bym się nie zdziwił. Jestem niewinny w tej całej sprawie, ale ma pan bardzo poważne dowody rzeczowe przeciwko mnie. Nie potrafię się bronić.

Milewicz wstał.

- No, na dzisiaj chyba skończymy. Będziemy mieli okazję nieraz jeszcze sobie porozmawiać na temat zabójstwa inżynierowej Jarzęckiej. Jesteście oczywiście zatrzymani w areszcie śledczym aż do zakończenia dochodzenia. Potem staniecie przed sądem. O obrońcy jeszcze pomówimy - nacisnął dzwonek i kazał wezwać sierżanta Łukasiaka.

Wyszedłszy z gabinetu prokuratora Downar doznał takiego uczucia, jak gdyby się za nim zamknęła żelazna krata. Nie miał wątpliwości, że ten człowiek był przekonany o jego winie. Dowody tej winy zresztą były nie do obalenia. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że ów tajemniczy osobnik legitymował się wtedy na szosie jego prawem jazdy, tak samo jak nie miał pojęcia, skąd się wzięła ta łuska w jego marynarce. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że rozmowa z prokuratorem wypadła bardzo źle i właściwie nie może liczyć na nic i na nikogo. Nawet Walczak nie potrafił go w tej sytuacji uratować.

Szedł długim, mrocznym korytarzem. Za chwilę zejdą na dół, wsiądą do wozu i Łukasiak zawiezie go do więzienia, z którego być może wyjdzie jako stary, złamany zupełnie człowiek. I nagle powziął decyzję. W jakichś drzwiach tkwił klucz. Zatrzymał się i powiedział: „Chwileczkę, sierżancie, muszę tu jeszcze coś załatwić”. Szybkim ruchem wepchnął Łukasiaka do pokoju i przekręcił klucz w zamku. Nim ktoś się zdążył zorientować, co się stało, zbiegł na trzecie piętro. Po chwili już był na Ogrodowej. Obejrzał się. Nikt go nie gonił.

VI. Bolek Malina

Zwolnił kroku. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie biec. Nie mógł przecież zwracać na siebie uwagi przechodniów. Skręcił w jakąś wąską uliczkę i wszedł do bramy na wpół

rozwalonego domu. Czekał, nasłuchując pilnie. Cisza. Nic nie świadczyło o tym, żeby milicjanci zorganizowali za nim pościg. „Na pewno Łukasiak nie będzie się tak bardzo śpieszył, żeby mnie gonić” - pomyślał i uśmiechnął się. Wyobraził sobie strapioną minę biednego sierżanta, którego czekały przykre rozmowy w komendzie.

Kiedy pierwsze podniecenie minęło, Downar począł się zastanawiać nad swoją sytuacją. Nie była ona wesoła. Udało mu się wprawdzie uciec, ale co dalej? Gdzie iść? Co robić? Czy zdoła kiedykolwiek dowieść swej niewinności? Jak tu przeprowadzić śledztwo, kiedy jest teraz poszukiwany przez milicję? Musi się ukrywać, gdzieś się zamelinować. Wiedział, że to nie takie proste. Czegóż mógł dokonać sam, wyjęty spod prawa, pozbawiony pomocy całego aparatu milicyjnego, z której dotychczas korzystał? Ucieczka z prokuratury pogrążyła go właściwie ostatecznie w oczach władz, była przyznaniem się do winy. Nie żałował jednak tego kroku. Z takimi dowodami w ręku prokurator uzyskałby dla niego jak nic dożywocie albo w najlepszym wypadku dwadzieścia lat. Będąc zaś na wolności może działać, może wpaść na trop prawdziwych morderców Jarzęckiej. A gdyby nawet nic mu się nie udało wykryć, to zawsze lepiej chodzić swobodnie po mieście, aniżeli siedzieć w kryminale. Znał więzienia i bynajmniej nie śpieszył się do któregoś z nich. Nie miał wątpliwości, że prokurator każe go szukać bardzo energicznie i wiedział, że nie będzie łatwo wymykać się swym dawnym kolegom. Musiał działać z niezwykłą ostrożnością. Niebawem wszystkie dworce kolejowe i autobusowe, wszystkie urzędy pocztowe i agencje PKO znajdą się pod ścisłą obserwacją. Nie będzie mógł wyjechać z Warszawy, nie będzie mógł podjąć swych oszczędności. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że milicjanci z komendy głównej doskonale go znali. W każdej chwili mógł się natknąć na któregoś z nich.

Ostrożnie wyrzwał z bramy, a nie zauważywszy żadnego podejrzanego ruchu wyszedł na ulicę. Pośpiesznie minął Żelazną i przez Chłodną, Wronią i Krochmalną przedostał się na Wolską. Tutaj wsiadł w dziesiątkę idącą w kierunku cmentarza. Wydało mu się, iż stojący na platformie milicjant przygląda mu się uważnie. Szybko kupił bilet i przepchnął się do przodu. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak trudno mu będzie przywyknąć do roli tropionej zwierzyny. Najbezpieczniej byłoby oczywiście pójść gdzieś na wieś, podjąć w jakiejś agencji pocztowej trochę oszczędności i wegetować, dopóki się da. Mógł też pojechać na ziemię zachodnie albo pod Szczecin. Mógł wreszcie spróbować przesznułować się za granicę na jakimś frachtowcu. Ale wszystko to oznaczało całkowitą rezygnację z próby rehabilitacji. Każdy z tych projektów był ostatecznym przyznaniem się do popełnienia zbrodni. Czyż mógł ruszyć w świat jako morderca inżynierowej Jarzęckiej? Czyż nie powinien pokusić się o to, żeby wyjaśnić ten splot wypadków, który nagle uczynił z niego przestępcę? Karol go nie opuści w nieszczęściu, pomoże mu. Był tego pewny. Lecz zaraz pojawiły się wątpliwości. A jeżeli Walczaka zdejmą z tego śledztwa, jeżeli go w ogóle odsuną od sprawy? Wszyscy wiedzą, że to jego serdeczny przyjaciel. Czyż nie może zrodzić się podejrzenie, że właśnie on namówił go do ucieczki? Z chwilą zaś, gdy kto inny weźmie śledztwo w ręce, Karol będzie właściwie bezsilny. Zresztą od razu dostanie inne sprawy i po prostu nie będzie miał czasu zajmować się zabójstwem Jarzęckiej. Mimo najlepszych chęci nie zdoła mu pomóc. Więc co? Więc co? Włóczyć się po okolicznych wioskach i drżeć ze strachu na widok każdego przechodzącego milicjanta? Można tak żyć dzień, dwa, tydzień, miesiąc, ale co dalej? Wiecznie być uciekinierem, bać się własnego cienia, co kilka dni zmieniać miejsce pobytu, w obawie, żeby nie wpadli na jego ślad? Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Trzeba znaleźć morderców Jarzęckiej i wyświetlić sprawę prawa jazdy i tej łuski z colta.

Tramwaj stanął przy cmentarzu. Downar wysiadł i rozejrzał się dokoła. Chciał znaleźć jakieś zaciszne miejsce, gdzie by mógł spokojnie się zastanowić nad swoją sytuacją i stworzyć jakiś plan działania. Drzwi kościoła były otwarte. „Tam mnie nikt nie będzie szukał” - pomyślał.

Odbывała się właśnie uroczystość pogrzebowa. Ksiądz stał przed ołtarzem i wraz z organistą śpiewał psalmy żałobne. Wokół ustawionej na katafalku trumny jarzyły się świece w wysokich świecznikach, rozsnuwając żółty, mdły blask. Woń kadzidła i wędzących kwiatów wypełniała powietrze.

Downar usiadł w ławce koło jakiejś starszej kobiety, pogrążonej w modlitwie. Na razie był zadowolony ze swego schronienia. Gdyby nawet milicjanci szukali go w tych stronach, to na pewno żadnemu z nich nie przyjdzie na myśl zaglądać do kościoła. Miał więc trochę czasu i mógł spokojnie myśleć. Postanowił zostać w Warszawie i prowadzić śledztwo na własną rękę. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jest to niezwykle śmiałe zamierzenie, ale nie widział innego wyjścia. Przede wszystkim musiał znaleźć tak zwaną „metę”. Nie mógł przecież po całych dniach przesiadywać w kościele czy na cmentarzu. Odwiedzanie knajp i piwiarni nie było wskazane, a zresztą trzeba przecież gdzieś spać: W lecie sprawa byłaby o wiele prostsza, ale w zimie... Gdzie tu się zadekować? Tylko patrzeć, jak ósmy komisariat dostanie jego rysopis wraz z fotografią i tutejsi milicjanci zaczną go tropić jak gończe psy. Na Woli nie brak na pewno rozmaitych złodziejskich melin, ale jak do nich trafić? Począł sobie pośpiesznie przypominać wszystkich swoich przyjaciół i znajomych, nie było jednak wśród nich ani jednego człowieka, do którego mógłby się zwrócić w tej sytuacji. Jego najserdeczniejszy przyjaciel Walczak pierwszy odesłałby go do więzienia. Hanka? Tak, ona na pewno nie odmówiłaby mu pomocy, ale to na nic. Jeżeli nawet prokurator już wie o tym, że ta dziewczyna jest jego kochanką, to przecież nie może szukać u niej schronienia. Psiakrew, to był już prawdziwy pech pokochać taką dziewczynę, pozyskać jej wzajemność i nagle...

Pogrążony w zadumie nie zauważył, że żałobny obrządek dobiegł końca i ruch się zrobił w kościele. Dopiero gdy siedząca koło niego staruszka powiedziała: „przepraszam”, wstał i przyłączył się do smutnego orszaku. Chciał jeszcze trochę zyskać na czasie. Wieczorem łatwiej mu będzie poruszać się po ciemnych, źle oświetlonych ulicach.

Nieznany nieboszczyk, niesiony przez krewnych i przyjaciół, posuwał się z wolna ku miejscu swego wiecznego spoczynku. Downar wmieszał się w tłum popłakujących kobiet. W tej chwili przyszło mu na myśl, że po raz pierwszy w życiu korzystał z pomocy umarłego.

Śnieg przestał padać, ale zimny, przejmujący wiatr szarpał bezceremonialnie białą komzę księdza i dał w twarze żałobników. Błoto chlupało jednostajnie. Słychać było sapanie niosących trumnę i płacz strapionych niewiast. Na ulicy dzwonił tramwaj, co psuło nieco pogrzebowy nastrój.

Wreszcie posępny orszak dobrnął do świeżo wykopanego grobu i zachrypnięty bas księdza przybrał na sile. Rozległo się też głośne szlochanie. Grabarz wytarł rękawem zakatarzony nos, wprawnym ruchem nałożył na trumnę sznury, następnie zaś przy pomocy krewnych nieboszczyka spuścił doczesne szczątki do dołu i pochwycił łopatę. Ksiądz odmówił modlitwę, spojrzął na zegarek i ruszył w powrotną drogę. Mniej wytrzymali na zimno uczestnicy tej smutnej uroczystości również poczęli się dyskretnie wycofywać z cmentarza. Przy świeżo usypanej mogile pozostała tylko najbliższa rodzina zmarłego i Downar.

Jakiś tęgi, wąsaty mężczyzna, który od dłuższego czasu wdychał potężnie, odezwał się niespodziewanie:

- Mój Boże, jak to ludzie odchodzą prędko z tego świata. Nie mógł to sobie biedny Michaś jeszcze trochę pożyć?

- Pewnie - pokiwał smutnie głową Downar - pewnie, że mógł. Taki młody...

Wąsacz spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Młody? No, nie był taki młody. Miał już po sześćdziesiątce.

Downar zrozumiał, że palnął głupstwo. Trzeba było jakoś to zatuszować.

- Cóż to znaczy sześćdziesiąt lat - powiedział. -

Mój dziadek miał osiemdziesiąt pięć, a jeszcze chciał się żenić z jakąś wdową!

- Tak, tak, dawniej ludzie byli mocniejsi. Nie to co dzisiaj. Inne czasy, panie tego, inne czasy... A, pan dawno znał Michasia?

- Dostyc dawno - odparł wymijająco Downar. Rozmowa poczyniała przybierać niepożądany charakter. Dalsza indagacja mogła się źle skończyć. Zbliżył się więc do mogiły i sprawdził, czy ziemia jest dobrze ubita. Grabarz spojrział na niego z niechęcią.

- Co pan chcesz? Błoto, grunt mokry. Lepiej na razie nie będzie. Na wiosnę się poprawi. Musowo odarniować. Może pójść płyta, słupki betonowe... Dam panu dobrego fachowca, tanio robi. Bardzo solidny człowiek. Mieszka tu zaraz przy cmentarzu. Możem się przejść.

- Dziękuję - powiedział Downar. - Na razie nie. Może później.

Grabarz wzruszył ramionami.

- Jak pan masz życzenie.

Ostatni członkowie żałobnego orszaku poczuli się z wolna oddalać. Downar ruszył za nimi. Nie miało sensu dłużej pozostawać na cmentarzu. Przy bramie czekał na niego ów jegomość z wąsami.

- No chodźmy, chodźmy - uśmiechnął się życzliwie. - Pojedziemy teraz do Franusi. Trzeba coś przekąsić i wypić po kieliszku. Na taką wilgoć to konieczne.

Perspektywa wzięcia udziału w stypie pogrzebowej nie zachwyciła Downara.

- Bardzo dziękuję, ale nie mam czasu - powiedział uprzejmie.

Wąsacz ujął go pod rękę.

- Ale cóż znowu. Nie puścimy pana. Czas się zawsze znajdzie. Robota nie zając, nie ucieknie. Musimy się napić czegoś mocnego. Franusiu! Franusiu! - zaczął wołać. - Tutaj właśnie zapraszam do ciebie serdecznego przyjaciela Michasia.

Błada kobieta w żałobie wyciągnęła rękę do Downara.

- Bardzo proszę pana do siebie, panie... panie...

- Kozłowski - odpowiedział Downar.

- Bardzo pana proszę, panie Kozłowski. Bardzo nam będzie miło. Czym chata bogata.

Downar uklonił się.

- Serdecznie dziękuję, ale naprawdę nie mogę. Mam ważną konferencję. Może zobaczymy się innym razem. Do widzenia państwu.

Szybko przeszedł na drugą stronę Wolskiej i skręcił w Karlińskiego.

Przed kinem „Reduta” kręciło się kilku wyrostków. Downar spojrział na zegarek. Za pół godziny rozpoczął się seans. To było chyba najrozsądniejsze spędzenie czasu. Był głodny, ale bał się wstąpić do jakiejś restauracji. Nie mógł przecież przewidzieć, jak się rozwija akcja pościgu za nim. Wrócił więc do Wolskiej i w kiosku kupił dwie paczki herbatników, które wsunął do kieszeni. Zjadłby wprawdzie coś solidniejszego, ale postanowił nie ryzykować.

Kolejki na szczęście nie było. Najwidoczniej tutejsze kino nie cieszyło się zbyt wielkim powodzeniem. Kupił bilet, wszedł do źle oświetlonej poczekalni i usiadłszy w kącie począł gryźć herbatniki. Ciągłe jeszcze nie mógł się przyzwyczaić do swej nowej roli. Co chwila zdawało mu się, że to jakiś dziwaczny sen i że zaraz zadzwoni budzik. Rozmowa z Walczakiem, śledztwo w prokuraturze, ucieczka, scena na cmentarzu, wszystko to przecież nie miało żadnego związku z realną rzeczywistością.

- Może pan wejdzie na salę? Zaraz się zaczyna... Drgnął. Bileterka szczyrzyła zęby w wesołym uśmiechu.

- Ale się pan zamyślił. Myślałam, że pan zasnął. Bo to czasem jakiś pijany tak mocno uśnie, że prześpi cały film. Tylko szkoda pieniędzy na bilet.

Film był produkcji angielskiej. Jakaś komedia. Downar usiłował śledzić akcję, ale co chwila chwytął się na tym, że myśli o czym innym. Co robić dalej? Jak sobie zorganizować życie na najbliższe godziny? Gdzie spędzić noc? Skończy się seans i co? Można przesiedzieć jeszcze na jednym seansie, ale to nie rozwiąże sprawy. Gdyby mógł zostać tu na noc... Nie

było to jednak prawdopodobne. Bileterka nie pozwoli. Do żadnego hotelu nie mógł pójść, dworce też na pewno już obstawione. Zadekować się na jakiejś budowie? To byłoby niezłe, ale dozorca? Jak przekonać dozorcę, żeby go wpuścił? A jeśli poweźmie jakieś podejrzenie i zawiadomi posterunek milicji? Nie, to nie był dobry pomysł. Może zaczepić prostytutkę i u niej spędzić noc? A jeśli pojawi się sutener i dojdzie do awantury? Lepiej nie ryzykować. Więc co pozostaje? Szukać schronienia w jakichś ruinach albo przesiedzieć gdzieś do rana na klatce schodowej. Trzeba by wejść na ostatnie piętro i ukryć się koło strychu. Ruiny jednakże wydawały się pewniejszą kryjówką. W każdym razie bezpieczniej będzie przesiedzieć w kinie jeszcze jeden seans.

Kiedy na sali zabłysło światło, Downar wyszedł i kupił w kasie bilet na siódmą. „Im później wyjdę na miasto, tym lepiej” - myślał. Nie dosiedział jednak do końca seansu. Był tak głodny, że wyszedł w pół do dziewiątej. Cały dzień właściwie nic nie jadł, bo rano śpieszył się do komendy i zapomniał o śniadaniu.

W pobliżu znajdowała się prywatna jadalnia. Postanowił zaryzykować. Wszedł i od razu zamówił dwie porcje flaków i kilka kawałków chleba. Jadł spieszenie, parząc sobie usta, i co chwila spoglądał na drzwi. Zaraz jednak uświadomił sobie, że jak tak się zacznie zachowywać, to w każdym napotkanym człowieku wzbudzi podejrzenie. Opanował nerwy i drugą porcję flaków zjadł już spokojnie. Kelnerka zaczynała sprzątać. Lokal zamykano o dziewiątej. Zapłacił więc rachunek i wyszedł.

Noc była ciemna. Wiatr ustał i znowu zaczął padać drobny, mokry śnieg. Downar nastawił kołnierz, nacisnął kapelusz na oczy i ulicą Sowińskiego ruszył w kierunku Gniewkowskiej. Wolał oddalić się od Wolskiej, która była stosunkowo najlepiej oświetlona. W tych mrocznych zaułkach czuł się pewniejszy. Wiedział, że ósmy komisariat ma niewielu ludzi i że nieliczne, słabe patrole niechętnie zapuszczają się w boczne ulice. Wola nie cieszyła się dobrą opinią. W tej chwili przyszło mu na myśl, że nie tylko milicjanci są dla niego groźni. A jeśli gdzieś go tu rozbiorą z jesionki i ubrania, to co wtedy? Jednemu czy dwóm dałby radę. Był silny i wysportowany. Ale jeżeli obkoczą go w kilku... Nie miał pistoletu.

Dochodząc do Ordonu spostrzegł pod murem kawałek zardzewiałego żelaznego pręta. Podniósł go, obtarł gazetą i wsunął do rękawa. Zaraz poczuł się pewniej. W razie czego będzie się bronił. Nie może dopuścić do tego, żeby się znaleźć w bieliźnie na ulicy. Wtedy byłby już bez ratunku. Rozglądał się uważnie dokoła i nasłuchiwał pilnie, czy nikt za nim nie idzie. Starał się też trzymać z daleka od domów, żeby nie być zniemacka zaatakowanym z jakiejś ciemnej bramy. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zapóźniony przechodzień w eleganckim płaszczu i pilśniowym kapeluszu może tu być narażony na poważne niebezpieczeństwo. Ale nie było innego wyjścia. Musiał sobie znaleźć jakiś nocleg. Nie znał tej dzielnicy i nie wiedział, gdzie szukać wygodnych ruin. Dotychczas nie spostrzegł nic odpowiedniego. Na myśl, że w tej chwili bardziej bał się milicjantów aniżeli bandytów, uśmiechnął się gorzko.

Krążąc po ciemnych ulicach i rozmyślając na niezbyt miłe tematy znalazł się wreszcie na Kasprzaka. Postanowił przybliżyć się do Towarowej. Sądził, że w okolicach Dworca Głównego prędzej znajdzie jakąś odpowiednią dla siebie kryjówkę.

Dochodząc do Płockiej, począł się zastanawiać, czy nie skrócić w tę cichą ulicę. Nagle zwolnił kroku i poczuł, że gorąca fala krwi uderza mu do głowy. Jak spod ziemi wyrosli tuż przed nim trzej milicjanci. Patrol. Było już za późno, żeby się cofnąć. W pierwszej chwili chciał rzucić się do ucieczki, ale w porę opanował ten odruch. Przystanął i obojętnie zapalił papierosa. Minęli go, czuł jednak instynktownie, że się odwrócili i że mu się przyglądają. Wolnym, miarowym krokiem ruszył przed siebie. „Jeżeli teraz zawrócą i zechcą mnie wylegitymować...” - pomyślał. Nie zawrócili. Posłyszał, jak się oddalali. Wtedy obejrzał się szybko, a skonstatowawszy, że milicjanci już na niego nie patrzą, skrzywił w prawo, w Brylowską.

Uliczka była ciemna i wyboista. Ani latarni, ani nawet najsłabszego światła padającego z okna. W mroku majaczyły rozwalone mury i resztki drewnianych płotów. Dopiero przy końcu tego zaułka stało kilka domów.

Downar zorientował się, że idzie w kierunku torów kolejowych. Przed nim w prostej linii był Dworzec Zachodni, bliżej znajdowały się bocznice, na których zatrzymywały się wagony kolejowe. A jakby znaleźć jakiś rozładowany wagon i w nim się ukryć? To była zupełnie niezła myśl. W takich wagonach często zostaje siano czy słoma z opakowania towaru. Przy odrobinie szczęścia można było zorganizować sobie „luksusowe” posłanie. Przyspieszył kroku. Nafosforyzowane wskazówki zegarka wskazywały wpół do dwunastej. A więc przeszło dwie godziny krążył już po ulicach.

Koło wagonu kręciło się kilku ludzi. Na platformę ciężarowego samochodu ładowali pośpiesznie jakieś duże paki. Nim Downar zdołał zorientować się w sytuacji, rozległo się ciche gwizdnięcie i ciemna postać wyrosła tuż przed nim.

- A pan tu czego szuka?

- Nie widzisz, że szpicel? - odezwał się głos z boku. - W bebecz go!

Downar błyskawicznie uskokzył w tył i mocno ujął swój żelazny pręt, lecz w tej samej chwili poczuł, że ktoś mu wyłamuje rękę ze stawu.

- Zostaw, frajerze, te gazrurkę - posłyszał tuż nad uchem schrypnięty głos. Szarpnął się rozpaczliwie, ale tamten trzymał go jak w stalowych kleszczach.

- Te, Bolek, to nie glina - odezwał się drugi drab.

- Dawaj latarkę. Zobaczymy, co za morda. Snop światła padł na twarz Downara.

Zmrużył oczy.

- O rany! To chyba Stefek? Stefek Downar, jak pragnę wolności! - chwyt zelżał. - Nie poznajesz mnie, Stefek?

Ten schrypnięty, przepity głos wydał się Downarowi znajomy, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, o kogo chodzi.

Nagle latarka oświetliła szeroką, czerwoną twarz i wyszczerzone w uśmiechu rzadkie zęby.

- Przyjrzyjże mi się. To ja, Bolek, Bolek Malina,

- Bolek! - krzyknął Downar i otworzył ramiona.

Padli sobie w objęcia. Towarzysz Maliny spojrzał ze zdumieniem na tę scenę.

Kiedy wyściskali się serdecznie, Downar klepnął przyjaciela po ramieniu i powiedział:

- A to traf. Cieszę się, że cię spotkałem po tylu latach. Ale co ty tu robisz na torach o tej porze?

- E, nic takiego. Rozładowuje się wagonik.

- O dwunastej w nocy? Tak po ciemku?

- Wolimy po ciemku. Wygodniej.

Nagle Bolek spojrzał uważnie na Downara i spytał zniżając głos:

- Słuchaj no, Stefek, a może ty z milicji?

- Nie, nie, bądź spokojny.

- Tak tylko spytałem dla wszelkiej pewności. Tajniak miałby przecież przy sobie jakiegoś gnata, a nie gazrurkę. Te, Józek - zwrócił się do swego towarzysza, który ciągle przyglądał im się podejrzliwie. - Skończcie robotę sami. Już niewiele zostało. Niech Franek od razu odstawi wóz. Jutro się zobaczem. Wpadnijcie do mnie może, albo nie... spotkamy się lepiej w „Zielonej”. Cześć - wziął Downara pod rękę. - Chodź, Stefek. Musiem pogadać. Taka okazja. Mieszkam tu niedaleko, na Brylowskiej. Niezła melina. Napijem się po kielichu. Jaka taka zagrycha się znajdzie. Wspomnimy dawne lata. Chyba się nigdzie nie śpieszysz?

- Nie - odparł Downar - nie śpieszę się. Nagle przyszła mu zbawcza myśl do głowy.

- Słuchaj, Bolek, czy ty byś mnie nie mógł u siebie przenocować?

Malina przystanął i przyjrzał się przyjacielowi.

- Przenocować? To ty nie masz mieszkania, czy jak?
- Mieszkanie mam. Ale tak mi wypadło, że... tego...
- A co ty właściwie tu robisz w tych stronach?
- Tak sobie spaceruję... Bolek zachichotał cicho.
- Uhm, tak sobie spacerujesz koło torów kolejowych, po tym błocie, w nocy? Nie wiedziałem, żeś ty taki amator świeżego powietrza. Stefek, coś mi się zdaje, żeś ty trefny.
- Pogadamy o tym później - mruknął niechętnie Downar.
Weszli w ciemną, cuchnącą bramę. Woń smażonej słoniny mieszała się tu z wyziewami podwórzowej ubikacji.
- Uważaj, żebyś się nie przewrócił. Tu jest stopień - blask latarki oświetlił brudne, zniszczone schody.
Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Malina wprawnym ruchem wsunął klucz do zamka i pchnął przed sobą Downara.
- No wchodź, wchodź. Nie bój się.
W mieszkaniu było gorąco. Ostry zapach mydlin wypełniał powietrze. Najwidoczniej niedawno odbywało się tu pranie.
Powiesili płaszcze i weszli do pokoju. W ciemności Downar posłyszał czyjś głęboki oddech. Odruchowo poszukał na ścianie kontaktu.
Bolek zapalił światło.
- Wstawaj, Fela! - zawołał.
Na szerokim, małżeńskim łóżku leżała młoda dziewczyna. Miała czarne włosy. Otworzyła oczy i spytała niechętnie:
- Co jest, do cholery? Czego się drzesz?
- No wstawaj, wstawaj. Pójdiesz spać do Mańki. Ruszaj się.
Była widocznie przyzwyczajona do posłuszeństwa, bo bez słowa protestu wyskoczyła z łóżka. Miała na sobie tylko krótką, dzienną koszulkę. Obecność obcego mężczyzny nie krępowała jej w najmniejszym stopniu.
Downar mimo woli rzucił okiem na piersi i zgrabne nogi dziewczyny. Malina pochwycił to spojrzenie.
- A co, fajna dziewczucha! - powiedział z zadowoleniem. - Tylko jeszcze trochę głupia - z rozmachem klepnął Felę po pośladku. - No, zapoznajcie się. To jest mój przyjaciel Stefan. Fajniejszego kumpla w całej Polsce nie znajdziesz. Pamiętaj, żebyś była dla niego grzeczna. Życie mi uratował. Rozumiesz? Gdyby nie, on, już bym dawno ziemię gryzł. Szkopy by mnie rozwalili. Ale co ty tam wiesz... No, ubieraj się i zjeżdżaj stąd.
Fela włożyła szlafrok i wyciągnęła rękę do Downara.
- Szkoda, że pan go ratował - powiedziała. - Po co się pan narażał? Byłoby jednego bandziora mniej na świecie.
Bolek tak się zaczął śmiać, że aż mu oczy zaszczyły łzami.
- A to dowcipna cholera! Niech ją szlag trafi! - rechotał ucieszony. - A żebyś wiedział, jak mnie bestia kocha. W ogień by za mną skoczyła - otoczył ją ramieniem. - Prawda, że mnie kochasz, Fela?
- Odknaj się z twoją miłością.
Downar z zaciekawieniem przyglądał się dziewczynie. Była tak świetnie zbudowana i tak ładna, że mogłaby z powodzeniem zrobić karierę gwiazdy filmowej. „Skąd on wytrzasnął tutaj taką piękność?” - myślał.
Malina usiadł ciężko na krześle, które niepokojąco skrzypnęło pod jego ciężarem, i spytał:
- Fela, mamy jeszcze w domu trochę gazu?
- Jest przepalanka. Będzie tam z pół litra.

- A zagrycha?

- Chleb, baleron i kawałek serdelowej.

- Dobra jest. Z głodu nie pomrzemy. No, idź już, bo się nie wyśpisz. Przyjdź rano, to nam zrobisz śniadanie. Aha, masz forszę. Kup, co trzeba. Może weźmiesz ze dwadzieścia jaj, jakiejś wędliny, masła, chleba, no i ćwiartkę wódki. Najlepiej czystej. Nie lubię tych wszystkich kompotów. Rzygać mi się chce - sięgnął do kieszeni i wyjął sto złotych. - No, masz, trzymaj i wykiдалaj z lokalu.

Po wyjściu Feli Bolek zabrał się do przygotowania posiłku. Przyniósł z kuchni chleb, wędlinę, butelkę i kieliszki.

- No siadaj, Stefek. Cóż tak stoisz jak na weselu? Krój chleb, kielbasę. Czuj się jak u siebie w domu - odkorkował butelkę i napełnił kieliszki, a raczej tak zwane stopki. - No to cyk, twoje zdrowie, Stefuś. Za nasze spotkanie. Ile to lat żeśmy się nie widzieli, co? Od powstania. Ty zostałeś w Śródmieściu, a ja poszedłem na Czerniaków. No i co z tobą było? Siedziałeś w Pruszkowie?

- Wywieźli mnie do Niemiec.

- I mnie też chcieli wywieźć, ale zem się im nie dał. Wskoczyłem z pociągu.

Banschutzte mnie dopadli, a ja ich w mordę i noga. Strzelali za mną. Żaden nie trafił. Nie pisane mi było. Ale wtedy, coś ty tych esesmanów rozwalił z automatu, to mało brakowało, a byłiby mnie wysłali do Bozi. Już stałem pod murem. Tak, bracie, gdybyś się wtedy spóźnił o dwie minuty, to już by było po mnie. A wiesz, że jak tak człowiek w lufę sobie popatrzy, to mu się jednakże robi trochę niewyraźnie. No pij, Stefan. Cóż ty tak cedzisz po kropelce?

Zmarzniętemu Downarowi smakowała wódka. Pił i jadł chleb z kielbasą. Flaczki z prywatnej jadalni już dawno strawił.

- Widzę, że apetyt masz niczego - powiedział z uznaniem Malina. - Wyglądasz tak, jakbyś dwa dni nic nie jadł.

- Dużo chodziłem. Nabrałem apetytu - odparł Downar i znowu ukroił sobie duży kawał chleba. - Powiedz mi, Bolek, co ty właściwie teraz robisz? Czym się zajmujesz? Czy tylko kradniesz towar z wagonów kolejowych?

- Eee, no... nie tylko... Czasem się trafi jakieś włamanie. Ale na ogół to się teraz nie opłaca. Ogólny mortus. Dawniej to jak się weszło do mieszkania jakiegoś adwokata czy doktora, to było co brać. Człowiek nie wiedział, za co się pierwszej chwycić. A teraz... Szkoda gadać. Żaden interes. Trochę starych ciuchów, przerzuciłem się na robotę kolejową, ale i to także nędza. Za okupacji, jak się szkopom wagonik odbiło, to człowiek wiedział, że żyje. A teraz co? Trochę miętkiej skóry, i to trzeci gatunek, albo kilka rowerów krajowej produkcji. Pamiętasz, jak za Niemców chłopaki wyfasowały cały wagon zółwi? Toż to była hazena. No pij że, Stefek. Nie bądź dziecko.

Downar był już dobrze podpity, kiedy Malina przysunął się do niego i szepnął:

- Stefuś...

- Co?.

- A ciebie, bracie, za co gliny ganiają?

- E,> takie tam nieporozumienie. Nie warto gadać.

- Jak nie masz życzenia, to nie mów. Ale przyjacielowi, serdecznemu druhowi z powstania, mógłbyś powiedzieć. Jakbym wiedział, o co się rozchodzi, to łatwiej może mógłbym ci coś pomóc. Rąbnąłeś kogo? Przyznaj się. Mokra robota?

Downar nie był na tyle zamroczony alkoholem, żeby nie rozumieć, że chyba jakaś dobra wróżka zesłała mu w obecnej sytuacji Bolka Malinę i że tylko on mu może pomóc. Musiał więc zaryzykować i zdecydować się na szczerą rozmowę.

- No dobra, powiem ci, o co chodzi, ale nikt się nie powinien o tym dowiedzieć. Gębę na kłódkę.

- Coś ty, Stefek? Za kogo mnie bierzesz? Co to ja jestem niemowlę, czy jak?

- No to posłuchaj.

Bolek nalał resztę Wódki i przysunął krzesło jeszcze bliżej.

- Gadaj.

Downar zaczął mówić. W miarę, jak odtwarzał wydarzenia ostatnich tygodni, czerwona twarz Maliny poważniała coraz bardziej. Kiedy opowiadanie dobiegło końca, Bolek w zamyśleniu otarł nos wierzchem dłoni i powiedział:

- No cóż, Stefek, klawo nie jest.

- To wiem i bez ciebie - mruknął Downar. Przez chwilę milczeli. Downar zastanawiał się nad tym, czy dobrze zrobił, że opowiedział to wszystko. Malina pogwizdywał czas jakiś w zamyśleniu, a następnie wyjął papierosa i zaczął szukać po kieszeniach zapalek.

- Żebyś ty był zwyczajny facet, to wziąłbym cię do sitwy i chodziłbyś z nami na robotę, ale tak... Chłopaki zaraz zwęszyliby, żeś glina. To już nie ma tego zaufania, rozumiesz? Zresztą wypuścić cię na miasto nie można, bo cię któryś ze znajomych milicjantów przyuważy. A ty, co byś właściwie chciał robić?

- Muszę znaleźć morderców tej kobiety - odparł Downar.

- Ba, łatwo to powiedzieć. Jak oni są takie kozaki, że dziabnęli babkę w Warszawie, potem zawieźli nieboszczkę do Zakopanego i potrafiliby cały cynk puścić na ciebie, to niełatwo ich wywęszyć. Cholera wie, od czego tu zacząć?

- Gdyby się dało znaleźć tego czarnego mercedesa... - powiedział w zamyśleniu Downar.

- Jeżeli wóz melinują w Warszawie, to ja ci go znajdę, spokojna głowa, ale nie muszą go trzymać w Warszawie. Dlaczego? Powiedz mi, Stefek, a co właściwie jest z tym inżynierem, mężem nieboszczki?

- Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Zniknął.

- Myślisz, że też go rąbnęli?

- Diabli go wiedzą. Wsiadł do pociągu, jadącego z Zakopanego do Warszawy i nie wysiadł w Warszawie. Nikt go od tej pory nie widział.

Bolek otworzył usta i począł dłużyć zapalką w zębach. Kto go lepiej znał, ten wiedział, że czynności tej towarzyszy zazwyczaj wzmożona działalność mózgu. Wreszcie przestał manipulować wykałaczką i powiedział:

- Może coś się wykombinuje, ale na to trzeba czasu. Pomyślimy nad tym. Na razie idziem spać, Stefuś. Obaj mieliśmy ciężki dzień.

VII. Fela

Downar obudził się około dziesiątej. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdziwionym spojrzeniem wodził po kolorowych oleodrukach, wiszących na przeciwległej ścianie. Czuł silny ból głowy i gorycz w ustach. Nie był przyzwyczajony do wódki. Już bardzo dawno nie pił. Przymknął oczy i z wysiłkiem usiłował zebrać myśli. Powoli wracała świadomość rzeczywistości. A więc znajduje się w mieszkaniu Bolka Maliny. Śpi w jego łóżku, na miejscu Feli. Odwrócił się. Koło niego nie było nikogo. Gdzie Bolek? Pewnie poszedł do ubikacji albo do kuchni. A może?... A może ma zamiar go sypnąć? Może właśnie wiej chwili wchodzi do komisariatu?... Na samą myśl o tym rozpięzchły się resztki snu. Usiadł na łóżku i wzrokiem poszukał swego ubrania. Zaraz jednak przyszła trzeźwa refleksja: co za nonsens! Jak mogło mu coś takiego przyjść do głowy. Malina to niebezpieczny bandzior, ale nie zdrajca. Przyjaciela nigdy by nie wydał, nawet gdyby od tego zależało jego własne życie. Downar wiedział o tym i teraz wstyd mu się zrobiło tej przelotnej tchórzliwej myśli. Opadł z powrotem na poduszkę i syknął z bólu, chwytając się za głowę. Gdyby tak mieć choć tabletkę aspiryny...

Zgrzytnął klucz w zamku. Podniósł się i wsparty na łokciu począł nasłuchiwać. Z kuchni doleciał dźwięczny kobiecy głos. Nuciała jakąś skoczną melodię. Zrobiło mu się

głupio, że o tej porze zastanie go jeszcze w łóżku. Spuścił więc nogi i wyciągnął rękę po spodnie, gdy wtem trzasnęły drzwi i weszła Fela.

Miała na sobie zgrabną popielatą spódnicę i brązowy golf z dobrej wełny. Mocno ukarminowane wargi odcinały się czerwoną plamą na śniadej twarzy. W ciemnych, szelmowsko zmrużonych oczach migwały złotawe blaski. Idąc kołysała się lekko w biodrach, jak przystało na renomowaną piękność z przedmieścia. Szybkim ruchem odgarnęła spadające jej na czoło włosy i śmiejąc się powiedziała:

- Jeszcze śpisz, Stefan? Wstawaj, dam ci śniadanie, bo mi tu umrzesz z głodu.

Położyła na stole czystą koszulę i przybory do golenia.

- To dla ciebie. Zrób się na bóstwo i chodź jeść. Downar z zadowoleniem przyglądał się pięknej dziewczynie. Przypomniały mu się jej nagie piersi i nagie uda, które widział w nocy. Był rad, że bez żadnych ceregieli zaczęła mu od razu mówić po imieniu.

- Gdzie Bolek? - spytał.

- Wszedł na miasto. Ma jakieś ważne sprawy do załatwienia. Bolek nie jest taki śpioch jak ty.

Wstał i poszedł do kuchni się golić. Kiedy zeszkrobywał brodę przed małym poobijanym lusterkiem, Fela przygotowywała śniadanie.

- Nie czekamy na Bolka. Diabli go wiedzą, kiedy wróci. Jak tylko będziesz gotów, siadamy jeść. Cholernie jestem głodna.

Po upływie dwudziestu minut Downar ogolony, umyty i ubrany w świeżutką koszulę siedział przy stole. Gdy zobaczył przed sobą jajecznicę z ośmiu jaj, począł się śmiać.

- Ja mam zjeść to wszystko? - spytał.

- Tylko mi tu nie grymas - burknęła Fela. - Masz jeść, co ci daję. Bolek kazał cię dobrze odżywiać.

Nie było rady. Downar nie chcąc się zaraz na wstępie narazić energicznej gospodyni, wziął łyżkę do ręki i zabrał się do jajecznicy z kielbasą. Okazało się, że jakoś sobie poradził z potężną porcją.

Po śniadaniu wypalili papierosy i Fela zabrała się do sprzątanía. Najprzód przykryła łóżko dużą koronkową kapą, której stratę na pewno oplakiwano w jakimś drobnomieszczkańskim domu. Większość znajdujących się tu rzeczy pochodziła niewątpliwie z nocnych wypraw Maliny, który najwidoczniej troszczył się o urządzenie swego mieszkania.

Downar patrzył na krzątającą się dziewczynę i w tej chwili przyszło mu do głowy, że jeżeli Fela roztrąbi po całej dzielnicy o jego nagłym pojawieniu się, to bardzo łatwo może mu ściągnąć na kark milicję. Postanowił jakoś temu zapobiec.

- Słuchaj, Fela - powiedział, przysuwając krzesło - siadaj, chciałbym z tobą pogadać.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- O co chodzi?

- Bo widzisz... Byłoby lepiej, żebyś nikomu nie mówiła o tym, że ja tu w was jestem...

Fela zaczęła się śmiać. Walnęła go w plecy z taką siłą, że aż się pochylił.

- Cóżes ty, Stefan, z byka spadł? Czyja wyglądam na taką wariatkę? A komuż ja mam co mówić? Jakbym ja tak zaczęła mleć ozorem, to już bym dawno leżała na cmentarzu. Wiem przecież, że z ciebie lepszy bandzior. Jak cię Bolek wpuścił do swego łóżka, to już ty musisz być nie byle kto. Za mojej pamięci tylko jeden raz Bolek pozwolił spać ze sobą Kulawemu Józkowi. A więcej nikomu. Słyszałeś chyba o Kulawym Józku?

- Słyszałem - skłamał Downar, nie chcąc zdradzić się ze swą ignorancją. - Ty już długo jesteś z Bolkiem? - spytał po chwili.

- A co ci do tego? Nie bądź za ciekawy. Wszedł Malina. Nikt nie słyszał trzasku otwieranych drzwi. Widocznie z przyzwyczajenia nawet do własnego mieszkania wchodził bezszelestnie. Na jego czerwonej twarzy malowało się zadowolenie. Uśmiechnął się szeroko. Cisnął dwie duże paczki na łóżko i pozdrowił Downara.

- Serwus, Stefek. Przyniosłem dla ciebie ciuchy. Przymierz, czy będą pasowały. Dawaj, Fela, coś pokuszać - zwrócił się do dziewczyny.

Downar rozpakował paczki. Wyjął z papieru granatową jesionkę i brązowe ubranie w paski.

- To dla mnie? - spytał zdziwiony.

Malina, który właśnie krajał sobie chleb, odwrócił się do niego.

- A co? Chciałeś może paradować w tym twoim eleganckim płaszczku i w popielatym garniturze, który znają wszyscy milicjanci w Warszawie? Pamiętaj, żebyś od dziś nie golił wąsów. Uczesanko się zmieni. Może z przedziałkiem albo na grzywkę. Zobaczymy.

Przyniosłem ci także i to - sięgnął do kieszeni i wyjął duże okulary w grubej ciemnej oprawie.
- Będziesz widział przez nie jak przez szybę. Nie bój się. Aha, za parę dni dostaniesz dowodzik osobisty. Nie wiem jeszcze, na jakie nazwisko, ale dowód będzie regularny. Tylko trzeba cię sfotografować. Zdjęcie do dowodu konieczne. Rozumiesz chyba?

Downar uściskał przyjaciela.

- No wiesz, Bolek... jesteś równy chłop. O wszystkim pomyślałeś...

Malina spojrzał na niego chępliwie.

- A co? Bolcio Malina jeszcze ci się na coś przydał. W tej chwili pojawiła się Fela z talerzem jajecznicy.

Downar poszedł do kuchni, żeby przymierzyć garnitur.

Okazało się, że Bolek miał dobre oko. W nowym stroju Downar wyglądał jak typowy chłopak z Woli.

- Fajnie jest - ucieszył się Malina. - Jeszcze tylko kapelusik albo berecik, okulary, wąsik i moje uszanowanie. Sam czort cię nie pozna. Przez jakiś czas posiedzisz sobie cicho, póki się trochę nie uspokoi, a potem się zobaczy. Jesteś moim kuzynem z prowincji. Przyjechałeś do Warszawy za robotą. Kapkę się przeziębilesz i siedzisz w domu. Wiadomo, grypa. Jeść dostaniesz. Wypoczniesz sobie na razie. A ty, Fela, mordę na kłódkę i ani słowa. Zresztą, co cię mam uczyć. Z chłopakami będę się widywał na mieście. Żaden tu nie ma prawa nosa wścibiać. Jakby co, to zwalaj ze schodów na zбитy łeb i dobra.

- Słuchaj no, Bolek - powiedział Downar - musiałeś kupę forsy wydać na ten mój garnitur i na jesionkę. Powiedz, ile ci jestem winien.

Malina machnął ręką.

- Daj spokój. O forsie pogadamy później. Na razie wpadło mi parę złotych, a jak będzie trzeba, to się znowu jaki wagonik otworzy.

- I nie boisz się, że cię w końcu milicja nakryje? Bolek skrzywił się pogardliwie.

- Zanim mnie te milicjanci nakryją, to dużo wody w Wiśle upłynie. Muszą się jeszcze chłopaki sporo poduczyć.

- Takiś pewny siebie?

- No co ty chcesz? Nabrali do tej milicji kmiotków ze wsi, to kuda tam takiemu żłobowi do mnie! A wszystko to takie cherlawe, że z dziesięcioma nie miałbym co robić. Przed wojną to co innego. Jak cię granatowy milicjant lunął w mordę, toś przynajmniej wiedział, że z władzą masz do czynienia, a teraz co? Nie bój się. Do mnie tu żaden nie zajrzy.

- To chcesz, żebym ja tu murem siedział u ciebie w mieszkaniu i nigdzie nie wychodził?

- No pewnie. A bo ci tu źle będzie? Wyśpisz się, zjesz dobrze, kielicha sobie od czasu do czasu kropniesz. Gazety ci przyniosę. A jak ci się będzie bardzo przykrzyć, to ci Fela jakąś dziwkę do towarzystwa sprowadzi. Ale lepiej wytrzymaj w samotności. Po co mają gadać, że u mnie ktoś się melinuje.

Downar zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju szerokimi krokami.

- No dobrze, aleja coś muszę robić, muszę działać. Jak tak będę się u ciebie wysypiał, to niczego się nie dowiem.

Malina siorbnał łyk gorącej herbaty.

- O to na razie niech cię głowa nie boli. Powiedziałem ci, że się tym zajmę. Za kilka dni będziesz miał wiadomości. Tylko bez nerw. Siedź spokojnie w charakterze chorego i wypoczywaj. Niech ci się zdaje, że jesteś na kuracji.

I nastały długie dni oczekiwania. Downar jadł, spał i rozmyślał. Po raz setny odtwarzał w pamięci wydarzenia ostatnich tygodni, poczynając od tajemniczej rozmowy z Jarzęcką, a kończąc na ucieczce z prokuratury i spotkaniu z Bolkim. Wierzył, że ten warszawski cwaniak, znający doskonale cały świat przestępczy, naprawdę może mu pomóc. Malina zniknął na całe dni, a często nie wracał i na noc. Stracił ochotę do rozmowy, był zamyślony, chmurny, a po każdym posiłku spędzał długie chwile na dębaniu w zębach, co, jak wiadomo, świadczyło o wytężonej pracy mózgu. Pewnego wieczora wrócił zmęczony i głodny. Wyjął z kieszeni ćwiartkę jałowcówki, odbił ją, postawił na stole i powiedział:

- Śmierdząca sprawa.

- Co się stało? - zaniepokoił się Downar.

- Nie bój się. Nic się jeszcze takiego nie stało, ale milicja cholerycznie za tobą węszy. Możliwe, że będziesz musiał zmienić melinę.

- Może byłoby lepiej wyjechać na jakiś czas z Warszawy?

- Na razie nie. Możesz mi być potrzebny. W razie czego przerzucę cię do jednego kumpla na Gołławek.

- A przecież niedawno mówiłeś, że nie potrzebujesz bać się milicji?

Bolek wzruszył ramionami.

- Pewnie, że ja się tych wsiowych chamów nie boję. Ale kapujesz, Stefek, tobą zajmą się lepsze fachowcy, tacy z niuchem na sto dwa.

- To może od razu pryskać? Nie chciałbym cię narażać...

- Poczekajmy jeszcze chwilkę. Na pryskanie zawsze będzie czas - nalał wódkę i ukroił dwa duże kawały kielbasy. - Twoje zdrowie, Stefuś. Żeby nam się dobrze żyło.

- A o mercedesie nie masz żadnej wiadomości? - spytał Downar.

Malina zmrużył filuternie lewe oko.

- Może i będę miał. Ale jeszcze musisz trochę wziąć na wstrzymanie. Dwa, trzy dni.

Na tym rozmowa się skończyła. Malina zaraz po kolacji poszedł spać, a Downar, nie mając nic lepszego do roboty, także się położył. Nie mógł jednak zasnąć. Wiadomości, jakie przyniósł Bolek, zdenerwowały go. A jeżeli go nakryją? Powtórne aresztowanie musiałoby się skończyć dla niego tragicznie. Jakże mógł wytłumaczyć w sądzie swą ucieczkę, która była właściwie przyznaniem się do winy? Kto mu uwierzy, że chciał na własną rękę prowadzić śledztwo w sprawie zamordowania Jarzęckiej? Znajdą go w mieszkaniu niebezpiecznego włamywacza. Dobra kompania, nie ma co mówić. Widział już siebie w celi więziennej, w której może będzie musiał spędzić resztę swego życia. Przewracał się z boku na bok. Pot oblewał mu ciało. Nerwowo zwilżał językiem wyschnięte wargi. Nie, nie, nie pozwoli się zaskoczyć, choćby miał co parę dni zmieniać miejsce pobytu, choćby miał wyjechać na dłuższy czas z Warszawy i zrezygnować na razie ze znalezienia morderców Jarzęckiej. Kiedy sprawa jego ucieczki ucichnie, łatwiej mu będzie poruszać się po terenie. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę z tego, że czas pracuje na korzyść zbrodniarzy. Jeżeli dzisiaj można by wpaść na jakiś trop, to za miesiąc będzie to mało prawdopodobne, a za dwa zupełnie wykluczone. Przecież ci ludzie dobrze orientują się w sytuacji i nie będą czekać, aż on ich wyśledzi. Walczak na pewno w dalszym ciągu prowadzi śledztwo, ale czy mu się powiedzie? Sprawa była niesłychanie skomplikowana i kto wie, czy jej rozwiązanie nie przyjdzie dopiero po paru latach, a do tego czasu... Do tego czasu tak czy inaczej jego diabli wezmą. W końcu będzie się musiał zdecydować na to, żeby brać udział we włamaniach i kradzieżach. Musi z czegoś żyć. Ostatecznie nie może ciągle być na utrzymaniu Maliny. Kilka dni tak, ale nie kilka miesięcy. Miał wprowadzić na książeczkę PKO dwa tysiące złotych, ale to nie wystarczyłoby nawet na zapłacenie jesionki i ubrania. Żałował teraz, że puszczał

forsę i nie oszczędzał. Gdyby tak miał z dziesięć tysięcy, sytuacja jego wyglądałaby zupełnie inaczej.

Zapał w niespokojny, gorączkowy sen, przerywany co chwilę dręczącymi majaczeniami i głośnym chrapaniem Bolka.

Rano obudził się zupełnie rozbity. Bolała go głowa, miał dreszcze i z trudem poruszał wyschniętym na wiór językiem.

Malina spojrział niespokojnie na przyjaciela.

- O rany, Stefek, cóżes ty dzisiaj taki spiczniący? Wyglądasz jakbyś rzygał całą noc.

- Słuchaj, Bolek, a może lepiej będzie wiać? - powiedział Downar.

- O, widzę, że masz nielichą cykorię - zaśmiał się Malina. - Nie bój się, chłopie. Nie dam ci krzywdy zrobić. Na razie nic ci nie grozi, I uspokój się, bo jak się zaczniesz tak trząść jak galareta z nówek wieprzowych, to nic dobrego z tego nie będzie.

- Nie mogę tak tu gnić w beczyności - mruknął Downar.

- No dobra, dobra. Powiedziałem ci przecież, że jeszcze dwa, trzy dni musisz poczekać. Miej cierpliwość. Jak się później weźmiem za robotę, to nie nadążysz nogami przebierać. Na razie spokój. Możliwe, że dzisiaj na noc nie przyjdę - dodał zapinając spodnie. - Trzymaj się, Stefuś, i nie zrób jakiegoś głupstwa.

- Wychodzisz bez śniadania?

- Nie mam czasu. Przetrączę coś w „Zielonej” albo na Okopowej w „Młynowie”, bo właśnie idę w tamtą stronę.

- To kiedy wrócisz?

- Może jeszcze dzisiaj przed wieczorem albo jak nie, to jutro rano. Cześć.

Gdy Downar pozostał sam, przez chwilę wpatrywał się w błyszczącą poręcz łóżka, następnie zaś przewrócił się na brzuch i w zamyśleniu począł wyskubywać włosie z materaca. Nie wiedział, czy dobrze robi, że tak zupełnie bezkrytycznie zaufał Bolkowi i że nie przejawiał własnej inicjatywy. Wprawdzie był przekonany o dobrej woli Maliny, ale wiedział jednocześnie, że był on urodzonym optymistą i że zawsze wszystko wydawało mu się łatwe i proste. Czy rzeczywiście są jakieś realne szanse dowiedzenia się czegoś o czarnym mercedesie? Czy Bolek nie przecenia swoich kumpli i siebie samego? Ale właściwie w tej sytuacji nie było innego wyjścia, jak tylko czekać cierpliwie na rozwój wypadków. Bo cóż mógł działać na własną rękę?

Około dziewiątej przyszła jak zwykle Fela, żeby mu zrobić śniadanie. Przyjrzała mu się uważnie i spytała:

- Co ci jest, Stefan? Czemuś taki blady? Może jesteś chory? - w głosie jej zabrzmiała szczerą troska.

- Nie, nie - zaprzeczył żywo Downar. - Nic mi nie jest. Po prostu trochę źle spałem. To wszystko.

Usiadła przy nim na łóżku i położyła mu dłoń na czole.

- Biedaku - powiedziała czule.

Poruszył się niechętnie. Nie znosił niczyjego współczucia, a tym bardziej współczucia pięknej dziewczyny.

- Daj mi spokój - burknął opryskliwie - powiedziałem ci, że nic mi nie jest.

Pochyliła się i niespodziewanie pocałowała go mocno w usta.

- Chodź, Stefan, chodź... - szeptała, tuląc się do niego. - Nie bój się. Bolek nie wróci, aż w nocy. Zamknęłam drzwi na łańcuch. Chodź... - całowała go pośpiesznie, natarczywie.

Z trudem uwolnił się z jej objęć. Wyskoczył z łóżka i począł się ubierać. Pożądał tej dziewczyny. Czuł, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą. Nie mógł do tego dopuścić. Spytał zmienionym, schrypniętym głosem:

- Co cię napadło, Fela?

Siedziała na łóżku z podkurczonymi nogami. Patrzała na niego chmurnie. W jej rozszerzonych źrenicach widać było z trudem hamowany gniew.

- Nie podobam ci się?

Machnął niecierpliwie ręką.

- Nie o to chodzi, czy mi się podobasz, czy nie. Jesteś przyjaciółką Bolka i ja nie mogę tego zrobić. Chyba rozumiesz.

Zaśmiała się krótkim, złym śmiechem.

- Jeszcze takiego idioty nie widziałam! Kładę mu się do łóżka, a on mi o Bolku drętą mowę zakłada. A cóż to, Bolkowi ubędzie, czy jak? Ale jak nie chcesz, to nie trzeba. Są tacy, co się proszą - wsunęła nogi w pantofle i poprawiła włosy. - A śniadanie sam sobie zrób. Masz wszystko w kuchni.

Szła już do drzwi, gdy nagle zawróciła, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję..

- Bo ja się cholernie w tobie zakochałam, Stefan. Nie wyganiaj mnie. Chcę być z tobą. Jak ja się w kimsz zakocham, to na to nie ma rady. No, zgódź się. Nie męcz mnie.

Pogładził ją po włosach.

- Nie mogę, zrozum, że nie mogę tego zrobić. Jestem przyjacielem Bolka, korzystam z jego pomocy, z jego gościny. Jakżeby to wyglądało.

- Bolek wcale nie musi o tym wiedzieć. Odsunął ją od siebie.

- Nie, nie. Dajmy temu spokój.

- Pożałujesz - syknęła i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Downar podrapał się w głowę i poszedł do kuchni przyszykować sobie śniadanie.

Scena z Felą utwierdziła go jeszcze w przekonaniu, że powinien jak najprędzej wyprowadzić się od Maliny. Odrącona dziewczyna na pewno zechce się na nim mścić i nigdy nie wiadomo, jak będzie wyglądała ta zemsta. Wiedział, że kobieta urażona w swojej miłości własnej zdolna jest do wszystkiego.. Któż mógł mu zaręczyć, że Fela nie poleci do komisariatu, żeby go sypanąć? Postanowił doczekać się tylko powrotu Bolka i wyprowadzić się bez straty czasu. Słyszał przecież o jakiejś niezłej melinie na Gocławku. A jeżeli nie tam, to Bolek na pewno znajdzie mu inną kryjówkę. Nie może oczywiście mówić z nim na temat Feli, ale spróbuje go przekonać, że dalszy jego pobyt tutaj jest dla nich obu niebezpieczny. Był niespokojny. Tym chętniej ubrałby się i wyszedł na miasto. Opanował nerwy..

Około trzeciej Fela przyniosła mu w menażkach obiad. Była ponura i milcząca. Ani jednym słowem nie nawiązała do porannej sceny. Downar ograniczył się tylko do kilku zdawkowych słów. Czuł, że dziewczyna jest jeszcze bardzo wzburzona i to milczenie jest tylko maską, pod którą kryje się zawiedziona miłość i zraniona duma.

Obiad podany z nienawiścią ma gorzki smak. Zresztą Downar nie był głodny. Myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej minęła noc i żeby wrócił Bolek. Czekał na niego z taką niecierpliwością jak na ukochaną dziewczynę.

Ale Malina wrócił dopiero na drugi dzień po południu. Jego szeroka twarz, podobna do ogromnego, świeżo oskrobanego buraka, promieniała triumfem. Małe czarne oczka błyszczały wesoło. Na powitanie walnął Downara w plecy z taką siłą, że ten aż jęknął i zgiął się wpół.

- No, Stefuś... mamy mercedesa.

- Mówisz poważnie?

- A cóżeś ty myślał, że ja bym sobie z takich rzeczy śmichy chichy skutecznie? Jak mówię, że jest mercedes, to znaczy, że jest. Oczywiście nie wiem, czy to ten, o którego ci chodzi. Ale tak na niuch, to chyba ten.

Downar patrzył na niego wyczekująco.

- No, gadajże, co i jak. Nie męcz człowieka.

- Ano... niby nic takiego. Jak wiesz węższą już za tą maszyną od tygodnia, ale że sprawa bardzo trema, to nie mogłem gadać z byle kim. Dlatego szło wolno. Bo to diabli wiedzą, z którymi chłopakami te bandziory są w sitwie. Można się naciąć jak jasna cholera. Jakby wyniuchali, że im depczę po piętach, to koniec, ciemna mogiła. Więc ma się rozumieć, ostrożniutko, pomaluśku, że to niby nie o to chodzi. Rozumiesz, jak to trzeba? Tylko moich najpewniejszych kumpli na tę sprawę napuściłem. Przechodzi jeden dzień nic, drugi, trzeci też nic. Myślałem już, że wozu wcale nie ma w Warszawie, że go garażują w jakim innym mieście. Aż tu dzisiaj Wacek Duda, taki jeden szoferak, mówi mi, że wie, gdzie melinują czarnego mercedesa.

- No... gdzie... gdzie? - spytał zniecierpliwiony Downar.

- Gdzieś tam aż za Rakowcem, w okolicy Włodarzewskiej.

- Trzeba by koniecznie zobaczyć ten wóz. Malina uśmiechnął się.

- Wolnego, Stefek, wolnego. Wszystko się zrobi. Umówiłem się z Wackiem na wieczór. Będzie czekał ze swoją taksówką na Krochmalnej. Później pojedziemy na Rakowiec.

- No dobrze, a jak się dostaniemy do tego garażu? Malina zaczął się śmiać.

- Oj, Stefek, Stefek... Cóż ty sobie wyobrażasz, że ja głupiego garażu nie potrafię otworzyć?

- Ale tamci nie powinni się zorientować, że ktoś się włamał.

- Rozumie się. Nikt się nie zorientuje. Ze starym fachowcem idziesz i o takie rzeczy się martwisz? Obrażasz mnie, jak pragnę Boga.

Downar poklepał go po ramieniu.

- No, no, nie gniewaj się, Bolek. Wiem, że sobie dasz radę. To o której tam jedziemy?

- Tak, żeby nie było ani za wcześnie, ani za późno. Wacek będzie na nas czekał o wpół do jedenastej. Jak raz około jedenastej będziemy na miejscu. O tej porze na Grójeckiej jest jeszcze jaki taki ruch. Nikt nas specjalnie nie przyuważy.

- A przy tym garażu nikt nie nocuje?

- Wacek mówi, że nie. Ale to się sprawdzi. Robota jest delikatna. Wszystko musi być wykonane na medal. Inaczej leżem. Jeśli się okazało, że dzisiaj coś tam nieklawo, to pojedziem jutro albo pojutrze. Nie pali się. *Langsam, langsam aber sicher.*

- Będziesz co jadł? - spytał Downar.

- Nie. Przetrąciłem coś niecoś w „Rejonowej”. Nie jestem na razie głodny. Ale gdzież to Fela? Nie ma jej ani u Mańki, ani tutaj. Przecież kazałem, żeby cię pilnowała. Gdzie się szlaja ta kurwa?

- Nie wiem - mruknął Downar. - Mnie osobiście niepotrzebne jej towarzystwo.

Przyniosła mi obiad i poszła. Nie mówiła dokąd.

Malina spojrzał na niego uważnie.

- Słuchaj no, Stefek, czyście się wy nie pożarli?

- Ale skądże. Nic podobnego.

- Bo uważasz, Stefek, z Felą to nie tak łatwo. Z miejsca do oczu skacze. A pazury ma jak kot. Taka cięta cholera, że nie każdy dałby sobie z nią radę.

- A ty jesteś jej pewien? Malina zdziwił się.

- Jak to pewien? Że mnie nie lignie? Ale idźże. Feli wierzę jak samemu sobie. Prędzej by się dała zabić niżby słowo pisnęła jakiemu glinie.

- Nie o to mi chodzi. Pytałem, czy Fela cię nie zdradza.

Twarz Bolka poczerwieniała jeszcze bardziej. Śmiał się tak szczerze, że aż mu oczy zaszczyły łzami.

- Wiesz, Stefek, że ciebie się fajne kawały trzymają. Czy mnie Fela zdradza? Cha, cha, cha! A to dobry numer. Pokaż no mi na całej Woli takiego chojraka, który by się odważył zabrać mi dziewczynę. Nie chciałbym być w jego skórze. Nie, bracie, o Felę jestem spokojny. Żaden facet nawet nie spojrzy w jej stronę. Bolek Malina jeszcze tu coś znaczy.

Downar nie miał ochoty podtrzymywać tego tematu. Zapalił papierosa i zabrał się do przeglądania gazet, które Bolek przyniósł z miasta. Od czasu swej ucieczki z prokuratury bardzo uważnie czytał codzienne pisma, a szczególnie „Express”. Myślał, że coś będą pisać na jego temat, ale nie, nie znalazł nawet najmniejszej wzmianki o tej sprawie.

Czas włókł się w nieskończoność i Downar nie mógł doczekać się wieczora. Przeczytał gazety od deski do deski, wypalił paczkę papierosów, pograł z Bolkiem dla zabawy w oko i ciągle jeszcze było wcześniej. Zaczęli więc wspominać wspólne okupacyjne przygody, partyzanckie wypadki, ryzykowne dywersyjne imprezy, walki w czasie powstania, ciężkie chwile przeżyte na Woli, na Starówce i na Czerniakowie. Następnie Downar opowiedział o życiu w obozie i o swym powrocie z Niemiec.

Wreszcie nadeszła umówiona godzina. Bolek spojrzął na zegarek, wstał i podciągnął spodnie.

- No, Stefuś, idziem. Kładź jesionkę, berecik, a nie zapomnij o okularach. Wiesz, że ci nawet twarzowo z tym wąsikiem. Powinieneś go stale nosić. Kociaki będą za tobą szalały.

Wyszli. Malina zamknął starannie drzwi na zasuwę.

- Fela ma drugie klucze - mruknął. - Gdzie ta cholera może się włóczyć o tej porze? Już ja sobie z nią pogadam.

Gdy znaleźli się na ulicy, Bolek wziął Downara pod rękę.

- Chodź, Stefek, dobry czas na taki wypadzik.

Powietrze było zimne, wilgotne. Chłodna mgła przesłaniała i tak już słabe światło latarni. Miasto tonęło w mroku.

Zwrotniczą i Przyokopową doszli do Krochmalnej. Na rogu Wroniej zbliżył się do nich jakiś niewysoki szczupły mężczyzna o wąskiej, wydłużonej twarzy, ozdobionej małym wąsikiem

- Poznajcie się - powiedział Malina - to jest właśnie Wacek.

Downar uściśnął mocno żyłastą dłoń szofera. Bolek rozejrzał się i spytał:

- A gdzie twój wóz?

- Nie wziąłem go. Nie ma sensu. Muszę iść z wami, bo nie traficie. Nie mogę przecież taksówki zostawić na ulicy bez opieki. A zresztą, po co ma się kto przyglądać, że samochód stoi. Weźmiemy jakiś obcy wóz i dobra jest.

- Co racja to racja - przyznał Malina. - No to łapiemy taksówkę. Chodźcie na Towarową.

Zatrzymali granatową warszawę. Szofer przyjrzał im się podejrzliwie. Dowiedziawszy się zaś, że ma jechać na Rakowiec, potrząsnął głową.

- Dalej jak do Opaczewskiej nie jadę - powiedział stanowczo.

Malina otworzył drzwiczki i usiadł na tylnym siedzeniu.

- No to jedź pan do Opaczewskiej. Przejdziem się ten kawałek spacerkiem. Możesz się pan nie bać. Widzisz pan, że solidne ludzie jesteśmy, a nie żadne szczeniaki, co to taksówkarzy młotkiem w ciemność zaprawiają. Ale jakeś pan taki nerwowy, to stań pan na rogu Grójeckiej i Opaczewskiej. Siadaj, Stefek, tu koło mnie, a ty, Wacek, włącz z przodu.

Szofer nie odezwał się ani słowem i wóz ruszył. Niebawem minęli Dworzec Główny i wjechali w Górczewską. Taksówkarz kątem oka popatrywał na Wacka. Najwidoczniej zapewnienia Maliny niezupełnie trafiały mu do przekonania. Naciskał gaz, jakby jak najprędzej pragnął się pozbyć „solidnych ludzi”.

Zatrzymali się na rogu Opaczewskiej i Downar zapłacił za kurs.

- Cholernie cykoryjny facet - mruknął Bolek, gdy już taksówka odjechała pośpiesznie w kierunku placu Narutowicza. - No, chodźcie. Szkoda czasu.

- To jeszcze spory kawałek - zauważył Wacek.

- Lepiej się przejść. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Dopiero teraz Downar poczuł, że ogarnia go nerwowe podniecenie. Jaki będzie skutek tej wyprawy? Czy rzeczywiście ten kumpel Bolka znalazł czarnego mercedesa? Jak poznać, że to właśnie ten, o którego chodzi? Czy możliwe, żeby nikt nie pilnował garażu na takim odludziu? A jeżeli ktoś ich przy łapie na gorącym uczynku i dojdzie do bójki, a może nawet do strzelaniny?

Pociągnął Bolka za rękaw i spytał:

- Masz broń?

- Tylko bez nerw, Stefek. Mam majchra. Starczy... Na rogu Włodarzewskiej stał samotny piętrowy

dom. Wątle światło dobywało się z dawno nie mytych okien.

Skręcili w prawo koło błotnistych pól i rzadkich, kolczastych krzaków. Malina potknął się i o mało nie upadł.

- Cholera jasna! - zaklął głośno. - Co za pierońskie wertepy. Samego diabła można tu zamelinować, nie tylko samochód.

Wolno posuwali się w ciemnościach. Nogi grzęzły w głębokim, gęstym błocie. Mieli latarki, ale woleli nie robić z nich użytku. Bali się, że ktoś mógłby zwrócić na nich uwagę.

- Daleko jeszcze? - spytał Downar.

- Niedaleko. Kawalek - odparł Duda. - Tam, koło glinianek. Będziemy musieli zejść w bok z ulicy.

- Potopimy się w tym bloku - zamruczał Bolek. Ciemny, parterowy budynek był wpadnięty w ziemię. Zasłaniały go gałęzie niskich krzaków.

- To tu - szepnął Wacek i zatrzymał się., Przez chwilę nasłuchiwał w milczeniu. Cisza. Najlżejszy nawet odgłos nie dobiegł ich uszu. Żadnego światła, żadnego śladu czyjejs obecności. Miejsce wydawało się zupełnie bezludne.

Ostrożnie zbliżyli się do szerokich, żelaznych drzwi.

- Pilnujcie terenu - rozkazał Bolek. - Ty, Stefek, stawaj tutaj, kilka metrów od tej budy, a ty, Wacek, idź z drugiej strony. Kapujcie. W razie czego gwizdać, tylko niegłośno.

Zdjął jesionkę, narzucił ją sobie na głowę i podszedłszy blisko do drzwi oświetlił latarką zamek. Następnie wyjął z kieszeni swe narzędzia. Przez dobre pół godziny pracował w skupieniu, klnąc cicho i mrużąc coś pod nosem. Wreszcie zamek ustąpił. Malina szarpnął drzwi i gwizdnął. Downar i Wacek podbiegli do niego.

- Gotowe. Chodźcie, chłopaki.

Blask latarki oświetlił wnętrze garażu. Na betonowej podłodze stał ogromny, czarny samochód. Bolek gwizdnął z uznaniem.

- O psia mać, ale wózek.

Wacek Duda pieszczotliwie pogłaskał lśniąca karoserię.

- Mercedes 300, sześć cylindrów. Takim pociągniesz ponad dwieście.

- No - powiedział Malina - obejrzyj sobie, Stefuś, wóz i splywamy. Nie ma co tu za długo, marudzić. Czego ty właściwie chcesz się dowiedzieć?

- Trzeba by się przekonać, czy nie ma tu jakichś skrytek do przewożenia towaru.

- Od tego Duda jest fachowiec. Dalej Wacuś, przyjrzyj się maszynie.

Wacek otworzył bagażnik i począł w nim szperać. Downar zaś z latarką w rękę oglądał uważnie Wnętrze wozu. Na tylnym siedzeniu w górze znalazł małą rdzawą plamkę. Czyżby to był ślad po inżynierowej Jarzęckiej?

- No dalej, dalej, uwijajcie się, chłopaki - przynaglał Bolek.

Po dokładnych oględzinach okazało się, że w mercedesie znajduje się pod tylnym siedzeniem dobrze zamaskowana skrytka, którą mógł wykryć tylko ktoś znający się na rzeczy. Można też było przewozić towar w specjalnie do tego przystosowanej karoserii. Nie było wątpliwości. Samochód należał do jakiejś bandy przemytniczej.

- Znalazłem także i to - powiedział Duda, podając Downarowi płaskie tekturowe pudełko, zawierające miękką, delikatną bibułkę.

- W takim czymś dobrze przewozić złote doxy albo cymy - uśmiechnął się Malina. - No, Stefuś, tak mi się widzi, że znaleźliśmy to, czegośmy szukali. A teraz, chłopaki, przyskamy.

W tej chwili Duda pochwycił go za rękę.

- Słyszysz?

Bolek zgasił latarkę i skoczył do drzwi. Kroki po błocie słychać było zupełnie wyraźnie. Znieruchomieli. Nim zdążyli pomyśleć o jakiejś kryjówce, mocne światło latarki padło na poblądłe twarze Downara i Dudy. Rozległ się twardy, rozkazujący głos.

- Ręce do góry!

Wtedy Bolek podniósł swą ogromną, podobną do bochenka chleba pięść i uderzył. Tamten, nie wydawszy nawet jęku, upadł na betonową podłogę.

Duda zaświecił mu latarką w twarz.

- Ależ to Karolak!

- Jaki Karolak?

- No, len szofer z kolei. Tadek Karolak.

- Kumpel tego skurwysyna Wojtasiaka?

- Ten sam.

- Czekaj no! - zawołał podniecony Downar. - O jakim ty Wojtasiaku mówisz?

Malina wzruszył niechętnie ramionami.

- Taki jeden szoferak. Kawał drania.

- Czy on mieszka na Grochowie?

- Tak. A ty skąd wiesz?

Ogłuszony Karolak poruszył się. Bolek niespokojnie spojrzał w jego kierunku.

- Co my z nim zrobimy? Nie mogę przecież stać nad nim przez całą noc i walić go w łeb. Spać mi się chce, do cholery.

- Trzeba go stąd zabrać - powiedział Downar. Malina podrapał się za uchem.

- Ale jak? Wywlecemy go na ulicę, to nam gotów krzyku narobić. Słuchaj no, Wacek, ty zdaje się gdzieś tu niedaleko garażujesz taksówkę?

- Na Radomskiej.

- No to właśnie. Ganiaj na Radomską i przyjeżdżaj tu wozem. Jak nie będziesz mógł dojechać po tern błocie, to stanij gdzie z boku. Przeniesie się tego lebiegę. Na razie trzeba go związać. Dawajcie paski od portek.

Duda wybiegł. Bolek zaś przy pomocy Downara skrępował starannie nieruchomego Karolaka. Następnie wyjął z kieszeni brudną chustkę, wsunął mu ją między zęby i powiedział:

- No, klawo jest. Teraz może się przecknąć, jak ma ochotę.

Po upływie godzinny wrócił Duda. Był spocony i zziębnięty.

- Jest wóz! Chodźcie.

Malina wyjął z kieszeni Karolaka klucze od garażu i dał je Downarowi.

- Zamknij porządnie drzwi - powiedział. Wziął na plecy bez zadnego wysiłku nieprzytomnego szofera i poczłapał po błocie.

Taksówka stała na Włodarzewskiej. Downar usiadł koło Dudy. Bolek wepchnął Karolaka na tylne siedzenie i ulokował się przy nim. Ruszyli.

Na placu Narutowicza zatrzymał ich milicjant. Downar zdrętwiał. Jeżeli wynikną jakieś komplikacje z prawem jazdy Dudy, to wszystko przepadło.

Na szczęście Wacek miał papiery w porządku. Milicjant oddał mu dokumenty i spytał, wskazując na nieruchomego Karolaka:

- A kogo to tak wieziecie?

- Koleżka sobie trochę podchromolił - powiedział Malina. - Do domu go wieziem. Słabą chłopina ma głowę. Mięczak, można powiedzieć.

- No to jedźcie i uważajcie, żeby jakiej rozróbki nie było.

- Spokojna czaszka, panie władzo. Szanowanie. Kiedy znowu ruszyli, Bolek poprawił się na siedzeniu i mruknął:

- Cholera. Jeszcze by tego brakowało, żeby nas teraz jakie glinoszczaki przykaraulili. Jadź, Wacuś. Gazu!

- A gdzie jedziemy? - spytał Duda.

- Do mnie, na Brylowską. Wrzuciem na razie tego miglanca do piwnicy, a potem się zobaczy.

- A może dać mu cegłą po głowie i zostawić gdzie w ruinach? - zaproponował Duda.

- Ale skąd! Przyda nam się jeszcze. Jak go dobrze przyciśnięm, to będzie musiał puścić farbę.

- Oczywiście - przytaknął Downar. Niebawem zajechali na miejsce. Ponieważ Karolak zaczął odzyskiwać przytomność, Malina trzasnął go w szczękę, zarzucił sobie bezwładne ciało na plecy i ostrożnie zszedł do piwnicy. Gdy wrócił, Wacka z taksówką już nie było. Downar czekał na niego w bramie.

- No, dobra jest. Facet zamknięty, ani się ruszy. Jutro z nim się pogada. Na razie idziem spać. Skonany jestem. Aha, masz tu, Stefek, spluwę tego Karolaka. Może ci się przydać - sięgnął do kieszeni i wyjął duży, ciężki pistolet.

- Colt! - wykrzyknął Downar. - Colt 11,43! W przystępie radości uścisnął przyjaciela.

Weszli na górę. Bolek sięgnął do kieszeni i poszukał

kluczy. Kiedy otworzył drzwi, zaklął nagle głośno.

- Cholera jasna, psiakrew. Fela znowu zapomniała zamknąć na zasuwę. Skuję mordę tej dziwce.

Szczęknął zatrzaszk i znaleźli się w ciemnym pokoju. I wtedy Downar wyczuł instynktownie czyjaś obecność. Ogarnęło go przerażenie. Chciał się cofnąć, ale było już za późno. Bolek przekreślił kontakt. Zabłyśło światło.

Przy stole z rewolwerem w rękę siedział Walczak.

VIII. Dziwna rozmowa

W pierwszym odruchu Downar rzucił się do drzwi, a Malina chciał sięgnąć do kieszeni.

- Stać! Ręce do góry!

Natychmiast wykonali rozkaz. Walczak nie wyglądał w tej chwili na człowieka, który żartuje. Podeszedł do nich z tyłu, obmacał kieszenie i wyjął broń. Cisnął pistolet na łóżko. Następnie pchnął ich ku przeciwnej stronie stołu i powiedział:

- Siadajcie.

Usiedli, ciągle trzymając ręce wzniesione ku górze.

Downar nigdy jeszcze nie widział tyle zdecydowania w twarzy przyjaciela. Nie miał wątpliwości co do tego, że przy każdym nieostrożnym ruchu z wymierzonego w nich pistoletu posypią się kule. Czuł, że mu strasznie wyschło w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

- Jakżeś mnie znalazł? - spytał.

Po zaciśniętych wargach Walczaka przesunął się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- A cóżeś ty sobie wyobrażał, że ja cię w Warszawie nie znajdę? Nietrudno się było domyślić, że nie będziesz paradował po mieście w swojej nowej jesionce. Dostałem wiadomość od jednego z wywiadowców, że na Woli wysoki, tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy kupił granatową jesionkę i brązowy garnitur w prążki. Twój przyjaciel Malina jest na tutejszym terenie dość znaną osobistością. W ósmym komisariacie od razu mi powiedzieli, o kogo może chodzić. Wysoki, barczysty, twarz czerwona.

- Cholera - mruknął Bolek. - W tej Polsce Ludowej nawet nie może człowiek dobrze wyglądać.

Downar pokręcił głową z niedowierzaniem. - To ty od dawna już wiesz, gdzie ja jestem?

- Oczywiście.

- To dlaczego mnie nie aresztowałeś? Walczak wzruszył ramionami.

- A po cóż miałem się śpieszyć? Przecież wiedziałem, że mi nie uciekniesz. Byłem zajęty czym innym.

- I dzisiaj zdecydowałeś się przyjść po mnie?

- Właśnie. Postanowiłem cię odwiedzić.

- Jakżeś tu wszedł? Kto cię wpuścił do mieszkania?

- Masz krótką pamięć, Stefan. Zapomniałeś, że w czasie okupacji siedziałem we Lwowie ze znanym włamywaczem. Poduczyłem się od niego coś niecoś. Przecież ci kiedyś opowiadałem.

- Ach, to dlatego zasuwa była nie zamknięta - wtrącił się Bolek. - Myślałem, że to Fela zapomniała.

- Powinniście sobie zmienić zamki, Malina. Są bardzo kiepskie.

- Mam prośbę do pana komisarza.

- O co chodzi?

- Czy mógłbym już opuścić ręce, bo mnie cholernie ścierpli. Jak pragnę Boga, nie mam już nic w kieszeni.

- Dobrze - zgodził się Walczak - możecie opuścić ręce.

Downar poruszył się nerwowo.

- Na co czekamy? Zakładaj mi kajdanki i prowadź na dół do wozu. Twój ludzie już na pewno porządnie zmarzli.

- Nie mam żadnych ludzi. Przyjechałem sam.

- Sam? - zainteresował się Malina. Downar spojrzał zdziwiony.

- Nie wiedziałem, żeś taki ryzykant. A jakbym ci stawił opór, to co?

- Nie stawisz mi oporu, bo ja nie mam najmniejszego zamiaru zabierać cię stąd. Widzę przecież, że jesteś pod dobrą opieką.

- Nie rozumiem. Więc po co tu przyszedłeś? Walczak uśmiechnął się.

- Po prostu chciałem odwiedzić przyjaciela, a poza tym chciałem ci oddać twojego visa. Myślałem, że może ci się przydać - wyciągnął rękę i podał Downarowi pistolet.

Na czerwonej twarzy Maliny odmalowało się zdumienie. Zamrugnął nerwowo oczami.

- Więc pan komisarz nie zabierze Stefana do młyna? - spytał niedowierzająco.

- Nie. A bo mu tu źle?

- Faktycznie owszem. Niczego mu się powodzi.

Zjeść co ma. Wyśpi się. Życie nie umierać. Myślałem tylko, że... no... tego...

Downar niezdecydowanie spoglądał to na Walczaka, to na pistolet.

- Naprawdę chcesz mi oddać tego visa i nie aresztujesz mnie?

- Nie. A cóż się tak dziwisz?

- No bo... właściwie... nie bardzo rozumiem...

- Niepotrzebny ci pistolet? Downar zmrużył oczy.

- Właściwie to nie bardzo. Mam teraz niezłą maszynę. Colt, jedenastka... Wiesz, ten sam, z którego została zabita inżynierowa Jarzęcka - dodał niedbale.

Walczak poderwał się ze swego miejsca.

- Jak to ten sam? Gdzie masz ten pistolet?

- Leży tam za tobą. Rzuciłeś go na łóżko. Walczak odwrócił się błyskawicznie i pochwycił

colta. Przez chwilę oglądał go uważnie.

- Tak, tak, rzeczywiście colt, jedenastka. Mamy kulę, od której zginęła Jarzęcka. Myślę, że będzie można ustalić, czy... Ale, ale. Skąd ty właściwie masz ten pistolet?

- Dostałem go w prezencie od pewnego młodego człowieka - uśmiechnął się Downar. - A jeżeli cię to interesuje, to niedawno oglądałem czarnego mercedesa, którym jakoby przewiozłem zwłoki Jarzęckiej do Zakopanego.

- Mówisz poważnie?

- Najzupełniej. Widzisz, ty szukałeś mnie, a tymczasem mój przyjaciel, obecny tu Bolek Malina, szukał mercedesa i znalazł go. Właśnie wróciliśmy z garażu i zastaliśmy ciebie. Nie spodziewaliśmy się, że nam złożysz wizytę o tak późnej porze.

- Skąd wiesz, że to właśnie ten mercedes? - spytał Walczak.

- Przede wszystkim znakomity wóz. Mercedes 300. Sześć cylindrów. Potężna maszyna. Cała nasza milicja może go ganiać na swoich warszawach do końca świata. Poza tym ma skrytkę pod tylnym siedzeniem i karoserię przystosowaną do chowania towaru. Na tylnym siedzeniu znalazłem ślad krwi. Możliwe, że to krew Jarzęckiej.

- Nic żeś mi nie mówił - wtrącił się Malina.

- Nie było czasu.

Walczak zapalił papierosa, wstał i przeszedł się po pokoju. Widać było, że jest podniecony. Zatrzymał się przed Downarem i powiedział:

- To są rewelacyjne wiadomości, zupełnie rewelacyjne. Musisz mi opowiedzieć dokładnie.

- Dobrze - zgodził się Downar. - Posłuchaj.

- A może by pan komisarz coś przekąsił? - zaproponował Bolek.

- Nie, nie. Mówcie, jak jest z tym mercedesem. To bardzo ważne.

Downar opowiedział o ich wyprawie ze wszystkimi szczegółami, nie zapominając o Karolaku w zamkniętej piwnicy.

Gdy skończył, Walczak pomyślał chwilę, zgasił papierosa i znowu zaczął oglądać colta.

- O tym drabie w piwnicy nic nie chcę wiedzieć.

Rozumiecie? Nic na ten temat nie słyszałem. Mam wrażenie, że przy pomocy twego przyjaciela prędzej zachęcisz go do szczerych zwierzeń aniżeli ja w komendzie. Ale to już jest twoja sprawa.

- Pan komisarz będzie spokojny - odezwał się Malina. - Załatwi się.

Walczak pokiwał głową.

- Ja się do tego nie wtrącam. Zostawiam wam wolną rękę. A tę maszynę zabieram ze sobą - wsunął colta do kieszeni i spojrzał na Downara. - Musimy się teraz zastanowić, co zrobić z tobą. Jak to wszystko ustawić.

- Myślę, że mogę chyba spokojnie wrócić do mojego mieszkania - powiedział Downar.

- Czarnego mercedesa masz, bandziora masz, narzędzie zbrodni masz. Czego więcej trzeba? Załatwisz chyba z prokuratorem, żeby cofnął nakaz aresztowania?...

- Hm - Walczak w zamyśleniu potarł wierzchem dłoni policzek, na którym widać już było szeroką smugę ciemnego zarostu. - Nie chodzi w tej chwili o prokuratora. Musimy pokombinować, jak całą bandę wymacać. Trzeba stworzyć jakiś plan działania. Warto przecież wykorzystać tę sytuację. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli jeszcze przez kilka dni zostaniesz tutaj. Możesz się oczywiście swobodnie poruszać po mieście. Nikt cię nie będzie łapał, ale wolałbym, żebyś jeszcze oficjalnie nie wracał do komendy i do swego mieszkania. Przychodzi mi w tej chwili pewna myśl do głowy. Masz w ręku klucz od garażu i tego szofera w piwnicy. Hm... A jakby ci się tak udało skontaktować bezpośrednio z bandą?

- To zależy od tego, czego się zdołamy dowiedzieć od Karolaka.

- No tak, oczywiście. Karolak ma jakieś powiązania z Wojtasiakiem i jego żoną, która, jak wiesz, jest siostrą gospodyni Jarzęckich. Czyby się tego jakoś nie dało wykorzystać? Musimy nad tym pomyśleć. Bo widzisz jest taka sprawa, że...

- Czekaj, czekaj! - przerwał mu Downar. - A jakbym ja wziął klucz od garażu, pojechał na Grochów do tego Wojtasiaka i powiedział, że Karolak musiał nagle likwidować się z terenu i że mnie dał klucz, żebym go zastąpił?

Malina potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Nie, Stefuś, to jest *kein Gescheft*. Takie bandziory to są lepsze cwaniaki. Nie uwierzą ci, żeś ty taki szczerzy kumpel Karolaka. Dostaniesz majchrem pod zebro albo gazurką w ciemnię, zakopią gdzie w piwnicy i cześć. Ja bym ci nie radził na takie numery się puszczać.

- Tak, tak - przytaknął Walczak. - To bardzo ryzykowna impreza. Od razu zaczęliby cię podejrzewać. A ty nie jesteś najlepszym aktorem. Łatwo się czymś zdradzisz.

- No dobrze, ale musicie zrozumieć, że nagle zniknięcie Karolaka bardzo zaniepokoi tamtych. Od razu zabiorą wóz z Włodarzewskiej i przerzucą go w inne miejsce. Być może, że będą chcieli zaraz pryskać za granicę.

- Czy nie znalazłeś w tym mercedesie jakiegoś ładunku, na przykład sztab srebra? - spytał Walczak.

- Nie.

- To znaczy, że mamy jeszcze trochę czasu. Zanim się zorientują, że z Karolakiem coś nie w porządku, przejdzie parę dni. Przecież nie muszą być z nim w stałym kontakcie.

- Ale trzeba się śpieszyć.

- Oczywiście. Ale, ale, byłbym zapomniał. Przecież przyniosłem coś dla ciebie - Walczak wyjął z kieszeni jakieś dokumenty i podał je Downarowi.

- Co to takiego?

- Dowód osobisty na nazwisko Henryka Białeckiego i prawo jazdy. Idąc tutaj miałem pewien plan. Obecnie oczywiście wszystko musi ulec zmianie. Ale te dokumenty schowaj. Mogą ci się przydać.

- Pan komisarz pomyślał o wszystkim - powiedział z uznaniem Malina.

Downar przyjrzał się swojej fotografii w dowodzie osobistym. Uśmiechnął się.

- Będę musiał zgolić wąsy. Ten Białeckie nie nosi żadnego zarostu.

- Czy Karolak cię zna? - spytał Walczak.

- Widział mnie przez chwilę w garażu. Zaświecił mi w twarz latarką.

- Myślisz, żeby cię poznał, jak zdejmiesz okulary i zgolisz wąsy?

- Chyba nie. Ale to trudno powiedzieć.

- Ale Dudę pozna, bo to jego znajomy - wtrącił się Bolek.

Walczak spojrzął na zegarek.

- Późno, psiakrew - mruknął. - Trzeba się zbierać. Więc słuchajcie. Mnie się zdaje, że Karolak nie powinien się domyślać, że to włamanie do garażu i napad na niego ma jakiś związek z akcją milicji. Musicie utwierdzić go w tym przekonaniu, że włamaliście się do garażu w celach rabunkowych, że nie wiecie nic o sprawie Jarzęckiej i o poruczniku Downarze.

- Pan komisarz myśli, że ten fetniak w to uwierzy? - spytał sceptycznie Malina.

- Nie wiem. Może i nie uwierzy, ale trzeba spróbować. Albo coś się od niego dowiedzie, albo trzeba go będzie wypuścić z tej piwnicy i mieć go na oku. Sam nas zaprowadzi na trop. Uważajcie tylko, żeby wam się nie wymknął.

Malina roześmiał się szeroko.

- Nie ma strachu, panie komisarzu. Zamknięty na taką kłódkę, że lepszej nie znajdzie pan na całej Woli. Muszę być ostrożny, bo nieraz w piwnicy mam jakiś towarek. To znaczy... że tego... że muszę uważać, żeby mi kto węgla nie ukradł - poprawił się pośpiesznie.

- A może zajrzemy do tej piwnicy? - zaproponował Walczak.

- Można. Czemu nie. Zaniosę temu oprychowi kawałek chleba z kiełbasą, żeby nam nie umarł z głodu.

Malina zawiąnął w gazetę zapasy żywności, wsunął do kieszeni nóż i wszyscy trzej wyszli.

Na schodach Downar wziął przyjaciela pod rękę.

- Powiedz mi, Karol, czy to nie dziewczyna mnie sypnęła?

- Nic podobnego. Co ci do głowy przychodzi?

- Miałem pewne podejrzenie. To dobrze, że nie ona.

Gdy znaleźli się w piwnicy, Malina wyjął latarkę. Promień mocnego światła przeciął ciemności. Nagle Bolek zaklął głośno i skoczył naprzód. Downar i Walczak z pistoletami gotowymi do strzału ruszyli za nim.

Skoble były wyrwane, drzwi otwarte, Karolaka ani śladu.

Przez chwilę trwali w milczeniu, patrząc na pustą piwnicę.

Pierwszy odezwał się Walczak.

- Nie mamy co tu robić. Musimy natychmiast jechać do tego garażu na Włodarzewską. Chodźcie!

Downar dopiero na ulicy odzyskał mowę.

- Do jasnej cholery, gdzie my teraz znajdziemy taksówkę!

Walczak pociągnął go w kierunku Kolejowej.

- Prędeż, prędeż! Zostawiłem tu za rogiem warszawę.

Biegli, ile sił w nogach. Zdyszani skręcili w Sławińską. Walczak przystanął i rozejrzał się. Był wyraźnie zaskoczony.

- No, gdzie ten wóz? - spytał Malina. Walczak wzruszył ramionami i otarł pot z czoła.

- Zabrali go razem z Karolakiem. Niech to wszyscy diabli!

- Gdzieżeś go postawił? - spytał nerwowo Downar. - Może pomyliłeś ulice?

- Ale skąd. Postawiłem warszawę tutaj na samym rogu.

- Nie wzięłeś kierowcy?

- Ze względu na ciebie wolałem przyjechać sam.

- I zamknąłeś wóz?

- Oczywiście. Malina zaczął się śmiać.

- A to cwaniaki! Niech ich jasny piorun spali. Odbili Karolaka i rąbnęli milicyjny wóz.

Cholery można dostać.

- Chodźmy, chodźmy! - przynaglał Walczak. - Bo nam gotowi sprzed nosa sprzątnąć tego mercedesa. Prędeż..

Zawrócili do Brylowskiej i pognali ciemną ulicą. Pierwszy biegł Downar. Za nim ciężkimi krokami sadył Malina. Walczak nie mógł nadążyć. Sapał i z trudem łapał powietrze.

Dopiero na Kasprzaka, koło Młynarskiej, znaleźli wolną taksówkę. Szofer spał. Gdy go obudzili i powiedzieli, że chcą jechać na Rakowiec, na Włodarzewską, potrząsnął przecząco głową. Dopiero służbowa legitymacja Walczaka zmusiła go do posłuszeństwa.

- A może zajedziemy do komendy miasta? - zaproponował Downar.

Walczak machnął niecierpliwie ręką.

- Nie mamy chwili do stracenia. Szkoda czasu. Ostatecznie jest nas trzech, mamy broń. Damy sobie radę.

- Musowo - przytaknął Bolek.

Jechali w ponurym milczeniu. Bo i o czym mogli mówić? Tamci zadrwili z nich bezlitośnie. Dali się podejść jak małe, niedoświadczone dzieci. Podczas gdy oni sobie najspokojniej rozmawiali, snuli rozmaite plany, radzili nad losem Karolaka, byli pewni sukcesu... nieznani sprawcy nie tylko uwolnili Karolaka, ale jeszcze ukradli służbowy samochód.

Zatrzymali się na rogu Włodarzewskiej.

- Zaczekajcie tu na nas - rozkazał Walczak.

- Nie mogę, panie władzo, jak pragnę Boga, nie mogę - jęknął szofer.

Walczak spojrział mu uważnie w oczy.

- Zapisałem wasz numer - powiedział z naciskiem. - Jeżeli wrócę, a was tu nie będzie, staniecie przed sądem i straciecie prawo jazdy. Zrozumiano?

Szofer skinął głową. Wiedział, że dalsze dyskusje nie przydadzą się na nic.

I znowu brnęli po błocie. Malina sapał jak maszyna parowa. Walczak kłął cicho i od czasu do czasu przystawał, żeby odpocząć.

Kiedy już zbliżali się do garażu, Bolek zwolnił kroku i objął komendę.

- Przyszykować spluwy - szepnął - i rozproszyć się. Ty, Stefek, idź od frontu, tylko uważnie. A my z panem komisarzem zajdziemy z boków. W razie jakby zaczęli strzelać, padaj w błoto i siedź cicho. Nie ruszaj cyngla, dopóki ich nie zobaczysz. Strzelamy tylko na pewniaka.

- Dobra.

Ostrożnie skradali się w kierunku ciemniejszego w mroku budynku. Każdy nieostrożny krok mógł przedwcześnie zdradzić ich obecność. Jeżeli tamci są w garażu - i usłyszą, że ktoś się zbliża, to wsiądą do wozu i uciekną. Nikt im nie przeszkodzi. Strzelanie w takich ciemnościach do pędzącego samochodu nie miało właściwie żadnego sensu. Chyba przypadek...

Kontury garażu stawały się coraz wyraźniejsze. Wewnątrz nikt się nie poruszył. Nie błysnęło żadne światło? Czyżby?...

Jeszcze tylko kilka kroków i dotknęli rękami wilgotnego muru. Nadeszła decydująca chwila. Jeżeli są wewnątrz, to zaraz zaczną strzelać.

Malina, nie zachowując już żadnych środków ostrożności, podszedł blisko i dotknął zamków, które niedawno otwierał. Nie były zamknięte. Szarpnął więc silnie drzwi i odskoczył pod mur. Cisza. Czekali. Żaden szmer nie doszedł ich uszu. Po paru minutach Bolek z latarką podsunął się do wielkiego, czarnego otworu. Zabłyśło światło.

Garaż był pusty. Sześciocyldrowy mercedes zniknął.

IX. Kapitan Walczak działa

Walczaka nie zdziwiła wiadomość o wyłowieniu z Wisły pod Krakowem trupa Jarzęckiego. Od dawna właściwie był przekonany, że tajemnicze zniknięcie inżyniera oznaczało zbrodnię. Telefoniczna rozmowa z Borowiczem potwierdziła tylko te przypuszczenia. Jak wykazała sekcja zwłok, Jarzęcki został zastrzelony z pistoletu dużego kalibru. Morderca strzelał z niewielkiej odległości w tył głowy. W ten sam sposób zginęła Jarzęcka i porucznik Chruściak, którego zastrzelono przed rokiem w garażach dyrekcji kolei. Wszystko wskazywało na to, że w tych trzech wypadkach mordercą był ten sam człowiek.

Teczka z aktami sprawy Krystyny Jarzęckiej pęczniała niemal z każdym dniem, ale wszystkie te skrzętnie zbierane materiały ciągle jeszcze rzucały bardzo słabe światło na tajemniczą zbrodnię. Możliwe, że mordercą był Tadeusz Karolak. Znalaziono przy nim colta, kaliber jedenaście; miał coś wspólnego z czarnym mercedesem. Natychmiast po zniknięciu szofera i tajemniczego samochodu milicja przeprowadziła dokładne badania w garażu. Na starym kanistrze znalaziono odciski palców Karolaka, co nietrudno było stwierdzić w kartotece dowodów osobistych. Ale jeżeli ten jakiś Karolak dokonał tych wszystkich zbrodni, to jeszcze nie rozwiązywało zagadki. Przede wszystkim należało ustalić związek pomiędzy poszczególnymi faktami, a to nie było takie proste. Walczakowi brakowało wielu zasadniczych ogniw, koniecznych do rozszyfrowania sprawy. Przede wszystkim trzeba było wytropić Karolaka i odzyskać skradzioną warszawę. Strata służbowego wozu nie dawała mu spokoju.

Ktoś zastukał do drzwi.

Walczak podniósł oczy znad papierów.

- Wejść.

Okrągła twarz Kobieli promieniała radością życia.

- No i cóż tam, poruczniku? Byliście może na Grochowie?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. Właśnie stamtąd przyjechałem.

- Przywieźliście Wojtasiaka?

- Nie. Nie zastałem go w domu. Rozmawiałem tylko z jego żoną. Powiedziała mi, że mąż pojechał z jakimś pasażerem do Białegostoku.

- Tó było do przewidzenia - mruknął Walczak. - Obawiam się, że nieprędko będziemy mieli okazję porozmawiać z Wojtasiakiem.

- Myślicie, towarzyszu kapitanie, że uciekł?

- Nie mam co do tego wątpliwości. Po tej historii z Karolakiem na pewno woli się nam nie pokazywać.

- Może by przesłuchać jego żonę?

- Trzeba będzie to zrobić, ale trochę później. Na razie będziemy ją mieli pod ścisłą obserwacją. Ale, ale... nie słyszeliście nic o tej warszawie?.

- Ależ ze mnie gapa! - wykrzyknął Kobiela. - Naturalnie, że słyszałem. Miałem właśnie wam powiedzieć, towarzyszu kapitanie. Warszawę znalazł patrol na Towarowej, koło Dworca Głównego. Nic jej się nie stało. Wszystko w porządku.

Walczak uśmiechnął się z zadowoleniem. W gruncie rzeczy bardzo się przejął kradzieżą wozu, który tak lekkomyślnie zostawił bez opieki na ulicy, i to jeszcze do tego na Sławińskiej.

- To bardzo dobrze. Czy przeszukano wóz?

- Tak. Nic specjalnego nie znaleziono.

- A jakżeście załatwili z tym kasjerem?

- Czeka, towarzyszu kapitanie. Wracając z Grochowa zajechałem do banku i przywiozłem tego staruszka.

- Dawajcie go tu.

Po chwili łysa głowa błysnęła przed biurkiem Walczaka.

- Proszę, niech pan spocznie.

Krygier usiadł niechętnie. W jego zachowaniu się można było wyczuć rozdrażnienie.

- Co to właściwie wszystko znaczy? Dlaczego odrywacie mnie od pracy? Co to za metody? Ja złożę zażalenie do ministra. Milicja nie ma prawa postępować w ten sposób. Już pan przecież niedawno był w banku. Udzieliłem panu wszystkich wyjaśnień. Nie mam nic więcej w tej sprawie do powiedzenia. Jestem oburzony! Złożę skargę. Będzie pan pociągnięty do odpowiedzialności. Nie wolno w ten sposób niepokoić uczciwego obywatela!

Walczak słuchał w milczeniu. Wolno wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił i korzystając z chwilowej przerwy powiedział:

- Niepotrzebnie się pan tak unosi. Może pan oczywiście składać na mnie skargę, jeżeli pan ma ochotę. Zapewniam pana jednak, że bez ważnych powodów nie fatygowałbym pana.

- Bardzo jestem ciekaw, jakie to są te ważne powody...

Walczak przyjrzał się swemu papierosowi, strzepnął popiół, a następnie przeniósł spojrzenie na zaczerwienioną z gniewu twarz kasjera.

- To jest bardzo nieprzyjemna sprawa. Przykro mi, ale mam wrażenie, że będziemy musieli pana aresztować.

- Aresztować?! Mnie?! Ależ to jest coś niesłychanego! Nie macie żadnych podstaw!

- Czy pan sądzi, że rozmawialibyśmy w tej chwili na ten temat, gdybym nie miał do tego podstaw? Proponuję, żeby się pan przestał oburzać i żeby pan spokojnie wysłuchał tego, co panu mam do powiedzenia. Co pan na to?

Krygier nerwowym ruchem poprawił okulary.

- Więc o cóż to właściwie chodzi? Słucham. Walczak otworzył teczkę z aktami i zaczął w niej

czegoś szukać. Wreszcie wyjął jakieś protokoły, poznaczone gęsto czerwonym ołówkiem, i uderzył w nie dłonią.

- Czy pan wie, o co jest podejrzany?

To jest jakieś bezsensowne nieporozumienie - powiedział Krygier. - Nie mam pojęcia, o co chodzi. Walczak uśmiechnął się uprzejmie.

- Chwileczkę cierpliwości. Zaraz pan będzie miał pojęcie. A więc jest pan podejrzany o należenie do bandy przemytniczej lub, ściślej mówiąc, o współpracę z tą bandą.

Kasjer zbladł gwałtownie i poderwał się z miejsca. Ręce mu drżały, gdy próbował wykonać jakiś gest protestujący.

- Ależ to oszczerstwo! Ja nie pozwolę się obrażać! Jak pan śmie? Jestem uczciwym człowiekiem! Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Ja złożę skargę na postępowanie milicji.

- Mówiłem już, że skarg pan może składać tyle, ile się panu żywnie podoba - głos Walczaka był ciągle spokojny, ale można było już w nim wyczuć nutę pewnego zniecierpliwienia. - Niech pan siada spokojnie i niech pan posłucha, bo w ten sposób nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Proszę mi wierzyć, że pragnę panu pójść na rękę. Wcale mi nie zależy na tym, żeby pana zamykać w więzieniu.

- Jagnie mam nic wspólnego z żadną bandą - mruknął Krygier.

Walczak zapalił nowego papierosa, odczekał chwilę i powiedział:

- W czerwcu zeszłego roku zmienił pan u siebie w banku dwa i pół miliona złotych na pięćsetki...

- Przecież już mnie pan o to pytał w obecności dyrektora. Powiedziałem panu wtedy, że nie pamiętam Jego zdarzenia. Trudno wymagać, żebym po kilku miesiącach pamiętał, co kiedy komu zmieniałem.

- Tak, - tak, oczywiście - pokiwał głową Walczak. - Trudno wymagać od kasjera, żeby pamiętał, czy rozmiął komuś sto złotych na drobne, ale dwa miliony złotych na pięćsetki... a raczej dwa i pół miliona. Nawet niezbyt inteligentnego człowieka zastanowiłoby, po co komuś potrzeba tyle pięćsetek, a pana uważam przecież za człowieka bardzo inteligentnego. Wie pan na przykład, że najlepszą metodą obrony jest atak. Orientuje się pan też doskonale w tym, że nasze złotówki są przemywane do Niemiec Zachodnich, i to właśnie wyłącznie w pięćsetkach. Rozpracowuję teraz tę aferę i posiadam odnośnie pańskiej osoby wiele informacji, bardzo cennych informacji, które upoważniają mnie do tego, aby wystąpić do prokuratury z wnioskiem o aresztowanie pana. Między innymi wiadomo mi jest, że w lipcu zeszłego roku, to znaczy w kilka tygodni po dokonaniu wymiany tych pięćsetek, podarował pan pewnej miłej pani, którą darzy pan specjalną sympatią, złotą bransoletę wartości około dziewięciu tysięcy złotych. Bransoletę tę nabył pan w sklepie na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. O ile się orientuję, pensja kasjera w banku nie bardzo chyba wystarcza na ofiarowywanie paniom tego rodzaju prezentów.

Jak pan widzi, panie Krygier, milicja wie więcej, aniżeli się to wydaje przeciętnemu obywatelowi. Dlatego też myślę, że szkoda mojego i pańskiego czasu na jałowe dyskusje. Proszę wykazać odrobinę dobrej woli, a na pewno dojdziemy do porozumienia...

W miarę jak Walczak mówił, twarz kasjera nabierała koloru szarzielonego. Stracił cały swój początkowy tupet. Raz po raz poprawiał na nosie okulary i nerwowo wyłamywał sobie palce ze stawów. Widać było, że to, co posłyszał, wywarło na nim piorunujące wrażenie. Zdawał się zbierać myśli i szukać odpowiednich słów. Wreszcie pochylił się nad biurkiem i zniżając głos do szeptu powiedział:

- Czego pan chce ode mnie, panie kapitanie? Jeżeli tylko mogę w czymś panu pomóc, to jestem do pańskiej dyspozycji - przełknął ślinę i patrzył wyczekująco.

Walczak uśmiechnął się przyjacielsko. Jego okrągła twarz miała w tej chwili łagodny, dobroduszny wyraz.

- O, widzi pan. Nareszcie posłyszałem jakieś rozsądne słowa. Chodzi mi o to, żeby mi pan powiedział, czy to inżynier Jarzęcki zmieniał wtedy u pana te dwa i pół miliona złotych. Rozumiem, że może pan mieć pewne opory, ale już w tej chwili nikomu nie wyrządzi pan krzywdy takim zeznaniem, zarówno bowiem pańska bratanica jak i inżynier nie żyją.

- Więc i Stanisław także? - szepnął Krygier.

- Tak. Został zamordowany. Jego ciało niedawno wyłowiono z Wisły w okolicach Krakowa. W tych warunkach nie potrzebuje pan mieć żadnych skrupułów i może pan mówić prawdę. Czy to Jarzęcki zmieniał u pana te pieniądze na pięćsetki?

Kasjer spuścił głowę i przez chwilę pocierał nerwowo palcami brzeg biurka. Wreszcie spojrzął na Walczaka i powiedział cichym, niepewnym głosem:

- Tak, to był Jarzęcki. Ja mu mówiłem, żeby się nie wdawał z tym Herbigerem. To... to się musiało tak skończyć.

- A kim był ten Herbiger? - spytał od niechcienia Walczak.

- Niemiec... Austriak... Boja wiem zresztą... Zwykły kryminalista. To on wpakował Krystynę i Stanisława w nieszczęście.

- Ale pan też coś niecoś zarobił przy tej okazji - zauważył rzeczowo Walczak.

Błada twarz Krygiera oblała się rumieńcem.

- Przy tych naszych pensjach... Pan rozumie... - bąknął niewyraźnie.

Walczak machnął ręką, jakby dając do zrozumienia, że nie chce mówić na ten temat.

- Mniejsza o to. Niech mi pan powie: pan znał osobiście tego Herbigerera?

- Widziałem go raz w życiu. Zupełnie przelotnie. W kawiarni.

- Jak on wygląda?

- Wysoki. Bardzo elegancki, przystojny, w średnim wieku.

- Czy inżynier Jarzęcki też był wtedy w tej kawiarni?

- Tak.

- Poznał pana z Herbigerem, żeby w razie czego ten Niemiec mógł korzystać z pana pomocy przy wymianie pieniędzy?

- To możliwe.

- Z kawiarni wyszliście po jakimś czasie. Wsiedliście w tramwaj czy w autobus?

- Nie. Herbiger miał samochód.

- Ach tak. A jaki to był samochód?

- Czarny mercedes. Wspaniała maszyna.

- Uhm.

Walczak pokiwał głową i spojrzął w okno, jakby się nad czymś zastanawiał.

Zrezygnował jednak widocznie z dalszych indagacji, gdyż podsunął Krygierowi protokół.

- Proszę, niech pan to podpisze.

- Czy to konieczne?

- Tak. Ale to tylko zwykła formalność. Niech się pan nie obawia.

- A co będzie ze mną, panie kapitanie? - spytał niespokojnie Krygier.

Walczak uśmiechnął się.

- Nic, zupełnie nic. Niech pan spokojnie wraca do swojej pracy w banku. Radzę tylko, żeby pan na przyszłość nie wdawał się w takie niepewne interesy. To się może źle skończyć.

- Zapewniam pana panie kapitanie, że już nigdy w życiu nie dam się wciągnąć w coś takiego - powiedział z ożywieniem Krygier.

Walczak schował do szuflady teczkę z aktami i wstał, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

- Bardzo byłbym rad, gdyby pan naprawdę wytrwał w swoim postanowieniu. W każdym razie niech pan pamięta o tym, że następna nasza rozmowa mogłaby być dla pana o wiele bardziej przykra.

Krygier uklonił się i ruszył ku drzwiom. Kiedy kładł rękę na klamce, Walczak powiedział:

- Chciałbym jeszcze tylko pana zapytać, co się stało z tym Herbigerem.

Kasjer zatrzymał się i znowu poprawił okulary na nosie.

- Nie wiem. Słyszałem, że zatrzymała go milicja. Ale nic pewnego powiedzieć na ten temat nie umiem. Do widzenia, panie kapitanie.

- Do widzenia.

Zostawszy sam Walczak podszedł do okna i przez dłuższą chwilę wyglądał na ulicę. Był zadowolony z rozmowy. Zdawał sobie sprawę z tego, że Krygier nie powiedział mu wszystkiego, ale otrzymane informacje na razie były wystarczające. Przynajmniej ostatecznie potwierdziły jego przypuszczenia, że Jarzęcki był zamieszany w dużą aferę przemytniczą, której duszą był ten Niemiec. W swoim czasie milicja krakowska aresztowała obywatela austriackiego, niejakiego Herbigerera, który jednak zdołał uciec z komisariatu i zatrzeć po sobie wszelkie ślady. Aferzyście odebrano paszport i dokumenty. Można się było domyślić, że to on właśnie uciekł za granicę, posługując się paszportem wystawionym na nazwisko Jarzęckiego. Śledztwo w sprawie nadużyć w wydziale paszportowym prowadził kapitan Strzelecki.

Walczak odwrócił się od okna, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Halo! To ty, Geniu? Słuchaj, chciałbym do ciebie wpaść na parę minut. Masz chwilę czasu? Dobra. Zaraz idę.

Strzelecki był chudy i bardzo wysoki. Przypominał czaplę albo bociana, a wrażenie to potęgowały jeszcze długi, cienki nos i zupełnie łysa głowa. Miał jasnoniebieskie oczy, które często zamykał, co bardzo peszyło rozmówcę, ponieważ trudno było ustalić, czy kapitan słucha ze skupioną uwagą, czy też po prostu drzemie.

- Cześć, Geniu - powiedział Walczak, wyciągając dłoń na powitanie. - Wiem, że masz teraz dużo roboty. Nie będę ci zabierał czasu. Krótko i węzłowato: czy już zdołałeś ustalić, kto wydał paszport Jarzęckiego?

- Tak - odparł lakonicznie Strzelecki - Bednarz.

- Czy powiedział, komu go wydał?

- Nie. Twierdzi, że transakcja została dokonana za pośrednictwem jakiejś kobiety. Tego faceta nigdy nie widział.

- Uhm - Walczak wyjął papierosy i poczęstował kolegę. - Ile dostał?

Strzelecki zrobił zdziwioną minę.

- Jak to, ile dostał? Przecież jeszcze nie było sprawy...

Walczak roześmiał się ubawiony.

- Ależ ja pytam, ile dostał forsę za ten paszport, a nie ile lat kryminału.

- Zapłacili mu pięć tysięcy złotych. Przynajmniej tak twierdzi.

- Powiedz mi jeszcze, Geniu, czy sądzisz, że Bednarz poznałby tę babkę, z którą załatwił sprawę?

- Sądzę, że tak. Widział ją przecież parę razy.

Walczak wstał.

- No, ha razie dziękuję ci. Ale, ale, jeżeli cię to interesuje, to mogę ci powiedzieć, że na paszport Jarzęckiego prawdopodobnie wyjechał niejaki Herbiger, obywatel austriacki.

- Ten, którego zatrzymano w Krakowie za przemyt zegarków? - zainteresował się Strzelecki.

- Ten sam.

- Widzę, że zaczynasz rozpracowywać sprawę Jarzęckich.

- Powolutku.

- A co z Downarem?

- Gdzieś się zadekował. No, cześć, Geniu. Dziękuję ci.

Wróciwszy do siebie Walczak uporządkował starannie akta i włożył je do dużej ogniotrwałej kasy, stojącej w rogu pokoju. Poczuł, że jest głodny. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że przecież cały dzień nic nie jadł, a już dochodziła piąta.

W stołówce podszedł do niego Leśniewski.

- No, jak tam wam idzie?

- Nie najgorzej, towarzyszu majorze. Mam nadzieję, że za kilka dni będę mógł wam już przedstawić dokładny raport.

- To dobrze. Zależy mi na tym, żeby tę sprawę jak najprędzej zakończyć.

- Postaramy się.

Po obiedzie Walczak poprosił o dodatkową szklankę herbaty i wyciągnąwszy przed siebie nogi zapalił papierosa. Czuł się syty i trochę senny. Coraz częściej ostatnio ogarniało go zmęczenie. „Po doprowadzeniu do końca tej sprawy trzeba będzie trochę odpocząć” - pomyślał. Wypił herbatę i podniósł się ociężale z krzesła. Nagle przypomniał sobie, że przecież ma bilet na dzisiejszy koncert. Było już bardzo niewiele czasu. Nie zdąży kupić wszystkiego na kolację i pojechać do domu. Helena będzie wściekła. Co robić?

Poszedł do swego pokoju i połączył się z komendą miasta.

- Halo. Czy mogę mówić z towarzyszką Walczakową?

Po chwili usłyszał głos Heleny:

- Słucham.

- Mówi Karol. Wiesz, kochanie, tak mi się złożyło, że w żaden sposób nie zdążę załatwić zakupów. Może byś ty załatwiła? Bo widzisz, ja dzisiaj idę na koncert, mam już bilet.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Helena. - Kupię coś do jedzenia. Nie martw się, nie umrzesz z głodu. Baw się dobrze!

Walczak odłożył słuchawkę i zaczął się zbierać do wyjścia.

Wszedł Kobiela.

- Dzwonił Radom, towarzyszu kapitanie. Tak, jak żeście przypuszczali, czarny mercedes garażował tam przez jakiś czas. Bardzo możliwe, że to ten sam wóz.

- Kiedy widziano go w Radomiu?

- Przed kilkoma tygodniami.

- To znaczy przed zabójstwem Jarzęckiej?

- Tak wychodzi.

- To ważna wiadomość. Możliwe, że będziecie musieli jechać jutro do Radomia.

- Jak trzeba, to się pojedzie. Czy macie coś jeszcze do mnie, towarzyszu kapitanie?

- Na razie chyba nie. Miejcie wszystko na oku. Mieszkanie Wojtasiaków musi być pod stałą obserwacją. Trzeba tam dać dwóch ludzi. Jeden niech pilnuje mieszkania, a drugi Wojtasiakowej.

- Tak jest. Zajmą się tym Pietrzak i Gawrysiewicz.

- Dobrze. To odpowiedzialni ludzie. Jutro bądźcie z samego rana w komendzie.

Pogadamy. Cześć!

Wyszedłszy na ulicę Walczak z przyjemnością wciągnął w płuca zimne, wilgotne powietrze. Od rana przecież siedział w zadymionym pokoju. „Trzeba będzie rzucić palenie - mruknął do siebie. - Nie ma sensu tak się wędzić”.

Na rogu wsiadł do osiemnastki. Przeszedł na przedni pomost i sięgnął po papierosa. Natychmiast przypomniał sobie swe postanowienie. Machnął ręką i zapalił. Był zamyślony.. Sprawa Jarzęckich poczyniała nabierać w jego Umyśle coraz wyraźniejszych kształtów. Brakowało mu tylko jeszcze paru ogniw, aby zamknąć wreszcie łańcuch niezwykłych wydarzeń. Wiadomość o tym, że czarnego mercedesa widziano w Radomiu, potwierdziła jego przypuszczenia. Było rzeczą bardzo prawdopodobną, że Herbigier miał tam swoją „metę”. Jarzęcka, pragnąc się z nim w jakiejś sprawie porozumieć, wysiadła owego wieczoru w

Radomiu, a potem wróciła do Warszawy. Jarzęcki zaś pojechał dalej i gdzieś po drodze spotkał się ze swoją kochanką, na przykład w Krakowie. A może ta babka jechała tym samym pociągiem już z Warszawy, tylko siedziała w innym wagonie? Z tego by wynikało, że Jarzęcka nie miała wcale zamiaru jechać do Zakopanego, chciała tylko wprowadzić w błąd gospozię.

Walczak był tak pogrążony w rozmyślaniach, że przejechał Świętokrzyską i wysiadł dopiero przy Królewskiej. Musiał się wracać. Do filharmonii przyszedł w ostatniej chwili.

Orkiestra skończyła stroić instrumenty i dyrygent stanął przy pulpicie.

Dostojna muzyka Jana Sebastiana Bacha wypełniła salę. Cała orkiestra zamieniła się w jeden ogromny instrument, z którego płynęły potężne akordy, niosące ku słuchaczom piękno melodii.

Walczak przechylił w tył głowę i przymknął oczy. Czuł, jak w miarę narastania dźwięków traci powoli świadomość tego, co go otacza, zapomina o wszystkim. Zbrodnie, śledztwa, milicjanci, przestępcy, cały ten świat w którym żył i w którym działał, roztopiał się w melodii, gubił swą barwę. To był prawdziwy wypoczynek, całkowite odprężenie nerwowe.

Ostatnie tony koncertu umilkły. Sala zabrzmiała oklaskami. Dyrygent kłaniał się z uśmiechem, ocierając spocone czoło.

Publiczność wychodziła na przerwę do *foyer*. Walczak czuł dręczące pragnienie. Najwidoczniej obiad w stołówce był przesolony. Przedostał się więc do bufetu i poprosił o butelkę piwa. Kiedy napełniał kufel, posłyszał urywek rozmowy:

- Czy wiesz, że podobno Stach Jarzęcki nie żyje?
- Co ty mówisz? I on także?
- Tak słyszałam.
- Morderstwo?
- Cicho... Idzie Maryna.

Wysoka, zgrabna brunetka podeszła do rozmawiających kobiet. Błada, owalna twarz miała w sobie coś niepokojącego. Duże, ciemne oczy błyszczały gorączkowo. Przywitała się pośpiesznie ze znajomymi i podeszła do bufetu.

Walczak obserwował ją dyskretnie. Przypomniał sobie słowa Downara, który mu kiedyś powiedział, że kochanka Jarzęckiego miała prawdopodobnie na imię Maryna. Czyżby?... Biała, wypielęgnowana ręka trzymała szklankę z lemoniadą. Walczak drgnął gwałtownie. Zobaczył na tej ręce piękny pierścion z kameą.

Przerwa się skończyła. Publiczność wracała na salę.

Walczak zaczekał, aż zacznie się druga część koncertu, i z automatu połączył się z pałacem Mostowskich. Po upływie dziesięciu minut radiowóz zatrzymał się przed filharmonią. Sierżant Stolarek wszedł do hallu.

- Jesteśmy, szefie. Co nowego?

Walczak wziął go pod rękę i półgłosem wyjaśnił, o co chodzi. Następnie odesłał sierżanta do wozu, sam zaś usiadł w poczekalni i zapalił papierosa. Żałował, że nie mógł wrócić na salę. Stracił swój ulubiony koncert Brahmsa.

Wskazówki zegara posuwały się leniwie naprzód. Czas płynął jakby w zwolnionym tempie. Minuty wlokły się nieskończenie długo.

Walczak chcąc sobie skrócić oczekiwanie, wyjął z kieszeni „Express...” Nie rozumiał jednak tego, co czytał, nie mógł się skupić. Myślą wracał ciągle do mających się za chwilę rozegrać wypadków.

Wreszcie koncert się skończył. Spiętrzona fala ludzka poczęła się kłębić przy szatni. Każdy usiłował jak najprędzej wyszarpnąć swe okrycie. Robiło to takie wrażenie, jakby za chwilę gmach filharmonii miał runąć w gruzy.

Nagle Walczak, który przepychał się wraz z innymi, krzyknął:

- Co pani sobie myśli?! Proszę mi natychmiast oddać mój portfel!

Spojrzała na niego raczej zdziwiona niż oburzona.

- Czy pan oszalał?

- Proszę mi - natychmiast oddać mój portfel! - krzyczał w dalszym ciągu Walczak. -

Proszę oddać mój portfel, bo zawołam milicję. Milicja! Milicja!

Zrobiło się zamieszanie. Rosły milicjant zbliżył się pośpiesznie do Walczaka i pięknej brunetki.

- Co się tu dzieje?

- Ta kobieta ukradła mi portfel.

- To jest bezczelne kłamstwo! Nie ukradłam żadnego portfela! Jak pan śmie?!

- Złodziejka! Oddaj mi mój portfel!

- Proszę ze mną do komisariatu - powiedział energicznie milicjant.

- Ależ to jest bezprawie! Nie mam zamiaru iść do komisariatu. Co wy sobie w ogóle myślicie?!

- Portfel! Mój portfel! - wołał Walczak. Milicjant wyprowadził oboje na ulicę i wepchnął ich

do radiowozu, który natychmiast ruszył.

Ciemnooka piękność nie przestawała się awanturować.

- To jest bezczelność! To jest zwykły napad! Nie wiecie, z kim macie do czynienia! Ja się poskarżę w ministerstwie, w Komendzie Głównej MO! Będziecie odpowiadać za nadużycie władzy!

Milczeli. Żaden z nich nie miał w tej chwili ochoty wdawać się w dyskusję z rozdrażnioną kobietą.

Samochód minął plac Unii Lubelskiej i wpadł w Puławską. Sikora dodał gazu.

- Gdzie mnie właściwie wieziecie?

- Do komendy głównej. Przecież pani chciała złożyć skargę.

Spojrzała zaskoczona. W oczach jej błysnął niepokój.

- Teraz, po nocy?

- Nie szkodzi. Komenda główna pracuje dzień i noc.

Minęli Malczewskiego i Sikora począł zwalniać.

Niebawem zatrzymali się przed potężnym gmachem komendy. Dyżurny milicjant zasalutował.

- Dobry wieczór, kapitanie.

Walczak skinął mu głową i pośpiesznie poszedł do swego pokoju. Po chwili siedział już za biurkiem i przygotowywał papier do protokołowania. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Wprowadzić.

Była jeszcze bledsza. Zmrużone oczy patrzyły wyzywająco. Nie wyglądała na przestraszoną. Z trudem opanowywała wściekłość.

Walczak uśmiechnął się pojednawczo i wskazał krzesło.

- Niech pani siada, proszę mi wybaczyć tę małą komedię, jaką odegrałem w filharmonii, ale chciałem z panią pomówić poufnie i... musiałem znaleźć jakiś pretekst, żeby panią zaprosić do komendy. Może to nie był zbyt fortunny pomysł, ale w danej chwili nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- To jest szczyt bezczelności! - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Ostrzegam pana, że ja tego nie puszcę płazem! Będzie pan odpowiadać wobec swych władz za tego rodzaju postępowanie.

Walczak kiwnął głową.

- Tak. To bardzo prawdopodobne. Cóż robić - westchnął. - Jak stracę pracę w milicji, to za dobrym wynagrodzeniem będę pielęgnował pani psa.

- Mojego psa?

- No tak. Tego pięknego brązowego setera, który parę lat temu zdobył nagrodę na wystawie psów. Zapomniałem, jak on się nazywa.

- Czy chciał pan ze mną pomówić o moim psie? - zapytała zniecierpliwiona.

- Między innymi. Nie sędzę jednak, żeby to był jedyny temat naszej rozmowy.

- Skąd pan w ogóle wie, że ja mam psa? Walczak uśmiechnął się i wyjął papierośnicę.

- Pani wybaczy, ale na początku naszej rozmowy chciałbym wyjaśnić, że nie mam zamiaru odpowiadać na żadne pytania. Tutaj ja zadaję pytania i chciałbym, żeby na ten temat nie doszło między nami do nieporozumień - ostatnie słowa mocno zaakcentował. Podsunął jej papierośnicę.

Umilkła i machinalnym, ruchem wzięła papierosa. Wydało mu się, że jej palce lekko drżą.

- Czego pan właściwie chce ode mnie? Walczak wziął pióro do ręki i spytał suchym, urzędowym głosem:

- Nazwisko?

- Tymińska.

- Imię?

- Maryna.

- Zawód?

- Aktorka. Jestem także spikerką w telewizji.

- Adres?

- Żeglarska 12.

- Jest pani mężatką?

- Dosyć mam tych idiotycznych pytań! - wybuchnęła nagle. - Nie mam najmniejszego zamiaru rozmawiać z panem! Nikt mnie do tego nie zmusi! Proszę natychmiast mnie stąd wypuścić. Chyba nie jestem aresztowana?!

- Na razie jeszcze nie - odpowiedział wolno Walczak, rozciągając poszczególne sylaby. Wziął kawałek papieru i czerwonym ołówkiem począł na nim kreślić jakieś geometryczne figury. Następnie wstał, podszedł do Tymińskiej i usiadłszy na rogu biurka, dotknął palcem pierścionka z kameą.

- Co za piękny pierścionek. Czy można obejrzeć? Kocham się w takich artystycznych drobiazgach.

Trochę zdziwiona zdjęła z palca pierścionek i podała mu.

Walczak wrócił na swoje miejsce, wyjął z szuflady duże szkło powiększające i uważnie począł przyglądać się kamei.

- Ładne, bardzo ładne. Wenecka robota. To musi być jakaś rodzinna pamiątka. Szkoda, że pani jest taka nieuważna.

- Nieuważna? Nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

- Kamea ma maleńki odprysk. Musiała pani o coś zaczepić pierścionkiem.

- Możliwe. Nie zwróciłam uwagi.

- *A propos*. Od jak dawna zna pani inżyniera Jarzęckiego?

Rzuciła mu szybkie, złe spojrzenie.

- Mówiłam już, że nie mam zamiaru odpowiadać na pańskie głupie pytania. Odmawiam wszelkich zeznań.

Walczak bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mogę pani zmusić, ale ponieważ należy jakoś podtrzymać naszą konwersację, pozwoli pani, że tymczasem ja pani opowiem pewną interesującą historię. Mam wrażenie, że pani nie znudzę.

Poruszyła się niespokojnie.

- Nie jestem ciekawa pańskich historii.

- Och, sędzę, że ta historia panią zaciekaWi. A więc zacznijmy może od tego, że nie ma sensu, żeby pani przeczyła faktom, które są mi znane i których prawdziwość mogę w każdej chwili stwierdzić za pomocą dowodów rzeczowych.

Spojrzała na niego wyczekująco i wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Walczak na chwilę umilkł, zapalił nowego papierosa

i spod oka przyglądał się Tymińskiej. Dopiero teraz uspokajał się nerwowo. Zaczynając tę całą awanturę w filharmonii nie był przecież wcale pewny, czy to jest ta kobieta, o którą mu chodziło. Ryzykował bardzo dużo. Mógł rzeczywiście narazić się na sprawę dyscyplinarną. Obecnie już wiedział, że jego węż i tym razem nie zawiódł. Zaciągnął się głęboko dymem i spytał:

- Czy pani naprawdę nie wie, o czym ja mówię?

- Nie.

- Zmusza mnie pani do opowiadania historii, którą pani doskonale zna i pamięta. Ale trudno, niech i tak będzie. Otóż: dnia dwudziestego pierwszego z rana przyjechała pani ze swym przyjacielem, inżynierem Stanisławem Jarzęckim, do Zakopanego, do pensjonatu „Jutrzenka”...

- To jest kłamstwo! Jak pan śmie! Walczak uśmiechnął się.

- Czy pani sobie wyobraza, że ja bym to wszystko mówił teraz, gdybym nie miał pewności, że tak było istotnie? Przyjechała pani do Zakopanego z Jarzęckim i odgrywała pani rolę jego żony. Udała pani chorą i położyła się do łóżka. Pokojówka przynosiła pani na górę posiłki. Otóż dziewczyna ta znajduje się obecnie w komendzie i jeżeli się to okaże konieczne, zarządzę konfrontację. Czy mam wezwać tę dziewczynę, żeby panią poznała?

Tymińska spojrzała na niego spłoszona.

- Nie, nie, niech pan tego nie robi - słowa te wypowiedziała cicho, niemal pokornie.

- Dobrze - zgodził się Walczak. - Jeżeli pani nie podaje w wątpliwość mojej opowieści, konfrontacja nie jest potrzebna. A więc jedźmy dalej: pobyt pani w „Jutrzence” trwał około dwudziestu czterech godzin. Dwudziestego drugiego z rana, kiedy znaleziono trupa Jarzęckiej w okolicy skoczni, uciekła pani przez okno, spuszczając się po konopnym sznurze, którego resztki znalezione na kaloryferze mam tu w szufladzie. Znaleziono również na parapecie okruszynki kamei. Musiała pani widocznie zaczepić o coś pierścieniem. No cóż?... Wszystko to nie byłoby takie straszne. Ostatecznie niejeden mąż zdradza żonę i wyjeżdża z kochanką do Zakopanego lub nad morze, a czasem do Krynicy. Zwykle małżeńskie historyjki, grożące ewentualnie skandalem i sprawą rozwodową. Gorsze jest to, że pani jest podejrzana o zamordowanie Stanisława Jarzęckiego.

Tymińska zerwała się przerażona.

- Jezus Maria!... Ależ... ależ... to nieprawda! Nieprawda! Przysięgam!

Walczak podszedł do niej i delikatnie posadził ją z powrotem na krześle. Twarz jego miała teraz wyraz dobrotliwy i skłopotany. Wyglądał na poczciwego tatusia, zaniepokojonego złymi postęпами w nauce swej córki.

- Proszę się uspokoić i posłuchać uważnie. Pragnę pani pomóc, ale to zależeć będzie tylko i wyłącznie od pani.

Opanowała się i spojrzała na niego przytomniej.

- To kłamstwo! Ja nie zabiłam Jarzęckiego! Nie macie na to żadnych dowodów.

Walczak skrzywił się z niesmakiem.

- Z panią to doprawdy nie można w sposób rozsądny dojść do porozumienia. Wydaje mi się, że w czasie tej krótkiej naszej znajomości zdołała się już pani przekonać, że ja nie mam zwyczaju mówić czegoś o tak sobie... bez żadnych podstaw. Przed kilkoma godzinami aresztowaliśmy niejakiego Karolaka, szofera z dyrekcji kolei. Otóż ten Karolak zeznał, że pani w Krakowie zastrzeliła Stanisława Jarzęckiego. Teraz pani rozumie, dlaczego pilno mi

było przeprowadzić tę rozmowę z panią. Jutro niewątpliwie przyjdzie z prokuratury nakaz aresztowania pani. Chętnie bym pani pomógł, ale...

Tymińska zbladła tak, że wydawało się, że lada chwila zemdleje. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na Walczaka. Wargi jej drżały nerwowo. Budziła litość.

- To nieprawda, to nieprawda - powtarzała cicho. - Przysięgam panu, że to nieprawda. Karolak kłamie, kłamie. To właśnie on zastrzelił Stanisława. Morderca, morderca!

Walczak, zafrasowany, pokiwał głową.

- Tak, tak, to przykre, to bardzo przykre. Doprawdy, trudna sytuacja. Karolak twierdzi, że pani zabiła Jarzęckiego, a pani mówi, że to on. No cóż... Ja jestem raczej skłonny przypuszczać, że pani mówi prawdę, ale... bo ja wiem... Chętnie bym pani jakoś pomógł.

- Niech mnie pan ratuje! Na miłość boską, niech mnie pan ratuje! Ja tego nie zrobiłam, jestem niewinna!

- To nie będzie takie proste. Zeznanie Karolaka... - Walczak w zamyśleniu pocierał czoło. - Żeby wybrnąć jakoś z tej sytuacji, musiałyby pani ze mną zupełnie inaczej rozmawiać.

- Inaczej rozmawiać? Nie rozumiem. Jak?

- Bardziej szczerze.

Spojrzała na niego z wahaniem. Odgadł jej myśli.

- Niech pani nie sądzi, że pragnę podstępnie wydobyć z pani jakieś zeznania.

Absolutnie nie nalegam. Możemy nawet zaraz zakończyć naszą rozmowę. W związku z zeznaniem, złożonym przez Karolaka jest pani oczywiście zatrzymana aż do wyjaśnienia sprawy.

Szarpała nerwowo koniec jedwabnego szalika. Widać było, że ogromnym wysiłkiem woli usiłuje odzyskać równowagę psychiczną. Zapaliła papierosa i wreszcie odezwała się matowym, bezbarwnym głosem:

- Właściwie... właściwie nie bardzo rozumiem... Cóż?...

Walczak czuł, że teren jest już dobrze przygotowany. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące. Pochylił się nad biurkiem i powiedział miękko, nieomal serdecznie:

- Proszę mieć do mnie trochę zaufania. Prowadzę śledztwo w sprawie Jarzęckich od początku i tylko ja mogę pani naprawdę pomóc. Niech się pani chwilę zastanowi. Inżynierowa Jarzęcka nie żyje, zwłoki jej męża wyłowiono niedawno z Wisły pod Krakowem. Sekcja wykazała, że Stanisław Jarzęcki został zastrzelony. Karolak twierdzi, że tego morderstwa dokonała pani. Główny szef całej bandy uciekł za granicę. Niestety, nie zdołaliśmy go zatrzymać. W tych warunkach sytuacja pani nie jest najlepsza i tylko zupełnie szczerą rozmową ze mną może panią uratować. Czy pani jest skłonna odpowiadać na moje, pytania?

Skinęła głową.

- Tak.

- To dobrze. Ostrzegam jednak, że jestem bardzo dobrze zorientowany w tej sprawie i jeżeli chociaż raz przychwycę panią na kłamstwie, natychmiast przerwę tę rozmowę i odeślę panią do aresztu.

- Niech pan pyta.

- Więc przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jak to było od początku z tym Herbigerem. Jak to się wszystko zaczęło?

- Herbigerę poznała w Wiedniu Olga Zdaniecka.

- Ta malarka?

- Tak.

- No i?...

- Udawał zakochanego. Po jakimś czasie przyjechał do Warszawy jako turysta wspinałym mercedesem. Jarzęccy poznali go u Zdanieckiej. Zaczęli razem kombinować...

- Szmuglowali do Austrii srebro, dolary i nasze złotówki w pięćsetkach - powiedział Walczak. - A tutaj przywozili zegarki.

- Widzę, że pan jest dobrze zorientowany.

- Co robić? Taki już mój los. Niech mi pani powie, jak to się stało, że w pewnym momencie Herbigier postanowił sprzątnąć Jarzęckich.

- Od czasu zamordowania tego milicjanta zaczęły się psuć stosunki między Herbigierem a Jarzęckim.

Walczak pokiwał głową.

- Tak. To się zgadza. W garażu dyrekcji kolei zastrzelono porucznika Chruściaka. Prawdopodobnie chciał zaaresztować Herbigiera czy też Karolaka.

- Myślę, że tak właśnie było. W każdym razie wiem, że Stanisław się przeraził i nie chciał już mieć nic wspólnego z całą bandą. Chciał się jak najprędzej wycofać z tego wszystkiego i wtedy...

- ...wtedy Herbigier poczuł się zagrożony przez Jarzęckiego - dokończył Walczak.

- Właśnie. Stanisław był straszliwie zdenerwowany. Obawiał się o swoje życie.

- Ale dlaczego zabili Jarzęcką?

- Postanowili podsunąć milicji fałszywe poszlaki i oskarżyć Jarzęckiego o zabicie tego porucznika. Krystyna Jarzęcka podsłuchiwała przypadkowo rozmowę Herbigiera z Karolakiem. Była świadkiem piekielnej awantury. Krystyna stanęła w obronie męża i oświadczyła kategorycznie, że natychmiast idzie na milicję i ich sypnie. Wtedy zagrozili, że ją sprzątną, jak nie będzie siedzieć cicho. Terroryzowali nas wszystkich.

- I panią także?

- Oczywiście. Ciągle się bałam, że stanie się coś strasznego.

- Czy ten Herbigier to przystojny mężczyzna? - spytał nagle Walczak.

- Bardzo. Wysoki, wspaniale zbudowany, elegancki. Miał piękną falującą czuprynę. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie prawdziwego dżentelmena.

- I wywierał ogromny wpływ na kobiety?

- Oczywiście.

- Czy pani wiedziała, że Karolak miał zastrzelić Jarzęcką?

- Nie.

Walczak wziął do ręki linię i począł nią niecierpliwie uderzać o brzeg biurka.

- Umówiliśmy się przecież, że nie będzie pani kłamać.

- Dlaczego pan sądzi, że ja kłamię?

- To proste. Herbigier uciekł za granicę, posługując się paszportem Jarzęckiego.

Swojego mercedesa oczywiście zostawił. Wiedział, że przejeżdżać tym wozem przez granicę byłoby rzeczą zbyt ryzykowną. Dalej: Karolak zabił Jarzęcką i postanowił zawieźć trupa do Zakopanego i podrzucić go do pokoju Jarzęckiego. Plan był śmiały, ale zupełnie niezły.

Jarzęcki zostałby oskarżony o zamordowanie żony i całe śledztwo poszłoby zupełnie innym torem. Uwaga milicji na dłuższy czas odwróciłaby się od bandy przemytniczej i od sprawy zabójstwa porucznika Chruściaka. Pani więc musiała wiedzieć o tym, że Jarzęcką mają zamordować. Pani współdziałała ze zbrodniarzami. Karolak jednak źle obliczył czas, a może miał jakiś defekt po drodze. Sądził, że przyjedzie w nocy do Zakopanego, a tymczasem przyjechał o świcie. Za dnia nie mógł przeprowadzić swego planu i dlatego zostawił trupa Jarzęckiej koło skoczni. Pani po sznurze opuściła się z pierwszego piętra i być może razem z Karolakiem wróciła pani mercedesem do Warszawy, zatrzymując się w Krakowie, gdzie Karolak zlikwidował Jarzęckiego. Bał się go. Jarzęcki wiedział, że to on zabił porucznika Chruściaka. Być może, że się w pewnych szczegółach mylę, ale w ogólnym zarysie cała ta historia musiała mniej więcej tak wyglądać.

Tymińska patrzyła na Walczaka szeroko otwartymi oczami.

- Ja nie wiedziałam, że on zabije Stanisława... Ja nic nie wiedziałam. Przysięgam... przysięgam, że mówię prawdę. Niech mi pan wierzy... Musi mi pan wierzyć. Jestem niewinna... niewinna!

Wstała, jakby pragnąc nadać swym słowom większe znaczenie. Nagle chwyciła się za głowę i upadła zemdlna.

Walczak podbiegł do niej i zaczął cucić. Ponieważ jednak Tymińska nie odzyskiwała przytomności, wrócił za biurko, podniósł słuchawkę i powiedział:

Sprowadźcie mi tu zaraz lekarza. I jeszcze jedno: niech Stodolak jedzie na Żeglarską dwanaście i niech mi przywiezie gosposię pani Maryny Tymińskiej, a także i psa. Powiedzcie mu, żeby się pośpieszył.

X. Tu B4... tu B4..

Downar wysiadł z autobusu na rogu Szustra. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się niezdecydowany. Wprawdzie Walczak zapewnił go, że milicja nie będzie go prześladować, ale wołał być ostrożny i nie pokazywać się na Ursynowskiej. Postanowił więc dostać się do Hanki przez Raławicką.

Ulica była ciemna i o tej porze zupełnie bezлюдna. Światło padające z Alei Niepodległości nie sięgało tak daleko. Można tu było bez żadnych przeszkód zamordować człowieka i nikt by tego nie zauważył.

Nawet budynki czerwieniły się nie otynkowaną cegłą. Downar wszedł pomiędzy domy, przeskoczył mur i niebawem znalazł się przed drzwiami mieszkania, z którym łączyły go niedawne wspomnienia. Zadzwoił i czekał niecierpliwie. A może jej nie zastał? Może poszła gdzieś do przyjaciół albo wyjechała z Warszawy? Myśl, że mógłby nie zobaczyć Hanki, była dlań nieznośna. Tyle dni czekał na tę chwilę! Tak bardzo tęsknił! Dlaczego nie otwiera? Ponownie nacisnął dzwonek.

Podłoga w przedpokoju zaskrzypiała pod czyimiś ciężkimi krokami. To nie były jej kroki. Czyżby?...

Stuknął zatrask. W ciemnym otworze drzwi ukazała się barczysta postać rosnącego mężczyzny.

- Pan do kogo? - nisko schrypnięty głos bynajmniej nie brzmiał zachęcająco.

- Ja do panny Hanki Drzewieckiej - powiedział speszony Downar. Chciał się cofnąć, ale tamten wpuścił go do przedpokoju.

- No, wchodzi pan, bo wieje.

Na stoliku, przy którym wtedy pili „Liebfraumlilch”, stała teraz butelka wódki. Przy tapczanie paliła się mała lampka. Powietrze było duszne, przesycone dymem z papierosów.

Dopiero teraz Downar spojrzał uważnie na nieznanego. I nagle poczuł, że krew mu zastygła w żyłach. Nie po raz pierwszy widział tego człowieka. Poznał kwadratową twarz Karolaka.

W pierwszej chwili osłupiał. Chciał wyciągnąć pistolet i sterroryzować opryska. Zaraz jednak zrezygnował z tego. Na to zawsze miał czas. Musiał się przedtem zorientować, co tu robił ten bandzior. A może się poprostu włamał? Ale nie, w takim wypadku nie otwierałby mu przecież drzwi. Trudno było znowu przypuścić, żeby Karolak był znajomym czy przyjacielem Hanki. Wykluczone. A może... może to jakaś dziennikarska impreza? Może Hanka zbiera materiały do artykułów? Nonsens. Tego pokroju opryszek, co Karolak, nie wdawałby się w takie zabawy. Więc co to właściwie znaczy?

Downar usiadł i wyjął papierosy. „Ciekawe, czy mnie pozna? - pomyślał. - Widział mnie wtedy w garażu przez ułamek sekundy. Byłem ucharakteryzowany. Nie powinien się zorientować”.

- Czy panny Hanki nie ma w domu? - spytał. Karolak przyglądał mu się przez chwilę bardzo uważnie. Wziął butelkę, odkorkował i napełnił kieliszki.

- Haneczka zaraz przyjdzie. Cierpliwości. Na razie golniemy sobie po jednym. A faktycznie to nawet nie wiem, z kim mam przyjemność.

- Moje nazwisko Kozłowski - powiedział Downar.

- A ja się nazywam Karolak i wyobraź pan sobie, że się tak naprawdę nazywam, bez żadnej lipy. Bo i po cóż miałbym przed panem ukrywać moje prawdziwe nazwisko? Widzimy się pierwszy raz i już mnie pan więcej nie zobaczy. A może nie pierwszy raz? Może żeśmy się już kiedyś spotkali? Warszawa to niewielkie miasteczko, prawda, panie Kozłowski?

- Prawda - mruknął Downar. Śledził uważnie ruchy Karolaka. Wiedział, że lada moment dojdzie do starcia.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniem jak dwa dzikie koty, gotujące się do śmiertelnej walki. Downar zmrużył oczy i czekał. Krew poczęła żywiej pulsować mu w skroniach. Wszystkie mięśnie były napięte.

Nagle Karolak wyszczerzył zęby w uśmiechu i sięgnął po kieliszek.

- Wódka stygnie. Napijmy się. Pańskie zdrowie, panie poruczniku!

Wypił i wstał, prostując swą postać na całą wysokość.

- No, a teraz pan pozwoli, że wyjdę trochę na spacer. Coś tu bardzo śmierdzi w tym pokoju - zrobił krok w kierunku drzwi.

Downar skoczył i wyrwał z kieszeni pistolet.

- Ręce do góry!

Stał za blisko. Karolak z nieoczekiwaną zwinnością uderzył ciężkim butem w uzbrojoną rękę. Pistolet zatoczył łuk i upadł za tapczanem. Bandyta zaśmiał się cicho i pewny zwycięstwa runął naprzód. Nie docenił jednak przeciwnika.

Downar zrobił błyskawiczny unik w lewo, prawym sierpowym trzasnął Karolaka w szczękę i nim ten zdołał oprzytomnieć po ciosie, władował mu całą serię w żołądek. Karolak jęknął z bólu i zatoczył się pod szafę. Próbował blokować ciosy, ale silny podbródkowy powalił go na ziemię. Wtedy Downar skoczył do telefonu. Gdy nakręcił szóstkę, postłyszał nagle rozkazujący głos:

- Ręce do góry!

Odrzucił się gwałtownie. W drzwiach stała Hanka z rewolwerem w ręku. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdyż w tej - samej chwili silne uderzenie w tył głowy powaliło go na podłogę. Jak przez mgłę postłyszał nad sobą trzask repetowanego pistoletu. Zaraz potem rozległ się kobiecy głos.

- Nie zabijaj! Prędeż. Jedziemy do Fechnera. Jeszcze jedno uderzenie i Downara ogarnęła ciemność.

*

Kiedy odzyskał przytomność, czuł silny ból w tyle głowy i słodkawy smak krwi w ustach. Spróbował wstać, ale nie mógł się poruszyć. Ręce i nogi miał mocno związane rzemieniami. Rozejrzał się dokoła. Pokój był pusty.

Powoli, bardzo powoli, podkurczając i rozprostowując skrępowane nogi, począł czołgać się w kierunku telefonu. Na szczęście aparat stał na niskim stoliczku. Downar dźwignął się z największym wysiłkiem w górę i zębami chwycił słuchawkę, która upadła na podłogę. Rozległ się sygnał. Wtedy począł się zastanawiać, jak nakręcić numer. Koło telefonu leżał krótki ołówek. Ujął go mocno zębami i począł trafiać nim w otwory tarczy. Nie było to łatwe zadanie. Ołówek ześlizgiwał się i nie nakręcał numeru do końca. Downar dyszał ciężko z wysiłku. Pot zalewał mu twarz. Parę razy padał na podłogę i musiał się znowu podnosić do wysokości stoliczka. Rzemienie wpijały mu się boleśnie w przeguby rąk. Zaciskał zęby. Chwilami zdawało mu się, że nie podoła i że będzie musiał czekać cierpliwie, aż ktoś go znajdzie i uwolni z więzów. Nie dawał jednak za wygraną. Wiedział przecież, że każda minuta zwiększa szansę zbrodniarzy. Wreszcie, po wielu próbach, udało mu się nakręcić 6 - 24 - 24. Zsunął się na podłogę i przypadł do słuchawki.

- Pogotowie milicyjne. Słucham.

- Mówi porucznik Downar z komendy głównej. Przyślijcie natychmiast radiowóz na Ursynowską. Leżę związany w mieszkaniu niejakiej Anny Drzewieckiej. Zawiadomcie natychmiast kapitana Walczaka. Spieszcie się!

Po upływie dziesięciu minut Walczak, który otrzymał telefoniczną wiadomość w komendzie, wpadł do pokoju. Za nim wbiegł zdyszany sierżant Stodolak. Szybkim ruchem wyjął z kieszeni duży szczyryk i rozciął więzy.

- Jesteście radiowozem? - spytał nerwowo Downar, rozcierając sobie przeguby rąk.

- Tak.

- Biegiem na dół!

Na schodach w paru słowach opowiedział, co się stało.

Sikora włączył motor. Walczak usiadł przy nim i pochwycił mikrofon. Downar i Stodolak ulokowali się na tylnym siedzeniu.

- Uwaga, uwaga! Tu B4... tu B4! Falanga, falanga! Tu Walczak, tu Walczak... Zamknąć natychmiast wszystkie ulice wylotowe z miasta, zamknąć natychmiast wszystkie ulice wylotowe z miasta! Zatrzymać czarnego mercedesa... Zatrzymać czarnego mercedesa. Utrzymać łączność... Utrzymać łączność!

I zaraz odezwały się inne radiowozy.

- Wywołuję B4... Wywołuję B4... Tu K9... tu K9. Polecenie zrozumiałem... Polecenie zrozumiałem. Udaję się na ulicę Mickiewicza... Udaję się na ulicę Mickiewicza...

- Wywołuję B4... Wywołuję B4... Tu L22... tu L22.

Polecenie zrozumiałem. Udaję się na Wolską... Udaję się na Wolską...

- Wywołuję B4... Wywołuję B4... Tu F6... tu F6. Polecenie zrozumiałem. Udaję się w Aleję Krakowską... Udaję się w Aleję Krakowską.

Meldunki płynęły nieprzerwanie. Miasto było obstawione.

Pędzili Puławską. Sikora dociskał gaz. Walczak znowu chwycił mikrofon.

- Komenda miasta! Komenda miasta! Tu B4... tu B4... Mówi kapitan Walczak... Mówi kapitan Walczak... Szukamy czarnego mercedesa... Szukamy czarnego mercedesa. Zawiadomcie komendy wojewódzkie... Trzymamy łączność. Trzymamy łączność...

- Już pewnie wyjechali z Warszawy - mruknął Downar. - Nie złapiemy ich. Diabli wiedzą, ile czasu leżałem nieprzytomny! Zdążyli zwać!

- Musimy jechać do tego Fechnera - odkrzyknął Walczak. - Gazu!

Sikora nacisnął pedał.

- Cholera jasna! - zaklął wściekły. - Milicja powinna mieć wozy jak należy, a nie takie graty. Jakże ja mogę mercedesa dogonić, kiedy ledwie 110 ciągnę, a tamten ponad dwieście. Szkoda gadać.

Na Kaniowskiej zatrzymali się przed willą doktora Fechnera. Dom był pusty. W mieszkaniu panował niesłychany nieporządek. Widać było, że ktoś się pośpiesznie szykował do drogi.

- Do wozu! - rozkazał Walczak. - Nic tu po nas.

Odezwała się radiostacja.

- Wywołuję B4... Wywołuję B4... Tu K9... tu K9. Jedziemy za czarnym mercedesem. Kierunek Wyszogród... Kierunek Wyszogród.

Walczak pochylił się nad mikrofonem.

- K9... K9... Tu B4... tu B4... Przyjeliśmy meldunek... Jedziemy za wami... Jedziemy za wami... Trzymać łączność... Trzymać łączność...

I znowu pochwycił mikrofon.

- Komenda miasta... Komenda miasta... Tu B4... tu B4... Mówi Walczak... Mówi Walczak... Ścigamy czarnego mercedesa... Ścigamy czarnego mercedesa... Kierunek

Wyszogród, Toruń... Kierunek Wyszogród, Toruń. Jadą przypuszczalnie na Wybrzeże. Zawiadomcie komendy wojewódzkie... Zawiadomcie komendy wojewódzkie.

Wypadli na szosę. Jechali ponad sto kilometrów na godzinę. Sikora okazał się świetnym kierowcą. Na zakrętach prawie nie hamował. Maszyna kładła się na bok i zdawało się, że lada chwila wyskoczy z szosy. Co jakiś czas odzywał się radiowóz K9. Droga była kiepska i dlatego mercedes nie mógł rozwinąć pełnej szybkości.

- Gazu! Sikora, gazu!

- Nie daję rady, towarzyszu kapitanie. Na zegarze mam 115, a już mi silnik wysiada. Słyszycie, jak kaszle? Muszę zwolnić. To wóz dobry na taksówkę, ale nie dla milicji. Każdy bandzior szybciej od nas pojedzie. Cholera!

- Słuchaj no, Stefan - powiedział nagle Walczak. - Czy ty wtedy wieczorem u Jarzęckiej zostawiłeś jesionkę na dole w hallu?

Downar spojrzał zdziwiony.

- Co ci teraz do głowy przyszło? Oczywiście, że zostawiłem jesionkę w hallu.

- Iw jesionce miałeś prawo jazdy?

- Nie pamiętam. Możliwe.

- To ci z jesionki prawo jazdy wyjęła ta fałszywa gosposia Jarzęckich, z którą potem rozmawiałeś. Mam ją już w komendzie. Chodzi teraz tylko o to, kto ci z powrotem podrzucił to prawo jazdy w Zakopanem.

- Jedna dziwka - syknął przez zaciśnięte zęby Downar. - Była u mnie w hotelu, a teraz jedzie tym mercedesem.

- Drzewiecka?

- Uhm.

- Myślę, że niedługo z nią porozmawiamy.

- Bardzo wątpię. Tym karawanem nie dogonimy mercedesa. To nowoczesna sześciocyndrowa maszyna. Pociągnie 240.

- Ale nie na naszych drogach. Na to trzeba asfaltu. Umilkli. Sikora, pochylony nad kierownicą, starał się wydobyć z maszyny największą szybkość. Warszawa aż dygotała od nadmiernego wysiłku. Mocne światło reflektorów przecinało ciemność. Downar nachylił się do Walczaka i powiedział:

- Więc twierdzisz, że ta fałszywa gosposia ukradła mi wtedy prawo jazdy?

- Niewątpliwie.

- A Karolina Sojecka, prawdziwa gosposia Jarzęckich, była, według ciebie, w to wszystko wmieszana?

Walczak pokręcił głową.

- Myślę, że nie.

- Skąd w takim razie tamta miała klucze od willi?

- To proste. Sojecka pojechała na Grochów do siostry. Wojtasiak albo Karolak dobrał się do jej torby i przywiózł klucze na Mokotów.

- I ta baba urzędowała cały czas pod willą Jarzęckich? Nie rozumiem tylko, po co zabrała ze sobą psa...

- Nie wiem. Może pewniej się czuła z psem, a może bała się go samego zostawić w domu, żeby nie wył i nie zaalarmował w nocy sąsiadów.

I znowu przemówiła radiostacja:

- B4... B4. Tu K9... tu K9... Nawiązaliśmy łączność z Bydgoszczą... Nawiązaliśmy łączność z Bydgoszczą... Blokują szosę... Blokują szosę... Mercedes zmniejszył szybkość... Mercedes zmniejszył szybkość... Jedziemy mu na ogonie...

Walczak przyjął meldunek i zaraz odpowiedział:

- K9... K9... Tu B4... tu B4... Odebraliśmy wasz meldunek... Odebraliśmy wasz meldunek... Uwaga... Uwaga... Ludzie w mercedesie są uzbrojeni... Ludzie w mercedesie są uzbrojeni...

- Albo mają jakiś defekt w motorze, albo zastanawiają się nad tym, czy nie prysnąć w boczną drogę - powiedział Stodolak. - Inaczej nie zmniejsziliby szybkości.

Downar wyjął papierosa i poczęstował sierżanta.

- Nie są frajerzy. Wiedzą przecież, żeśmy nawiązali łączność z komendami wojewódzkimi i że lada chwila jakiś milicyjny wóz może im zablokować szosę. Coś kombinują.

- A wiecie, co ja bym zrobił na ich miejscu? - odezwał się Walczak.

- No?...

- Zawróciłbym i pełnym gazem jechałbym z powrotem do Warszawy, a przed samym miastem skręciłbym w jakąś boczną drogę.

- Tak, ale oni nie wiedzą, ile wozów za nimi jedzie.

Walczak pokiwał głową.

- To prawda. Czy wszyscy macie broń?

- Tak.

- Może być trochę strzelaniny. Przygotować się. Jakby w odpowiedzi rozległy się dalekie strzały.

- Słyszycie? Bydgoszcz do nich wali. Gazu, Sikora!

- Jak pragnę Boga, towarzyszu kapitanie, nie daję rady. I tak cud, że się ten grat jeszcze do tej pory nie, rozleciał. Dociskam prawie do deski!

Jeszcze kilkanaście minut szalonej jazdy i w świetle reflektorów zobaczyli leżący w rowie samochód. Obok kręciło się paru milicjantów.

- Ależ im dali dubla! - zawołał Sikora. - Zatrzymamy się, towarzyszu kapitanie?

- Nie, nie, jazda. Niech sobie sami radzą.

- B4... B4... Tu K9... tu K9... bydgoski wóz ostrzelał mercedesa... Mercedes zwał ich do rowu i zwiększył szybkość... Straciliśmy go z oczu... Straciliśmy go z oczu...

- Cholera jasna! - zaklął Sikora - możemy ich gonić do samej śmierci.

Walczak zdenerwowany pochwycił mikrofon.

- K9... K9... Tu Walczak... tu Walczak... Przyjeliśmy meldunek... Minęliśmy bydgoski wóz... Nawiążcie łączność z Bydgoszczą... Nawiążcie łączność z Bydgoszczą... Niech blokują szosę... Niech blokują szosę...

- Ofiary, psiakrew! - mruknął Downar. - Nie potrafią nawet wozu zatrzymać...

- Co od nich chcesz? - ujął się Stodolak. - Musieli ich nielicho stuknąć.

Sikora dociskał gaz. Rozdygotana warszawa rwała naprzód jak koń bodzony ostrogami. Jasna wstęga szosy ginęła z zawrotną szybkością pod kołami wozu. Hamulce zgrzytały głucho na zakrętach.

Przed samą Bydgoszczą znowu odezwała się radiostacja:

- B4... B4... Tu K9...tu K9... Mercedes skręcił na Fordon, Chełmno... Mercedes skręcił na Fordon, Chełmno... Bydgoski wóz jedzie im na ogonie... bydgoski wóz jedzie im na ogonie...

- K9... K9... Tu Walczak... tu Walczak... Odebraliśmy wasz meldunek... Odebraliśmy wasz meldunek... Jedziemy za wami... Jedziemy za wami... Starajcie się nawiązać łączność z Gdańskiem... Starajcie się nawiązać łączność z Gdańskiem.

- To już teraz ich mamy - powiedział Stodolak. - Trzy wozy za nimi. Gdańsk przetnie im drogę. Nie uciekną.

- Miejmy nadzieję - mruknął Walczak.

- ... B4... B4... Tu K9... tu K9... Nawiązaliśmy łączność... Nawiązaliśmy łączność... Gdańskie wozy na szosie... Gdańskie wozy na szosie...

Walczak uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Teraz już nam się nie powinni wymknąć.

- Nie bądź taki pewny siebie - powiedział Downar. - To ludzie gotowi na wszystko.

Będą się bronić.

- Mają tylko krótką broń.

- Skąd wiesz, a może zabrali ze sobą kilka granatów?

- Wykluczone. Skąd granaty?

- Ja bym na ich miejscu wysiadł z wozu i uciekał w pole - odezwał się Stodolak.

Walczak potrząsnął głową.

- Tego nie zrobią. Czuję, że oni na Wybrzeżu mają gdzieś zadekowaną jakąś motorówkę. Dlatego jadą w tym kierunku. Chcą prysnąć do Szwecji.

- Możliwe.

- Za wszelką cenę chcą się przebić, ale nie dadzą rady.

Umilkli i przez chwilę przysłuchiwali się z niepokojem pracy motoru, który zaczął jakoś niepokojąco charczeć.

- Co tam, Sikora?

- Coś nie tego, towarzyszu kapitanie... Zdaje się, że wysiadka. Karburator nawala, a i benzyna mi się kończy...

- Toście nie zatankowali benzyny?

- Benzynę mam, ale w kanistrach.

- Do Gdańska nie dojedziemy?

- Wątpię.

- Uwaga... uwaga... B4... B4... Tu K9... tu K9... Mamy ich... Mamy ich... Gdańskie wozy przecięły im drogę... Gdańskie wozy przecięły im drogę... Mercedes zwalnia... Mercedes zwalnia... Bydgoszcz go dogania... Bydgoszcz go dogania...

- Słyszycie! - krzyknął Walczak, odwracając się do towarzyszy.

Niedaleko Tczewa rozległy się strzały. Walczak wyjął pistolet i krzyknął:

- Gazu, Sikora!

Kiedy przybyli na miejsce, było już po wszystkim. Czarny mercedes stał w poprzek szosy. Karolakowi milicjanci zakładali kajdanki. Fehnerowie siedzieli w granatowej warszawie. Nieprzytomną Hankę dwóch ludzi układało na noszach. Była ranna.

Downar spojrział na nią i zacisnął szczęki. Nie czuł jednak gniewu. Zrobiło mu się żal tej dziewczyny.

Walczak zbliżył się do niego i wzięwszy go pod rękę powiedział:

- No, Stefan, myślę, że już najwyższy czas, żebyśmy sobie porozmawiali z prokuratorem.

Sikora nalewał benzynę do baku.